

Beata Kozłowska

Na krawędzi marzeń

"Na krawędzi" to historia związku okraszona sporą dawką erotyki. Opowieść o dorosłej kobiecie, w której, skrywa się mała, niekochana dziewczynka. To książka o miłości, samotności, szukaniu własnej drogi, o problemie z piciem, Alzheimerze, odchodzeniu bliskich (także ukochanego psa). Autorka porusza temat wegetarianizmu i praw zwierząt. Powieść pulsuje muzyką dzięki wypełniającym ją cytatom tekstów prawie 40 punkowych kapel, których część już nie istnieje. Książka jest próbą ocalenia ich od zapomnienia. Powieść uwodzi brakiem pruderii. Autorka z otwartością pisze o radościach i rozpaczach swojej bohaterki, o jej trudnym dorastaniu, o związku z mężczyzną, który nadużywa alkoholu, o pasjach muzycznych. Przede wszystkim jednak z odwagą rzuca się w otchłań erotyki, raz zmysłowej i delikatnej, gdzie indziej pełnej żarłocznego pożądania, niemal wyuzdanej. Seks staje się obsesją bohaterki, opętaniem, od którego uwolnić się nie sposób.



Markowi Cybulskiemu – mojemu nietuzinkowemu mężczyźnie
Mojej córce Klaudii, którą 9 miesięcy nosiłam w sobie, dzięki czemu
przez pewien czas, tykały we mnie dwa serca... Maskocie, którego
prawdziwie miłuję oraz mojemu tacie, któremu zawdzięczam to, że w
ogóle wiem, czym jest miłość... Beacie Pierz, Kanadzie, Klaudii Deji,
Monice z Wiśliny i Magdalenie Michalskiej za to, czego nauczyły mnie
o życiu. Mróweczce i Ani Kot moim serdecznym koleżankom. Al,
Motylkowi i Tequili moim wirtualnym bratnim duszom. Arkowi
Szynace mojemu zawsze wspierającemu mnie przyjacielowi. Ani i
Jaxsie, na których zawsze mogę liczyć, w różnych życiowych
sytuacjach. Punkowcom z Twierdzy Gdańsk, moim licznym wege
znajomym, wszystkim osobom dzięki którym, moje życie zwyczajnie
nie jest puste, a zwłaszcza Ani i Jackowi z Sopotu, Alexowi, Atomowi,
Bartkowi, Benkowi, Betatce i Łukaszowi z Gdyni, Błażejowi,
Bobasowi, Bolkowi, Brzozakowi i Gosi, Buźce, Bzykowi, Dakocie,
Dzięgielowi, Guli, Hobbitowi, Inżynierowi, Jarkowi i Ariecie z
Pelplina, Joyowi, Kamili, Kapsłowi, Karinie, Kasi W., Kasiarzowi,
Kijanie, Korzeniowi, Kontaktowi, Krasowi, Krawatowi, Krówce,
Księżciowi, Kujawiakowi, Lence, Magdzie eF, Marasowi, Marksowi i
Ani, Mazołowi, Michałowi i Asi z Gdyni, Mięcie, Miękkiemu, Miłce,
Mułkowi, Nieforemnemu, Ogiemu, Pedzinowi, Pędzłowi, Piterowi,
Plewikom, Ptysiowi, Rybie, Sakowcowi, Sałacie, Siwemu, Ewie i
Darkowi Słowikom, Studentowi, Szpili, Sztywnemu, Toffiemu,
Twardemu, Widziemu i Zibie.

Korzystając z okazji, pragnę podziękować osobom, które
poświęciły swój czas i znalazły w sobie cierpliwość, aby przeczytać
brudnopis tej książki, dzieląc się ze mną potem swoimi cennymi
uwagami: Ani Kot, Marlenie Szwech, Gosi Wróbel oraz Andrzejowi
Cybulskiemu, Łukaszowi Gołębiowskiemu, Arkowi Szynace.
Podziękowania z mojej strony należą się też Markowi Cybulskiemu,
który użyczył na potrzeby tej książki, zdjęcia ze swojego cyklu „Kształt
nieistnienia”. Myślę, że doskonale współgrają z tą książką.

1.

Był jeden z tych ranków, gdy słońce opromienia wszystko dookoła złotym gnojem.

– Tu nie będzie abolicji – pomyślał Kreska, trzeźwo oceniając sytuację.

Spała na zdezelowanej kanapie tuż za ścianą. Właśnie wstała. Niedospana, naburmuszona, oschła. Bez cienia uśmiechu na szczodrych dotąd ustach. Wcisnęła stopkę w czarnego glana, nie zaszczycając mężczyzny ani jednym słowem, a jedynie lodowatym, w dodatku przelotnym, spojrzeniem... But był wysoki na 20 dziurek. Miała dużo sznurowania, a on czas, by coś zrobić z tą sytuacją. Zatrzymać proces, który się właśnie rozpoczął. Unicestwić rozpad więzi. Patrzył na nią i serce przepęśniał mu smutek. Jej zafarbowane na rudo, lekko kręjące się włosy, które okalały drobną, nieco podłużną twarz. Szare oczy, ładne, niewielkie usta, garbaty nosek. Srebrne kolczyki przypominające skrzydła motyla, finezyjnie powyginany widelec zamiast bransolety, wyćwiekowany czarny pasek na smukłej szyi. Zależało mu na niej, choć ciężko to było logicznie wytłumaczyć. Przyzwyczał się do samotności. Pracował. Po pracy pił. „Metoda na życie, na kryzys, na gnucie, na chaos, na ból . Nie wiesz, dokąd iść. Krzyk zmęczył cię. Za szyjkę mocno chwyć i przechyl ją” – śpiewał Siczka z KSU. Żył podobnie. Zmierzał do śmierci. Nie lękał się, wychodził jej naprzeciw. Wydawało się mu, że tak jest dobrze i tak już będzie, aż po ten nieunikniony kres... „Samobójstwa ciągle wkoło, by narodzić się na nowo, bez defektu” – śpiewała Moskwa. Myślał o tym, ale bez opcji odrodzenia. Toczył się swoją koleiną, z głową nabitą różnymi przemyśleniami, gdy nagle pojawiła się w jego życiu Kazamiko. Bezceremonialnie wkroczyła w jego świat i przewróciła go do góry nogami. Zburzyła ład. Irytowało go to, ale mimo wszystko coś w nim chciało z nią być... Nie chodziło tylko o seks. Było coś jeszcze, co sprawiało, że jak znikąca, obłądnie za nią tęsknił. Uzależniła go od siebie. Zaczął potrzebować jej dotyku, głosu, spojrzenia, uśmiechu. Jej delikatności i wrażliwości. Ciepła i wilgoci jej ciała, tego niepowtarzalnego zapachu. Chciał z nią być, choć czasami zwyczajnie drażniła go, nie tylko tym, że jest, ale też tym, jaka jest. Kreska miał

naturę choleryka. Wybuchał i mówił ostro, co myśli. Często ją ranił, bo wpadał w swoisty amok. Kaleczył słowami. Kazamiko, zodiakalny rak, obrażała się wtedy jak mała dziewczynka. Ostentacyjnie odwracała się do niego plecami lub zostawiała samego w łóżku i wynosiła się do pokoju obok. Nie chodził za nią. Zawsze, kiedy tak robiła, miał nadzieję, że jego serce nie wytrzyma i umrze. Tak było i tej nocy. Leżał sam, w opuszczonej, zimnej pościeli i zasnął dopiero gdzieś nad ranem. Gdy się zbudził, usłyszał, że wstała, dotarło do niego, że jego serce wciąż żyje i chce z nią być. Była wariatką. Miała świra na punkcie zwierzaków i zdrowego odżywiania, ale i tak zależało mu na niej. Czuł to całym sobą, nazbyt wyraźnie. Dlatego nie chciał, by założyła te buty i zniknęła. Być może na zawsze... Musiał ją powstrzymać. Miał dość czasu. Miała buty sznurowane na 20 dziurek. Gdyby miała trampki, pewnie nie dałby rady. Zabrakłoby czasu. 20 dziurek to jednak mnóstwo sznurowania. Czas, by ochłonać, przemyśleć pewne sprawy. Powiedzieć lub zrobić coś, co odwróci nieodwracalne. Wstał z łóżka. Wciągnął slipki i stanął naprzeciw niej.

– I co? – zaczął może zbyt ostro.

– Nico! – burknęła buńczucznie.

– Nie umiemy już ze sobą rozmawiać? – spytał łagodniej. – Kiedyś mi wszystko mówiłaś. Wiedziałem, co czujesz, co się dzieje – ciągnął dalej.

Wydeła usta, w lekceważącym geście, milcząc ostentacyjnie. Nadal się gniewała. Kreska nie wiedział tak do końca, co skrywa się w jej głowie. Kazamiko nie dbała o pieniądze. Chciała robić tylko to, co przynosiło jej satysfakcję. I tym sposobem politolog skończył jako psi psycholog i treser. Układała psy, sama pozostając nieulożoną, dziką, nieprzystającą. Była z mężczyzną tylko tak długo, jak długo była z nim szczęśliwa. Jak długo to się jakoś trzymało, czyli poza Kantem, jej wielką miłością, niezbyt długo.

– W każdym z nas są dwie osoby, racjonalna i emocjonalna – ciągnął dalej, nie zrażony jej zachowaniem.

Z uporem próbował nawiązać z nią kontakt, póki jeszcze fizycznie była obecna. Był to cytat, żywcem zaczerpnięty z pewnej książki, którą niedawno oboje czytali. Pamiętał ją doskonale, nosiła dziwaczny tytuł „Potworne poglądy cynicznych krasnoludków”. Kreska wiedział, jak bardzo Kazamiko kocha książki. Wykreowany świat, który pozwala oderwać się od tego, co nieciekawe, małe, przyziemne.

Nie poruszał się po omacku. Wiedział, czym ją zachęcić, by wciągnęła się w rozmowę. Czuł, że gdy już do tego dojdzie, wszystko być może wróci na właściwy tor. Był odczytany i miał dar ładnego wysławiania się. Kazamiko powiedziała kiedyś, powtarzając w ślad za swoją koleżanką An, że świat jest pełen downów, którzy zaczynają wypowiedź od yyy, a potem jest jedynie gorzej... Napisała też w jakimś swoim opowiadanku, bo pisywała coś czasami, że mowa staje się bełkotem... Nie był taki. Nie bełkotał. A to już było coś. Warto się było tego złapać.

– Racjonalna i emocjonalna – powtórzyła po nim, z wyraźnym przekąsem. – Raczej skurwysyn i anioł – skończyła bezlitośnie.

Postawiła kropkę nad i, sprawiając przy okazji, że Kreska trafiony tym spostrzeżeniem po prostu na moment zaniemówił. Spojrzał na nią badawczo.

– O, nie bierz tego do siebie – powiedziała dziwnie obojętnie.

Po ostatnich wydarzeniach, nie mógł mieć jednak takiej pewności.

– Jak to jest, że z czasem w każdym moim związku coś się zaczyna chrzanić? Logicznie rzecz biorąc, powinno się umacniać z biegiem czasu. A jest dokładnie na odwrót. Najczęściej psuje się i wali to, co zostało już, zresztą wspólnymi siłami, zbudowane. Tak jakbyśmy nie zostali zaprojektowani na długie, stabilne więzi z innymi ludźmi – zamyślił się Kreska.

Byli ze sobą już prawie rok, okres pierwszej fascynacji, tego cieleącego zauroczenia, był już za nimi. Teraz zaczęły wyostrzać się różnice. Wciąż było im dobrze ze sobą, ale momentami, tak jak tej nocy, ścierali się, nie mogąc znaleźć porozumienia. Oboje mieli trudne charaktery. To nie ułatwiało niczego. Nie chciał o tym myśleć. Nic, co piękne, nie jest w życiu łatwe. Ich związek z pewnością nie był.

– Czego się napijesz? – spytał, jakby nie przyjmując do świadomości tego, co się działo, prostego faktu, że sznukuje buty, by wyjść.

– Boli mnie głowa, żołądek, guzek w piersi, krzyż. Boli mnie życie, więc chyba jakąś herbatkę na depresję – odparła.

Zamarł. Doskonale wiedziała, że miał standardowo tylko herbatę czarną i miętową. Tą ostatnią zresztą odkąd zaczęli się spotykać.

„Są dni, których nie mogę znieść” – śpiewała wokalistka Fire Birds. – Płonące Ptaki. Fajna kapelka, jedna z tych, która, nie wiedzieć czemu, nie wybiła się. I to pomimo dobrych tekstów, ciekawej muzyki,

fajnego wokalu. Czuję się czasem podobnie. Są dni, których nie mogę znieść – powtórzyła głucho. – Niełatwo mi ostatnio żyć ze sobą. Jestem momentami smutna i nie rozsiewam uśmiechów. Ty kwitujesz to tym, że masz dość moich gier. Tak jakbym ja w cokolwiek grała. To tak, jakbyś był ze mną do pierwszego doła. Jakby to całe patetyczne na dobre i na złe, było nic nie wartym zlepkiem słów – wyrzuciła z siebie.

Poczuł się trafiony jak seria z karabinu maszynowego. Posiekany jak armatnie mięso. Kolejny mężczyzna, który nie rozumie subtelnych zawiłości kobiecej duszy. Pomyślał, że rzeczywiście jest z Marsa, podczas gdy ona, jego kobieta, jest niechybnie z Wenus. W głowie miał istną burzę, ale milczał nadal, chcąc dać jej sposobność do wypowiedzenia się.

– Ciężko mi być z tobą – kontynuowała, korzystając z faktu, że wyjątkowo jej nie przerywa. – Nie dajesz mi poczucia bezpieczeństwa, a chyba tego teraz potrzebuję. Nie wiem, na ile mnie kochasz i dokąd to zmierza. W dodatku te problemy w domu.. Nie mówię ci o wszystkim, bo i po co, ale wpływa to na mnie. Tata wczoraj uderzył mamę kapciem! Do czego doprowadza Alzheimer? Jakim jest testem? Co bezwstydnie obnaża? Jakim jest wygnaniem, bezludną, osamotnioną wyspą. Bliscy się odwracają. Na placu zostają tylko ci, którzy nie mogą uciec... W naszym przypadku ja i tato. Siostra tak hołubiona, kochana, rozpieszczana przez czternaście lat jedyńactwa, całkiem odwróciła się od mamy. Wnukowie też już nie przychodzą, odkąd babcia nie daje im pieniędzy. Zresztą, może chodzi o coś innego, nie wiem. Wiem tylko, że zostaliśmy z tym wszystkim sami. Ja i tata i ten obłąd. Mama zapomina, czego się nauczyła w ciągu całego życia. Cofa się. Nie robi nikomu na złość. Po prostu coraz częściej nie wie, co robi. Ciężko mi patrzeć na nią taką. Każdego dnia konfrontować się ze spustoszeniem, jakie sieje ta choroba. Być świadkiem tego, jak postępuje. Postaraj się to zrozumieć.

– Chodź do mnie – poprosił. – Serce mi pęka, kiedy się kłócimy – dodał bez owijania w bawełnę.

Podeszła w na wpół zawiązanych butach. Sznurówki ciągnęły się za nią. Wyglądało to ni to komicznie, ni to tragicznie. Bez słowa zaczął je rozwiązywać. Patrzyła na niego, stojąc nieruchomo. Ściągnął jej buty. Bezwolnie pozwoliła mu na to. W jej wnętrzu biło serce. Tłoczyło krew. Jej mózg, w przeciwieństwie do mózgu matki, wciąż pracował. Wiedziała, co robi. Objęła go swoimi smukłymi ramionami. Wziął ją na

ręce i przeniósł do łóżka... Pewnie powinni porozmawiać, wyjaśnić sobie to i owo, ale zamiast tego zaczęli się do siebie tulić i całować. Zapominali się w tym coraz bardziej. Po czasie gładzili już nagie ciała. Ich ubrania poniewierały się wokół łóżka. Wnikali w siebie coraz bardziej intymnie. Dotykem, językiem, szeptem.

– Ile jesteś w stanie zrobić dla dobrego seksu? – zapytała go nagle, tak po prostu, bez ogródek, patrząc na niego i mrużąc ledwie zauważalnie swoje oczęta.

– Co? – wykrztusił Kreska całkiem wybity z rytmu.

– Ile jesteś w stanie zrobić dla dobrego seksu? – powtórzyła dobitnie, patrząc mu w oczy spojrzeniem, od którego robiło mu się zazwyczaj gorąco...

Dłonią prowokacyjnie dotknęła go w kroku. Położyła ją tam i tuliła do niego bezwstydnie. Przez moment masowała tam otwartą dłońią. Subtelnie i bez pośpiechu, patrząc mu cały czas w oczy. Rozchylając przy tym ciut swoje usta. Korzystała z jego nagości i dostępności. Po chwili zacisnęła delikatnie palce na spragnionym dotyku członku i zastygła w bezruchu. Po a przyszło b, lecz nie nadchodziło c. Czekwała na odpowiedź. Nie posunęła się dalej ani o krok. Czekwała na sygnał z centrali – jak śpiewała Brygada Kryzys, jej kiedyś ulubiony zespół, obok Republiki, Dezertera i całej masy tych punkowych oczywiście. Bez odpowiedzi nie zamierzała zrobić nic więcej.

– Okrutna zdzira – pomyślał bezwiednie Kreska.

Wiedziała, jak bardzo lubił to z nią robić. Nazbyt dobrze znała odpowiedź. Nie musiała wodzić go na pokuszenie, wymuszać żadnych zbędnych deklaracji. Na swój sposób upokarzać go, pokazując, jaki jest słaby, zależny, opętany przez pożądanie jej ciała. Przez chęć penetracji. Pragnienie wsadzenia swojego penisa do jej buzi, cipki, między nogi lub drobne, miękkie piersi. Przez chęć, by zrobiła z nim coś mniej lub bardziej osobliwego. Trzymała go w zamknięciu swoich palców i czuła jak pulsuje i rośnie w siłę. Pragnął jej i miała odpowiedź na to, jak bardzo. Nie gdzieś daleko. Za górami i morzami. Miała ją blisko, bo w swojej zaciśniętej dłoni. Było jej jednak teraz tego, co czuła fizycznie, wyraźnie za mało. Chciała, by to zadźwięczało, by wybrzmiało słowami. Kochała się w słowach. Taka była.

– Mów do mnie. Chcę wiedzieć, co czujesz – zażądała stanowczo, obejmując go wciąż swoimi palcami.

Nieśmiała dziewczynka, którą kiedyś była, gdzieś znikła. Ulotniła się jak poranna mgła. Została bezwzględna, wiedząca czego pragnie, drapieżna kocica. Ciekająca się suka. Kobieta. Wzięła w posiadanie jego interes. Anektowała go jak należną sobie krainę. Dotknęła jego najdelikatniejszą, najwrażliwszą część ciała, poza sercem oczywiście. Był silnym mężczyzną, ale jego penis i jajka były jakby z innego egzemplarza. .. Napięte żyły jego mięśni i jego genitalia. Delikatne, wymagające, pragnące. Miała nad nim kontrolę. Trzymała go uwięzionego w dłoni i tylko od niej zależało, co dalej. Rozkosz czy ból... Władza nad tym przydała jej wyrazu ostrości. Przez moment jawiła mu się niczym duży, nie wiedzieć czemu czarny, ptak. Bystre spojrzenie. Silny dziób i szpony gotowe rozerwać, gdy trzeba. Jego penis wydany na jej pastwę. To była kłopotliwa dla niego sytuacja. W każdej chwili mogła schylić się do niego ustami. Ciepło-szorstkim językiem, który tak łatwo potrafił przejmować kontrolę, doprowadzając go na skraj obłędu. Zamieniając jego miarowy oddech w dyszenie napalonego zwierza. Odbierając resztki rozumu i rozsądku. Jego penis niezmiennie jej pragnął. Był twardy. Bardzo spragniony jej języka, wilgoci jej wnętrza. Jego mózg się zawiesił jak przeciążony komputer. Był jej. Trzymała go w garści, trzymając jego członka. Jego wyuzdana dziewczynka. Kobieta i mężczyzna na drodze do zbliżenia, do kopulacji, do ruchów frykcyjnych jego członka, w jej pochwie. Do tego, co ona robi z nim przed, w trakcie, po... Nie myślał. Pożądał. Jej znieruchomiałe palce na nim, niczym zastygła wulkaniczna lawa. Drażniły, parzyły. Czekał, dysząc i szukając naprędce słów, jakie pragnęła usłyszeć. Był gotowy je wypowiedzieć, aby tylko sprawy potoczyły się dalej. Czyż seks nie jest wzajemnością? Czyż nie jest spełnianiem wspólnych erotycznych zachcianek? Miłosną grą? Zrobiłby dla niej wszystko, by grała z nim w tą grę. Mogła przecież wprawić, jak setki, jeśli nie tysiące razy wcześniej, w ruch swoją nieruchomą chwilowo rękę. Wpierw kusząco, perwersyjnie, na jego oczach zwilżając ją własną śliną, jeśli tylko przyszlaby jej oczywiście ochota, by pomasować go odrobinę, odtwarzając tak klimat swej cipki. Mogła pociierać się o niego swoimi piersiami lub samymi tylko sterczącymi sutkami. Przydusić go swoim tyłeczkiem lub łonem. Mogła ulokować go między swoimi ciepłymi piersiami. Docisnąć je dłońmi i wymasować go nimi. Mogła ująć go i prowadzić, niczym kustosz w muzeum, zapoznając z coraz bardziej fascynującymi miejscami na

mapie jej ciała. Stopniując jego doznania. Mogła w końcu wpuścić go do środka, dopełniając ten akt namiętym całowaniem. Mogła ścigać jego język, wnikając w głąb jego terytorium, swoim. Gwałcąc go nim. Ręką to pieszcząc jego klejnoty, to zadając lekki ból. Mogła zaciskać mocno palce na jego udach, blisko pachwin. Przesuwając się coraz bliżej epicentrum... Mogła uderzyć lekko jego jajka. Kąsać jego szyję, sutki, brzuch i coraz niżej... Sprawić, by zaczął czuć pierwotny, zwierzęcy strach. Obawę przed nią. Przed jej nieposkromioną namiętnością. Przed tym, co robi. Czy się pohamuje w tym dzikim galopie? Kierunku, którego żadne z nich nie umiało przewidzieć. Czy po raz kolejny da radę? Czy zapanuje nad sobą i nie przekroczy tej cienkiej granicy, oddzielającej dobrą zabawę od perwersji? Była szalona w tym. Dzięki temu jednak, to z nią, tak go podniecało. Uwielbiał się z nią kochać, posuwać ją, i gdy brała go do ust. Wariował na tym punkcie. Na ogół miał ją, kiedy i jak chciał. Akceptowała jego pomysły, ale bywała też i wymagająca. I to była jedna z tych chwil.

– Ile zrobisz? – dźwięczało mu w uszach to jej retoryczne pytanie.

– Dużo – odparł, przerywając wibrującą ciszę i w tym momencie z pewnością była to prawda.

Zaczęła go pieścić. Najpierw powoli jak żółw, ociążale, stopniowo przyspieszając. Był rozgrzany od samej świadomości tego, co nadchodzi. Nie miał pojęcia, którędy biegnie ścieżka. Wiedział jednak, że na jej końcu będzie spełnienie, że zmieszają się ich płyny ustrojowe, i ta wiedza mu wystarczała.

Przesuwała rytmicznie swoją zaciśniętą na nim dłoń do przodu i do tyłu. Patrzyła na to, co robi. Była skupiona i, co mile łechtало jego męskie ego, coraz bardziej podniecona. Przejeżdżała dłonią od nasady członka po jego główkę, by ponownie wrócić w pobliże jąder. Ujęła je drugą dłonią, delikatnie zaciskając. Uniosła się nad nim. Rozkraczyła się nad nim, jak po burzy tęcza nad ziemią. Trzymając penisa w palcach, zsunęła mu skórę z brzeżków nabrzmiałej główki. Palcami rozchyliła wargi sromowe. Czuł i bez tego jej zapach. Wiedział po nim, że jest już mokra, ale przeczuwać, to nie to samo, co fizycznie to poczuć. Doświadczyć tego... Przejechała jego gorącą główką przez środek cipki. Schłodziła go ciut swoją wilgocia. Drażniła się tak z nim przez chwilę, po czym wpuściła go do swojej magicznej szparki. Zamknął oczy, choć wiedział, a może właśnie dlatego iż wiedział, że patrzy na niego. A to było już zbyt wiele. Odplynął, cicho pojękując.

Siedziała na nim okrakiem, lekko pochylona, aby móc dotykać go swoimi suteczkami, przyprawiając go o dreszcze. Wyprostowała się dopiero po chwili. Jej piersi w świetle poranka. Sterczące sutki. Muskające je miękkie światełko. Zaciskające się na nim mięśnie pochwy. Jego kobieta. Unosząca się i opadająca na nim, niczym morskie fale szturmujące brzeg. Sięgnęła ręką za siebie. Delikatnie klepnęła go w jajka. Jej dłoń. Jego jajka. Raz i drugi. Ciche plaśnięcie. Dreszcz niepokoju, przeplecionego podnieceniem. Był w niej, bliski spełnienia. Nie było odwrotu. Zajęczał. A ona, przeczuwając to, zatopiła mocno rozcapierzone palce w jego pośladku. Tak jak lubił. Zwolniła uściski za chwilę wymierzyła mu klapsa. Jak niegrzecznemu chłopcu. Jego członek wsuwał się i wysuwał z niej. W rytm jej ruchów. Unoszenia się i opadania. Trysnął w nią jak gejzer w Yellowstone. Przez chwilę leżał wykończony, w miękkości ich łóżka, ich cudownego pojednania.

„Kiedy płonie, to tak jak atomowy stos. Gdy jest zimna, to tak jak Moskwa w ciemną noc” – przypomniał mu się fragment tekstu *The Analogs*.

– „Dzieci tego świata mają wielkie smutne oczy. Dzieci tego świata pomału dowiadują się, co jest grane w tym życiu. Po pierwsze ból, po drugie strach, po trzecie głód, po czwarte samotność, po piątą samotność, Po szóste SAMOTNOŚĆ. Dzieci tego świata są dzielne, czasami tylko płaczą” – wyrecytowała smutno.

– Co to? – spytał.

– Ivo Partisan, o ile dobrze pamiętam – odparła Kazamiko

Kazamiko kochała muzykę. W życiu bywała szarą, nostalgiczną myszką. Rzadko się malowała. Ubierała się różnie, w zależności od nastroju. Czasem przemykała ulicami jak cień, jak tajemniczy Don Pedro z krainy Deszczowców. Kiedy indziej przykuwała ludzkie spojrzenia, prowokowała mężczyzn do gwizdów i komentarzy. W seksie niezmiennie się odnajdywała. Pomimo gwałtu jaki przeżyła w dzieciństwie, nie miała większych zahamowań. Namiętność doprawiała szczyptą wyuzdania. Bywało, że mruzczała z zadowolenia w trakcie, czasem wypuszczała też po kocjemu pazurki. Tworzyła swój własny patchwork, łącząc wyjątkową radość życia z pojawiającymi się czasami myślami samobójczymi i tą sporą otwartością w seksie. Nie kreowała się na nikogo. Pragnęła być sobą, cokolwiek, by to oznaczało. Kreska szybko zauważył jej delikatność i wrażliwość dopełnioną miłością do

zwierząt. Z powodu tej miłości była wegetarianką. Nie dzieliła zwierząt – jak mawiała – na te do kochania i te do zjadania.

Kazamiko, o czym Kreska przekonał się będąc z nią, tylko z pozoru była silna. W rzeczywistości miała dość słabe wewnętrzne granice, które nikły z reguły przy pierwszej próbie zbliżenia, choćby to było tylko pogłaskanie. Topniały niczym brudny śnieg wiosną. Tylko nie od słonecznych promieni, a pod wpływem ciepła ciała drugiego, sprawiającego wrażenie równie samotnego jak ona, człowieka. Nie przytulana przez matkę w dzieciństwie weszła w życie patologicznie zła dotyku. Prawdę mówiąc, jakiegokolwiek dotyku. Akceptowała bowiem też taki na pograniczu bólu. Kiedyś sprzedawała się za okrucieństwa i zrozumienia, płacąc własnym ciałem, jeśli było trzeba. Bywała z mężczyznami, których nie kochała. Rozmawiali o wszystkim, więc również o tym, co było, nawet jeśli było to bolesne. Powiedziała Kresce, że to było jak sprzedaż wiązana. Oni potrzebowali czegoś, w zamian dając jej to, czego pragnęła ona. Nie podobało jej się to, gdy się czasem nad tym zastanawiała, tak jednak było i już. Czuła, że jak mówiła „to była forma kurwienia się”. Tylko nie za pieniądze... Sprzedawała się za ciepło, za czuły dotyk, który był na moment jej ochronnym parasolem. Próbowwała coś z tym robić, ale w tych swoich momentach zagubienia sypała się jak wieża z kart i zwyczajnie ulegała potrzebie. Raz za razem. Zajęło jej trochę czasu, aby z tym ostatecznie skończyć. Przynajmniej tak twierdziła. Była na swój sposób rozedrgana, poraniona. Balansowała od euforii do depresji. Żyła z dnia na dzień. Nie przeżyła wojny, jak jej rodzice, nie była w domu dziecka, jak jej matka, ale też nie było jej łatwo.

Każdy żywy organizm wykształca swoją strategię przetrwania. Kazamiko, aby przetrwać w świecie pełnym ludzi, często wrogich, oceniających innych na podstawie wyglądu i powierzchownych kryteriów, otoczyła się murem z cegieł pozorów, ukrywając się gdzieś w środku tej fortyfikacji. Kokon, który wokół siebie zbudowała sprawiał, że pozornie była silniejsza, bardziej odporna, mniej czuła. Uśmiechnięta, odporna na zranienia. Wydawało się, że nie potrzebuje już miłości, ani czułości, że jest samowystarczalna. Ona i muzyka. „Ściany dźwięku to mój dom, tu jest dobrze, tu jest schron” – śpiewała Schizofreniczna Prostytutka Maria i to było o niej. Jej świat. Jej misterny kokon, jaki sobie uwiła, który nie wytrzymał naporu zdarzeń. Być może po prostu nie sposób się na dłuższą metę odgradzić od życia,

biorąc w nim jednoczesny udział. Jej kokon pękł i Kazamiko została ponownie bez żadnej szczególnej bariery ochronnej. Wystawiona na życie i wszystko, co ono niesie.

Los sprawił, że po latach mijania się na ulicy, bywania na tych samych koncertach, wystawach, poznała w końcu Kreskę. Nie połączyli się wtedy, gdy była młodsza, ładniejsza, mniej zniszczona przez życie. Bardziej ufna i dyskretna. Żyła ponad trzydzieści lat i to odciskało się na niej swoistym piętnem. Niszczyło jej niewinność, tą z którą się rodziły. Matka nauczyła ją, jak dusić w sobie to, co skacze do oczu, aby być dostrzeżonym. W pewnym momencie poczuła się jednak jak przepełnione naczynko. Wylewało się z niej. Zaczęła mówić i to o zbyt wielu rzeczach. Po latach milczenia, tłamszenia wszystkiego, nie umiała już tak w sobie wszystkiego zdusić... Widocznie nie potrafiła nieznacznie uchylić drzwi, tak aby wypuścić jedynie część kotłujących się w niej emocji, słów i zdań podchodzących do gardła. Otworzyła je na oścież. Jej wewnętrzna tama puściła i wylewało się z niej nawet to, co może powinno pozostać w środku. Nie robiła selekcji. Jeśli ją coś raniło, bolało, mówiła o tym,omalże bez cenzury. Bez cienia zażenowania opowiadała o tym, co przeszła w życiu. O gwałcie w dzieciństwie i potem. O zimnej, zapracowanej matce. O paroletniej terapii analitycznej, na którą sumiennie uczęszczała. Opowiadała również o tym, że spotyka się z kimś, a on czyli Kreska, popija, i jak z tym jej jest. Kreska miał o to do niej pretensję. Miał wrażenie, że mówi o zbyt osobistych sprawach i to komu popadnie. Złościł się, że robi mu opinię pijaka. Atakował ją, oskarżając, że jest „cholerną papłą”, która chodzi i wszystko „klepie”. Uciekając przed tym, Kazamiko zaczęła filtrować swoje myśli, na sicie cenzury pozostawiając to, co mogło go zirytować, doprowadzić do zbędnej awantury. Oddalała się od niego i rzeczywiście nie wszystko mu już mówiła. Ale innym – owszem. Przed innymi nadal się otwierała, zwierzała. Denerwowało to Kreskę jeszcze bardziej. Kochał ją i nie znosił tego, jaka czasem bywała. Był harfą z napiętymi zbyt mocno strunami emocji. Szarpała je, wyprowadzając go z równowagi. Tego było chyba zbyt wiele jak na jego skołatane nerwy. Nie rozumiał jej kobiecej potrzeby wygadania się. Do tego był chorobliwie zazdrosny. Dlatego czasem dochodziło między nimi do spięć. Do ostrych akcji. Kreska wybuchał. Kazamiko się obrażała, czasem płakała. Wydawało się, że to zniszczy ich związek, a jednak udawało im się do tej pory jakoś zawsze wszystko naprawić;

najczęściej dobrym seksem. Teraz również. Leżeli wyciągnięci w jego podnajmowanym mieszkanku na gdańskiej starówce. Nadzy, w jego czerwonej, satynowej pościeli. Rozmarzeni, cudownie zaspokojeni. Kazamiko gładziła opuszkami palców jego skórę. Topniał pod tym dotykiem. Byli razem. Słońce kreśliło swymi coraz bardziej nachalnie wdzierającymi się przez okno promykami dziwne wzorki na podłodze „jego” pokoju. Kolejna burza, która dopadła ich, z hukiem dziurawiących niebo grzmotów, przeminęła. Wciąż byli razem. Zdawało im się, że nic ich już nie rozdzieli.

– Kocham cię – oświadczył Kreska.

– Mylisz miłość z pożądaniem – stwierdziła prowokacyjnie Kazamiko.

– No dobra, kocham cię i pożadam – uściślił Kreska.

Uśmiechnęła się błogo.

– Niewiele pijesz – zauważył, sięgając po piwo.

– No nie – stwierdziła Kazamiko.

– Czemu? – spytał zaciekawiony.

– Kiedyś przesadzałam – odparła samokrytycznie.

– Taaak? – zapytał przeciągle Kreska.

– Tak, nie umiałam wyczuć tej subtelnej granicy. Fajnie mi się piło w dobrym towarzystwie, a potem męczył mnie kac straszliwy. Nienawidziłam tego. Po którymś takim razie, coś się we mnie przeciw temu zbuntowało i zaczęło dawać jasne sygnały, kiedy skończyć. Nagle coś we mnie już wiedziało, ile mogę sobie bezkarnie wypić.

– Co ja słyszę, to upijałaś się w przeszłości? – podsumował ironicznie, w nawiązaniu do jej ataków, jakoby sam pił zbyt dużo.

– Nie do nieprzytomności – odcięła się zdecydowanie od jego insynuacji. – Tak załatwiłam się tylko raz...

– Hm, ciekawe, a kiedy to było? – ciągnął ją za język bezlitośnie, odkrywając tak kolejny skrawek ładu, z bijącym sercem pod powierzchnią.

Kazamiko już dawno podciągnęła przed nim swoją kusą sukienkę, pokazując mu bez cienia skrępowania swoje małe piersi i ściągnęła majtki odkrywając resztę... Cały czas Kreska zgłębiał jednak to, co w niej, to co wewnątrz. Uchyłała najczęściej łaskawie rąbka swoich tajemnic. Tak było i tym razem.

– To było na moim pierwszym biwaku – powiedziała z czarującym uśmiechem. – Piliśmy poziomkowy poncz, który nikomu

nie smakował. A mi owszem, a mi tak – skwitowała prawie z dumą. – Smakował jak tatowe wino – rozmarzyła się. – Tylko, niestety, procentów miał ze dwa razy więcej... Miałam spać w namiocie z kumplem. Film mi się urwał nim do niego dotarłam. Ostatnie, co pamiętam, to, jak leżę bezwładna w trawie i bełkoczę coś, że mam już dość. Rano obudziłam się, otworzyłam oczy, a świat zawirował mi okrutnie. Od razu zamknęłam oczy, w złudnej nadziei, że to minie. On zanucił schrypniętym głosem... „śpij aniele mój” – naśladowując całkiem udanie Janerkę z repertuaru Klause Mitffocha... Zdobyłam się na to i ponownie otworzyłam oczy. Zlustrowałam wszystko wokół, zbierając chaotycznie myśli do kupy. Zorientowałam się, że nie wiele pamiętam. No wiesz, ostatnie co pamiętałam, to jak padłam na trawę i nie mogłam wstać. To było straszne. Spojrzałam kontrolnie po sobie i ciut podejrzliwie na niego..

– Miałam sweter – powiedziałam głucho i moje słowa odbiły się jak echo w studni.

– Zdjęłaś go, bo było ci gorąco – odparł, co nie uszło mojej uwadze, ciut rozbawiony.

– A pas? – zapytałam martwo, próbując ustalić fakty. – Wiesz Sherlock Holmes na tropie niewyjaśnionego – uśmiechnęła się uroczo.

– Uwierał cię – odpowiedział ciepło.

Wiedział zapewne, jakie myśli kłębią mi się w głowie i czekał, czy go o to spytam wprost. Nie zrobiłam tego, choć to nie dawało mi spokoju. Gnana niepewnością, zaraz po powrocie z biwaku, umówiłam się do ginekologa i rozłożyłam przed nim nogi, choć teoretycznie nic mi nie dolegało.

– Wszystko dobrze – oświadczył lekarz, nie zaspokajając tym mojej ciekawości.

– Ale czy jestem dziewicą? – bąknęłam, uciekając wzrokiem jak najdalej. Najchętniej schowałabym się pod ziemię. Skryłabym się w jakieś norce i zapytałabym przez tubę. Czułam się idiotycznie. Musiałam jednak zapytać. To nie dałoby mi spokoju. Spojrzał się na mnie i zapewne pomyślał: no tak, punkowa, nachlęła się i nie wie, czy jest dziewicą, czy nie.

– Tak – odpowiedział, a ja czym prędzej się zmyłam z jego gabinetu. Czułam się z tym okropnie. Ufałam kumplowi, wydawało mi się, że nie zrobiłby czegoś takiego, ale też pił i na sto procent nie byłam pewna. Potem prześladował mnie jeden sen.

– Jaki? – spytał Kreska.

– Jesteśmy gdzieś całą ekipą. Wpadają skini, zaczyna się dym, a ja jestem tak pijana, że leżę na glebie. Mogę patrzeć, ale nic poza tym. Nigdy w życiu nie czułam się tak upodlona.

Przytulił ją łagodnie i pogłaskał jej plecy. Zbierał się do wyjścia, choć wcale mu się nie chciało. Najchętniej zostałby z nią, przy niej, może nawet w niej, choć był cudownie zaspokojony. Obrzucił ją smutnym wzrokiem, jakby chciał zapamiętać jak wygląda.

– Ładnie się ubrałaś – rzucił już na wylocie. – Czekasz na kogoś?
– spytał pół żartem, pół serio.

– Na kochanka, ale będzie później – Kazamiko zażartowała okrutnie.

Oczywiście nie powinna tego robić. Nie dolewa się oliwy do ognia. Kreska był i bez tego bardzo zazdrosny, ale stało się. Jak to się mówi, uderz w stół, a nożyce się odezwą. Słowa padły. Nie sposób było je zawrócić, jak nie sposób odwrócić nurtu rzeki.

– Powiedz mu, jak już będzie po, że jest bardzo odważny. A jak zapyta dlaczego, dodaj, że mu nie mówiłaś, ale masz bardzo zazdrosnego faceta, który ma takie powiedzonko „nie znasz dnia ani godziny, kiedy dopadną ciebie skurwysyny”. Wspomnij, że twój facet jest porywczy i zdeptałby mu głowę lub zrobił coś równie nieprzyjemnego, gdyby wpadł w trakcie – wychrypiał.

– Nie przyszedłby więcej, gdybym mu tak powiedziała – odparła Kazamiko, wczuwając się w hipotetyczną sytuację.

– A jakbym rzeczywiście wpadł? – pociągnął temat Kreska, również wczuwając się.

– To też by więcej nie przyszedł – westchnęła smutno, zmęczona tymi wizjami zdrady i kary.

Pogładziła go uspokajająco po ramieniu. Pożegnali się czule. Niedługo potem zadzwonił.

– Jak było? – spytał.

– Przecież wiesz, jak było! – powiedziała Kazamiko zdumiona. – Nie udaję ochówi achów, aby zrobić ci przyjemność, podbudować twoje męskie ego. Zresztą czy można udać gęsią skórę, twardość sutków, wilgoć cipki. Przywołać rumieńce na policzki w chwili, gdy są nam one potrzebne. Przyśpieszyć bicie serca, powiększyć ciut piersi. Zabłyścić oczami. Było cudownie, jeśli musisz to wiedzieć – skończyła Kazamiko.

– Takiej odpowiedzi oczekiwałem – wyszeptał.
jej śmiech, niczym spadające koraliki z zerwanego sznura starych perełek.

– Nie chce mi się iść do pracy. Stoję tu, ale głowę zostawiłem przy tobie – wyznał.

– Zostawiłbyś pewnie coś jeszcze – powiedziała prowokująco.
Odpowiedziała jej cisza.

– Serce, kutasa, jajeczka do wypieszczenia – pociągnęła temat dalej. – Do pracy to tylko ręce, nogi, krzyż, który to połączy – zamruczała.

Westchnął, a po chwili zmusił swoje ciało, by wsiadło do autobusu bynajmniej nie przybliżającego go do niej...

Zadzwoił do niej ponownie już z pracy.

– Nie mogę się skupić. Myślę o tobie od rana, o seksie z tobą i już nie wyrabiam. Kazamiko bołą mnie jajka – rzucił niby czule ale jednocześnie takim ciut oskarżycielskim tonem.

– Jak to bołą? Przecież mówiłeś, że ciebie nigdy nie bołą. Pamiętasz, zapytałam kiedyś o to? – powiedziała zdezorientowana.

– Nie bołały, teraz bołą – oznajmił.

jej perlisty śmiech.

– To piękne, że aż tak ci się ze mną chce – uznała od razu.

– Kazamiko, ja się tu męczę – zaznaczył.

– Jak przyjedziesz zajmę się tym – oświadczyła pogodnie. – Może tak być? – spytała retorycznie.

– Tak myszko – zgodził się od razu. – A weźmiesz do buzi? – spytał na zakończenie.

– Do buzi? – udała zawahanie.

– A co nie lubisz? – spytał tym razem on zdezorientowany.

– Lubię droczyć się z tobą, czasami – odparła rozbawiona.

Kiedy wrócił, zarzuciła mu ramiona na szyję. Wtulili się w ciepło swoich ciał. Zaraz po przywitaniu wyjęła mu koszulkę ze spodni i zaczęła gładzić brzuch, myślami już pragnąc zjechać niżej, ale hamowała się tym razem. Wiedziała, że to nieuniknione, więc i tak nadejdzie. Nie chciała jednakże niczego przyspieszać, choć coś w niej domagało się tego. Sama sobie podniosła poprzeczkę. Smakowała go tym razem powolutku. ...

„Czego oni od nas chcą? Czego ci ludzie od nas chcą? Mnie twoja proteza nie przeszkadza. Czego oni od nas chcą? Czego ci ludzie od nas

chcą? Mnie ona absolutnie nie przeszkadza” – zanuciła tuż po kawalek Kosmetyków Mrs Pinki.

2.

Jezdnia w centrum jej miasta to był miejscami podziurawiony niczym szwajcarski ser pas asfaltu. Nie można było nazwać tego drogą. A jednak toczył się na niej ruch. Nie było alternatywy. Nie w tym zakątku Europy. Lawirujące samochody i rowerzyści na tej swego rodzaju ścieżce przetrwania. Wąski pas szarego chodnika. Niebo nad nimi. Kazamiko szła jak gdyby nigdy nic chodnikiem, gdy nagle chłopak, jadący na rowerze tuż obok, przekoziółkował i skończył na asfalcie. Nie widziała dokładnie, jak do tego doszło. Mogła jedynie przypuszczać, że stało się to prawdopodobnie po kontakcie kół roweru z dziurą w jezdni. Jego wina. Nie drogowców. Szaleniec wyjechał na drogę i zamiast patrzeć pod koła, zagapił się w dal, a może nawet w niebo. Stracił kontakt z rzeczywistością, więc ona przywołała go do siebie, by wrócił. Jak nadopiekuńcza matka dziecko, które oddaliło się jej zdaniem zbyt daleko. Zrobiła to po swojemu, dotkliwie. Przekoziółkował więc tuż obok niej i szorstki asfalt przyjął łaskawie jego ciało. Był bez kasku i ochraniaczy. To przystoi wszak dzieciom, a nie prawdziwym mężczyznom.

– O Jezu – Kazamiko cicho krzyknęła, choć była niewierząca i stanęła jak wryta.

Na szczęście dla rowerzysty nic nie jechało. Ściągnęła go z jezdni, aby pędzące samochody nie zrobiły z niego miazgi na wzór tylu porozjeżdżanych kotów i psów.

– Wszystko dobrze? – spytała niepewnie, patrząc na jego zdarte kolana i krwawiącą rękę.

– Tak, dzięki za pomoc – wymamrotał obity i zażenowany sytuacją nieznajomy.

– Spoko, nie ma sprawy – rzuciła, siląc się na luz. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła po bardziej fachową pomoc. – Zaraz będzie karetka – oznajmiła po chwili.

Zapadła przyciężka cisza, którą on przerwał pytaniem.

– Jak ci na imię? – spytał nagle, spoglądając w jej szare oczy.

„Dzień dobry maleńka, jak ci na imię” – zadzwieczał w niej jak na zawołanie stary kawałek T. Love.

– Chcesz znać moje imię? – uśmiechnęła się zamiast odpowiedzi.
– Nie lubię swojego imienia. Matka mi je nadała, w czasach zamierzchłej przeszłości, gdy niestety nie miałam nic do powiedzenia – powiedziała smutno. – Znajomi mówią mi Kazamiko – uściśliła i podniosła się z kucek.

Dystans. Kolejny raz w jego życiu. W jego relacjach z kobietami. On pokonany, na bruku. Ona długonoga, w krótkiej spódnicy, czarnych, wojskowych butach, mimo lata. Cała. Nie brocząca krwią. Patrzył na nią z tej perspektywy. Przez moment tak trwał, nim ostry sygnał przerwał wszystko.

– Na imię mi Robert – rzucił jej powodowany czymś płynącym z wnętrza, przekrzykując dźwięki nadjeżdżającej karetki.

– Robert – powtórzyła i od razu zapomniała.

Nie miała pamięci do imion.

– Masz karetkę – oznajmiła ucieszona. – Spadam, trzymaj się – dodała szybko i tak lekko jak podmuch wiatru, który nic nie wnosi. Nie ma siły wichury. Nie łamie gałęzi. Nie zrywa dachów.

Odwróciła się. Mignęła mu burza rudych włosów. Była chuda jak patyk, ale miała ładne nogi. Jej widok zastąpił przysadzisty sanitariusz. Kolejne doświadczenie na drodze życia. Okruch chleba oderwany z wielkiego bochna.

Na ulicy toczyło się życie. Tymczasem Rysa zabarykadował się w przestrzeni swojego fajnie urządzonego mieszkania. Wygodna, czerwona kanapa, stolik ze sprzętem otoczony dwoma stojakami na kompaktki, drewniana skrzyneczka z kasetami. Do tego kolorowe ściany, zabudowa zamiast obrzydliwych regałów, zdaniem Kazamiko nieodzownie kojarzących się z dawną epoką. Browar, książka, sącząca się z głośnika muzyka. Nie zamierzał dzisiaj nigdzie wychodzić. Z nikim się spotykać. Chwilowo miał dość imprez, picia do rana, a nawet seksu. Szybkiego, przypadkowego, nic nie wnoszącego, prócz chwilowej przyjemności za cenę późniejszych komplikacji z kobietami. Wyciągnął się na kanapie i zagłębił w książce. Był sam ze sobą i literaturą i było mu z tym dobrze. Odpłynął. Stan błogostanu w jakim tkwił przerwało nagle pukanie do drzwi. Zamarł, niczym rażony prądem.

– Co by człowiek nie robił, świat się o niego i tak upomni. Nie zostawi go w spokoju – pomyślał cierpko, nie ruszając się z kanapy.

Udawał, że go nie ma... Nie pierwszy raz, robił już tak wcześniej. Był w tym niejako wprawiony.

– Rysa to ja, otwórz – głos Kazamiko dobiegł z za drzwi i zburzył ten jego pozorny spokój. Wyrwał go z bezruchu, ze zwykłej reakcji na pukanie do drzwi, na dobijanie się do granicy jego prywatności.

Wstał i ruszył w kierunku drzwi. Zrobił to powoli, z rozmysłem. Głupio mu trochę było, bo wiedział, że ona wie o tych jego „jazdach”. O zamykaniu się w domu i unikaniu nie umówionych znajomych. Też przyszła z biegu, nie zadzwoniwszy wcześniej, jakby nie miała telefonu. Jednak lubił ją na tyle, że opuścił swoje legowisko. Zmodyfikował nawyk. Wstał, pozostawiając odcisk ciała na kanapie. Ulotne ciepło i zapach. Otworzył, udając zasnętego.

W gruncie rzeczy ucieszył się, że przyszła. Nie wpadała zbyt często i zawsze go czymś zaskakiwała. Pobudzała do myślenia, spojrzenia na wiele spraw z nowej perspektywy. To było ciekawe.

– Bywa czasem irytująca. Rzadziej jednak niż inne. Plus dla niej – pomyślał, porządkując sobie to w głowie.

Stał przy drzwiach, udając coś, co nie miało miejsca. Odgrywał swoją małą rolę, by zachować resztki pozorów normalności. A przecież ona sama była nieźle stuknięta.

– Pieprzona obłuda – coś w nim zadźwięczało boleśnie, na przekór wszystkiemu. – Cholerne aktorstwo. Po co to robię? Dlaczego nie ma we mnie tej naturalności i swobody jaką miałem kiedyś. Z roku na rok jestem coraz bardziej pojebany – krzyczało coś w nim coraz głośniejszym, choć on sam nie wymówił ani słowa.

Zdusił je wszystkie w zarodku. Sprawił, że nie wybrzmiało żadne z nich. Był swoim najsurowszym cenzorem.

Weszła, rozsiewając zapach subtelnych perfum i rozpromieniając wszystko swym uśmiechem.

– Jest taką cholerną optymistką. Mogą ją okraść, zgwałcić, a ona idzie przed siebie. Z tym swoim uśmiechem Mony Lisy. Nic ją nie bierze. Upadnie. Wstanie. Otrzebie się i idzie dalej. Mówi, że ludzie są w porzo, choć czasem zdarzają się podłe kreatury. Kto jak kto, ale ona wie o tym z własnego podwórka – pomyślał, patrząc na nią ciekawie.

Minęła go w drzwiach. Z pozoru obojętnie, ale odwróciła się, będąc tuż obok i spojrzała mu w twarz. Prosto w oczy. Miała nieduże,

w dodatku szare oczy. Z pozoru nijakie, a jednak coś w nich było. Nie sposób było tego logicznie wytłumaczyć. Człowieka nie da się rozłożyć jak stary budzik na części proste, by zobaczyć co jest w środku. Rozbłysła swoim uśmiechem, który mówił wszystko i słowa stały się zbyteczne. Jej uśmiech odsyłał je na przedwczesną emeryturę. Nie powiedziała nic, choć może i korciło ją, by skomentować to, co robi. Nie strzepiła języka po próżnicy. Wiedziała, jak jest i że on wie, jak jest. Cieszyła się, że jej otworzył, choć nawet nie sypiali ze sobą. To było miłe uczucie, mówiło o pewnym rodzaju więzi, duchowej bliskości. Kazamiko czuła do Rysy dziwną słabość i poczuła w tej szczególnej chwili, że nie jest w tym osamotniona, że to idzie w obie strony... Wpuścił ją, więc mogła zaistnieć. Weszła, stukając szpilkami swoich nowych, długich, czarnych, zamszowych kozaczków. Zauważyła zdumione spojrzenie Rysy.

– Kreska mi kupił – oświadczyła promiennie. – Poprosił, żebym poszła z nim do sklepu obejrzeć buty, mówiąc, że widział takie trochę dziwkarские, ale że bardzo mu się spodobały. Byłam nieziemsko ciekawa, jakie buty podobają się mojemu mężczyźnie, dlatego poszłam. Obuwniczy był u mnie na dzielnicy, całkiem niedaleko, więc nie było to żadne wielkie poświęcenie. Nigdy w nim nie byłam, choć jest usytuowany na głównym deptaku. Mijałam go wcześniej, owszem, ale nigdy nie zajrzałam do środka. To był więc mój pierwszy raz – powiedziała, uśmiechając się tajemniczo. – Już wchodząc do sklepu – ciągnęła dalej – zauważyłam, że tam nie ma żadnych normalnych butów.

– Uściślij, co znaczy normalne buty – przerwał jej ze śmiechem Rysa.

– Normalne buty mają płaskie podeszwy. Można w nich chodzić, a nawet biegać bez obaw o konsekwencje. W tamtym sklepie takich butów nie było. Rozejrzałam się i ogarnął mnie dziwny, pierwotny lęk. Podobno mózgi nasze i zwierząt mają wspólną, gadzią część, odpowiedzialną za odczuwanie lęku. To, co poczułam, to był właśnie taki trudny do wytłumaczenia, zwierzęcy strach. Wszystkie buty w tym sklepie były na bardzo wysokich i dodatkowo, jakby tego było jeszcze mało, cienkich obcasach. Zabiłabym się w takich butach – pomyślałam w popłochu, ale zaraz się uspokoiłam myślą, że przecież tylko oglądam... Ze nie będzie mi nic kupował, bo sam mówił, całkiem niedawno zresztą, że mężczyzna nie powinien kupować kobiecie

butów, bo jest jakiś przesąd, że jak je kupi, to ona w nich odejdzie do innego, a tego by nie chciał.

– Co sądzisz o tych? – zapytał mnie jednak po chwili, wskazując kozaczki.

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – To nie mój styl, mi się podobają glany, wygodne buty, które nim stały się modne, były traktowane jako ortopedyczne, przecież wiesz – dodałam.

– Przymierz – powiedział ciepło.

– Co? – krzyknęłam wystraszona, a ekspedienta (taka wystrojona lala, z tipsami uniemożliwiającymi jej zapewne robienie czegokolwiek w domu, fajny patent swoją drogą) spojrzała na mnie badawczo. Poczulałam się jak okaz w podświetlonym terrarium... Oczyma wyobraźni widziałam jednak nadto wyraźnie, jak noga mi się wykoślawia na tej cieniutkiej szpilce, tracę równowagę i lecę jak długa na kafle podłogi. Publicznie, w moim miasteczku, gdzie wszyscy się znają, a mnie tym bardziej, bo się trochę wyróżniam wyglądem.

– No, trochę – wtrącił Rysa rozbawiony.

– To nie jest dobry pomysł – oświadczyłam Kresce z przekonaniem, analizując pobieżnie fakty i myśląc z przerażeniem, że być może przez takie szpilki, można nawet złamać sobie nogę i jak wtedy bym chodziła na koncerty...

– Tylko załóż – poprosił ciepło. – Chciałem zobaczyć, jak byś wyglądała w takich butach.

– Nie utrzymam równowagi na czymś takim długim i cienkim – próbowałam mu przetłumaczyć. – W szpilkach trzeba umieć chodzić, ja nie umiem – wyszeptałam ze ściśniętym gardłem. Nie chciałam robić zamieszania, przykuwać ponownie uwagi sprzedających tam kobiet.

– Kochanie tylko załóż – nie odpuszczał. – Przytrzymam cię – oświadczył dziarsko.

Spojrzałam na buty, które wydawały mi się nieciekawe, i na Kreskę pełnego nadziei. Wciągnęłam posłusznie kozaczka na nogę. Oczy Kreski rozblęły, prawie dostał orgazmu. Spojrzałam w lustro i zobaczyłam, że całkiem fajnie konweniuje się kozaczek (jakby powiedział Kreska) z moją nogą. Założyłam drugiego i przeszłam kawałek po sklepie, myśląc tylko o tym, by nie stracić równowagi i nie człapać w nich jak szkapa. Nawet w tym momencie myślałam głównie o tym, aby mu się podobać, by go podkreślić, skoro lubi takie przebieranki.

– Czy są wygodne? – spytało podchwytliwie moje kochanie.

Głos Kazamiko stał się słodki i płynny jak lipowy miód. Kapał niczym płynne złoto.

– Wiesz, to dziwne, ale nawet tak – odpowiedziałam mu szczerze, niczego nie podejrzewając.

– Proszę zapakować, bierzemy – rzucił w tym momencie ekspedientce, sięgając do kieszeni po portfel.

Zatkało mnie. Otworzyłam chyba nawet usta ze zdumienia, ale widocznie zapowietrzyłam się jak wigilijny karp, wyciągnięty nagle z baseniku i rzucony bezceremonialnie na sklepową wagę. W rezultacie nic nie powiedziałam. Kobieta w tym czasie sprawnie pakowała kozaczki. Profesjonalistka, bez dwóch zdań. Nie chciałam robić tam scen. Zgłaszać protestów. Nagle na wszystko było za późno. Buty były zapakowane i zapłacone. Wyszliśmy. Kreska uszczęśliwiony. Ja oszołomiona. No i takim trafem mam na starość buty na szpilkach – skończyła swoją opowieść Kazamiko.

– Jak się w nich chodzi? – spytał z zaciekawieniem Rysa.

– Nie są tak wygodne jak glany, ale daję radę. Początkowo pokonywałam w nich tylko krótki odcinek od drzwi do łóżka, wiedząc, że dywan jest miękki jakby co, a upaść w zaciszu domu to nie to samo co wyrznąć się gdzieś publicznie... Potem przełamalam się i zaczęłam wychodzić w nich z domu. Oczywiście początkowo na małe dystanse. Rozdeptałam je sobie i jako tako nauczyłam się w nich chodzić. Myślę, że są bardzo seksi. Nie dostrzegałam tego wcześniej, ale jest jednak coś seksualnego w szpilkach. W tym jak wyglądają w nich kobiece nogi, a nawet w samej szpilce... W jej długości, cienkości – oznajmiła.

– No jest – uznał Rysa z uśmiechem rozbawienia.

Nie przypuszczał, że kiedykolwiek zobaczy Kazamiko w takich butach. Życie niesie pełno niespodzianek. To chyba właśnie sprawiało, że było tak fascynujące. Nigdy do końca nie wiadomo, co przyniesie jutro ani co czai się za najbliższym rogiem.

Rysa mieszkał sam, w nowo wybudowanym bloku, w sercu starej dzielnicy. Cenił sobie spokój tych czterech ścian. Pamiętał, jak było kiedyś, gdy mieszkał jeszcze z rodzicami i niezbyt dobrze się z nimi dogadywał, bo krótko mówiąc nie pasował do ich wizji. Wyfrunął z rodzinnego gniazdka tak szybko, jak tylko się dało...

Kiedyś myślał, że jego ojciec jest starszy od węgla.

– Jak można mieć tyle lat? Takie poglądy, tak ciasny horyzont? – zastanawiał się.

Nim się obejrzał sam wbił się wiata i ciut zdziwaczał. Machina zwana życiem, z tymi wszystkimi trybikami, wciągnęła go i przemielila, jak wielu jemu podobnych. Po prostu zleciało. Rysa nie czuł się staro. Trzymał się też, co trzeba mu przyznać, dość dobrze. Brzemie lat doskwierało mu w zasadzie tylko w obliczu urody dziewczyn, coraz młodszych. Kontakt z nimi. Z tym ich beztróskim szczebiotem. Z tym lekkim, bo nie naznaczonym zbytym doświadczeniem podejściem do życia. Gładkością ich ciał. Ciasnością szparek, nie rozepchanych innymi, tymi co przed nim, ani przeciskającymi się w dniu narodzin ich dziećmi, był dla niego jak odmładzający zastrzyk. Z drugiej strony uświadamiał mu jednak, że on sam nieubłagane się starzeje. Podąża drogą ku drzwiom z napisem: koniec. Nic nie mógł na to poradzić. Nikt nie może. Tak to już jest wszystko urządzone. Pojawiamy się, chwilę trwamy i znikamy.

Kazamiko, którą właśnie wpuścił do swojego małego królestwa, też miała swoje lata. Oboje byli sporo po trzydziestce. Podobna historia. Przynajmniej przy niej nie musiał więc udawać młodszego, tryskającego wiecznie energią. Takiego, któremu się nadal wszystko chce, nawet na imprezę z marszu, w środku nocy, na drugi koniec miasta. Nie podrywał jej i to też wpływało na ich wzajemne relacje, wygładzało je, jak ręka matki bruzdy na dziecięcej kołderce. Nie musiał jej nic udowadniać. W łóżku ani poza nim. Mógł być sobą. Trochę zgorzkniałym, rozleniwionym, a jednocześnie tak mocno kochającym życie facetem. Te wszystkie jego szaleństwa z młodymi dziewczynami, koncerty i picie z kolegami. Niszczyło go to i jednocześnie trzymało przy życiu. Stanowiło o jego pięknie, bardziej niż wschody i zachody słońca opromieniające planetę Ziemia. Rysa zdecydowanie miał swój świat. Jego kawałeczek zazębiał się ze światem Kazamiko. Słuchali tej samej zbuntowanej muzyki. Uwielbiali czytać książki. Cenili dobry seks, choć nie mieli go ze sobą. Poza tym różniło ich wszystko.

„Pragnąłem kiedyś być wolny od niewoli codziennego życia. Pragnąłem kiedyś być silnym, aby móc obronić się. Pragnąłem zawsze być sobą, abym wiedział co robić, by udawać normalnego człowieka, tak po prostu normalnie żyć. Ale zawsze i tak, byłem przegrany człowiekiem” – w eterze rozbrzmiewał Zakon Żebrzących, z jakiegoś już dość podniszczonej kasety.

– Rany, słuchasz takich staroci – rozmarzyła się Kazamiko.

– Co słyhać? – zagaił Rysa zdawkowo, jak już weszła i rozgościła się, moszcząc się na jego ulubionej kanapie, którą dopiero co sam opuścił, ignorując jej zaczepki co do staroci.

– Wiesz przecież, że nigdy nie umiem odpowiedzieć na tak postawione pytanie – przypomniała mu Kazamiko z lekkim zniecierpliwieniem. – Wymyśliłam sobie, że jak ktoś mnie spyta o to, to będę odpowiadać, że nieregularny seks, regularne koncerty i ledwo na to wpadłam, poznałam Kreskę – powiedziała i rozmarzyła się

– Rozumiem, w sumie też tak miewam, czasem – wyznał.

– Sam widzisz – zaśmiała się Kazamiko. – Wiesz, wróciłam wczoraj z sunią z ostatniego wieczornego spacerku. Rozpłaszczyłam się w ciepłe domu. Rozsznurowałam i zdjęłam glany. Siadłam wygodnie w fotelu i wtedy zobaczyłam małego, zielonego pasikonika uczeponego nogawki moich spodni. Jak gdyby nigdy nic czyścił sobie czułki wolnym odnożem.

O nie, wymamrotałam. Nie mogłam zauważyć go na dworze, gdzie wystarczyłoby go strzepnąć lekko dłonią, by wrócił na łono natury... Musiał się tak mocno trzymać i zawędrować ze mną, aż do mojego mieszkania w bloku, na trzecim piętrze? Nie będę już wychodzić, po prostu wyrzucę go przez okno – postanowiłam twardo. I tak ktoś inny by go pewnie zgniótł lub wrzucił do sedesu i skończył sprawę spuszczeniem wody. Za dziką rzekę w Aqua parku się płaci, on miałby ją za darmo. Ze mną ma choć jakąś szansę – rozgrzeszyłam szybko samą siebie i to, co zamierzałam zrobić. Włożyłam go do słoika. Otworzyłam okno i wtedy się zaczęło... Czarne myśli odnośnie jego wątpliwej przyszłości otoczyły mnie i zaczęły kąsać jak wściekłe psy. A jak nie przeżyje, albo co gorsze, pozostanie żywy ale okaleczony, zakłębiło mi się w głowie, gdy patrzyłam tak na niego przez szkło słoika. Był na prawdę śliczny, cały zielony, delikatny, a jednocześnie perfekcyjny. Jak małe dzieło sztuki. Klejnot, który wyszedł spod ręki utalentowanego jubilera. W dodatku poruszający się. Istne cudo. Zamknęłam okno. Cholerny pasikonik wymamrotałam wkurzona, ponownie sznurując glany. To nie jest normalne, zapewniłam samą siebie, zbiegając z nim po schodach trzy piętra w dół. Brakuje mi tylko tego, by ktoś z sąsiadów mnie przyuważył, jak kucam wieczorem pod blokiem, za krzakiem... Przy mojej i tak zszarganej opinii. Potrząsnęłam słoikiem. Mały cholernik zapałł się swoimi

wszystkimi odnóżami. Położyłam więc słoik w trawie, zostawiając mu decyzję, kiedy sobie z niego wyjdzie. Wróciłam do domu. Ponownie się rozpląszczyłam, zdjęłam glany. Tym razem na dobre. Też mieszkasz w bloku, więc wiesz, że nie ma tu kominków ani szpar w ścianie, w które mógłby wejść taki mały gość jak on. Przeczekać nadchodzące chłody. Schronić się, w zamian cykając rytmem natury, choć ponoć to wkurzające na dłuższą metę. Przynajmniej tak słyszałam – skończyła.

Uśmiechnął się zamiast komentarza.

– A co poza tym? – zadał pytanie pomocnicze Rysa.

– Kochaliśmy się nad ranem – zaczęła Kazamiko z innej beczki, takim lekko uwodzicielskim tonem, płynnie zmieniając temat.

Obuta była nadal w te kozaczki na długiej szpilce, które w magiczny sposób przeistaczały ją w kobietę. Zmieniały ją z brzydkiego kaczątka w łabędzicę.

– Wiesz, w cichości bloku, o tej porze – kontynuowała swoją opowieść i było tak, jakby chwyciła koniuszek włóczki z babcinego kłębka i, delikatnie ciągnąc go ku sobie, rozwijała stopniowo. – Gdy nagle kanapa zaczęła niemiłosiernie skrzypieć. Próbowiła chcąc nie chcąc dogonić nasz rytm, ale stare, nie naoliwione sprężyny nie dawały rady. Powiedziałam Kresce, że kiepsko czuję się ze świadomością, że sąsiedzi być może nas słyszą w trakcie.

– Co on na to? – spytał Rysa, a jego oczy śmiały się do niej.

– Nie przejął się. Skwitował wszystko tak, że lepiej chyba, jak słyszą jak się kochamy, niż mieliby być świadkami naszych kłótni.

– Przecież lubisz seks i masz wywalone na sąsiadów – wymamrotał, nie bardzo wiedząc, jak to skomentować Rysa.

– No niby tak, ale z drugiej strony jest to dla mnie takie bardzo intymne. Kocham Kreskę. Nie chcę wpuszczać do środka nikogo innego, nawet tak symbolicznie – zachnęła się.

– Ale mi opowiadasz – odparował jej po chwili, spoglądając w szare oczy.

– Ale bez szczegółów – odparła z naciskiem.

– Mam przecież wyobraźnię, choć jestem facetem – odpowiedział jej ze śmiechem.

– Starym grzybem – rzuciła zirytowana, choć sama była wiekowa. Zamilkła. Rzucił jej szybkie spojrzenie „spode łba”. Westchnęła.

– Faceci – dodała po chwili pojednawczo. – Łatwiej z wami sypiać, niż z wami wytrzymać – oświadczyła, zamykając temat.

Uśmiechnął się subtelnie, wyraźnie rozbawiony jej przemyśleniami.

– A wiesz, jak szłam do ciebie – wtrąciła, przestawiając niczym magiczną wajchę rozmowę na kolejny, zupełnie inny tor. – Koleś na rowerze tuż obok mnie wyleciał w powietrze. Przez chwilę dosłownie frunął, jakby chciał się wzbić w przestworza, nim spadł i rozpląszczył się na jezdni. Pomogłam mu się wgramolić na chodnik, bo kto wie, ile by leżał na jezdni...

– Kazamiko, ty to zawsze masz jakieś przygody – zauważył Rysa.

– Chodzę tu i tam, to mam. A co, ty ich nie miewasz? – zaśmiała się.

– Z pewnością nie tyle – odparł z wrodzonym wdziękiem.

– A tak w ogóle, co u ciebie? – spytała kurtuazyjnie Kazamiko. – Mów mi tu szybciotko, bo na razie ja się tu wyzewnętrzniam, a ty pozostajesz cichociemny – zamruczała.

– Wiesz, tak sobie myślę, że muszę ograniczyć lub nawet rzucić picie, chcę coś w życiu jeszcze osiągnąć, dokonać wielkich czynów – stwierdził Rysa ciut nostalgicznie i patetycznie zarazem.

– No coś ty, przecież lubisz pić. Poza tym, wyżej chuja nie podskoczysz – zawyrokowała Kazamiko.

– Skąd bierzesz takie powiedzonka? – spytał wprost, nieco obruszony.

– Ja se to ne wim. Tak mi się jakoś powiedziało, może to gdzieś zasłyszałam, no raczej nie z książek – zarechotała rozbawiona. – „Wszędzie lateks i plastik i to pierdolone chamstwo naszej generacji” – wyrecytowała kawałek tekstu O.S.T.R. – Wyluzuj – wtrąciła po chwili pojednawczo, widząc, że nadal się trochę dąsa. – Nie wiem, czemu mi się tak powiedziało. Oczywiście jak rzucisz picie, to będzie na plus, bo ty rzeczywiście odrobinę przesadzasz z ilością i częstotliwością – dodała promiennie. – A co do reszty, póki żyjesz zawsze masz szansę zrobić coś, co zostanie po tobie, dziecko jakiejś pannie chociażby – rzuciła mu ze śmiechem, uderzając z premedytacją w jego najczulszy punkt.

Zostać tatusiem to był najgorszy scenariusz, jaki tylko Rysa mógł sobie wyobrazić. Zamierzył się ręką, udając że jeszcze słowo i przyłożył jej. Zaśmiała się perliście.

– Zważaj na słowa, abyś potem nie musiała opowiadać farmazonów, że uderzyłaś się w szafkę – rzucił z udawaną srogością.

– Jak ja zaliczę szafkę, to ty zderzysz się z lodówką – odparowała błyskawicznie.

Ich śmiech wypełnił przestrzeń pokoju, tak małego, że wszędzie miał swój punkt centralny.

– „Kobieta to róża, która ciebie kaleczy. Kobieta to choroba, której nikt nie wyleczy. Kobietaaa” – zaintonowała, lekko fałszując kawałek swojego ulubionego Października, jednej z tych kapel co to pojawiły się i przepadły bez wieści, pozostawiając po sobie ledwie parę nagrań.

Zignorował to.

– Co jest w nim takiego, że tak ciebie do niego ciągnie? – zapytał Rysa, znowu koncentrując się na niej. – Co poza seksem, bo to przecież można mieć z każdym? – doprecyzował pytanie.

– Robi niesamowite zdjęcia. Do tego pisze i to tak pięknym stylem, że mam wrażenie, że moje pisanie przy nim to czysta grafomania. Potrafi zakląć w słowa miłość, zdradę, swoje pożądanie, lęki, obawy. Swój sposób widzenia świata. Jest tak, jakby umiał pochwycić pięknego ptaka w locie. Zatrzymać w dłoni i puścić na wolność, gdy mu przyjdzie ochota. .. Kocham się w jego słowach. Ma dar – odparła uśmiechając się słodko. – Czytał mi swoje wiersze, są naprawdę dobre. Wnikają we mnie głęboko i poruszają jakieś ukryte struny. Spytałam, czy publikował je gdzieś i wiesz, co mi odpowiedział ?

– Co?

– Ze opublikował je, na murze... To było takie śmieszne, prawie się popłakałam ze śmiechu. Widzisz, on potrafi mnie zawsze rozbawić. Uwielbiam to jego poczucie humoru. Do tego wszystkiego jesteśmy po zbliżonych przejściach. Mam wrażenie, że on doskonale mnie rozumie. Czuję się tak, jakby czytał ze mnie jak z otwartej książki. Nie muszę mu wiele mówić, a on i tak wie, co czuję. Często myślimy o tym samym, mamy identyczne skojarzenia. I to jest takie niesamowite. Podobno w życiu przyciągają się przeciwieństwa, aleja tak nie mam. Mnie jak już, to ciągnie do kogoś podobnego do mnie. Jest we mnie jakieś idiotyczne przeświadczenie, że tylko ktoś taki mnie zrozumie. Pewnie dlatego wszyscy moi faceci byli punkami i w zasadzie zaczynałam chodzić z nimi bez wcześniejszego umawiania się na randki. Żadnych zalotów, gry wstępnej, wzajemnego bliższego poznawania się. Jeśli interesujący mnie facet był punkiem, to mi w

zupełności wystarczało. Miałam poczucie, że jest taki jak ja, że słucha tej samej muzyki, jest prawdopodobnie po jakichś przejściach w domu, wie czym jest nietolerancja, że sporo rozumie i że mnie nie skrzywdzi w łóżku, że nie zrobi niczego wbrew mej woli. Nikomu innemu bym nie zaufała w tych sprawach – wyznała żarliwie Kazamiko.

– Kaz nie możesz podchodzić do tego w ten sposób. Faceci są różni, wśród punków też może trafić się szuja – oświadczył Rysa.

– No niby wiem, ale i tak jest we mnie do was, punków, takie niesamowite zaufanie. Czy wiesz, że byłam z Kantem przez rok i nie wiedziałam, jak ma na imię? – spytała.

– No coś ty? – zdziwił się Rysa.

– Nie interesowało mnie jego imię, to nadane mu przez rodziców. Mówiłam do niego tak jak wszyscy, po prostu Kant. Zresztą do dziś tak mówię. Niedawno Młoda oświadczyła, że wie, jak tata ma na imię i okazało się, że wydawało jej się, że Kant to jego imię. Musiałam jej tłumaczyć, że to ksywka, pseudonim, że na imię tata ma inaczej – dodała Kazamiko. – A wracając do Kreski, to fascynuje mnie jego inteligencja. Jest pierwszym facetem, który mnie zgwałcił – powiedziała, a Rysa przyjrzał się jej uważniej. – Intelktualnie – dodała Kazamiko z wdziękiem. – Przez moment nie czułam z nim partnerstwa – ciągnęła Kaz ciurkiem, jak nakręcona. – Poczułam się blondynką, która nie nadąża za strumieniem jego myśli. Pociąga mnie to w nim. Facet nie musi być obłędnie przystojny, ale musi być mądry. Oczywiście seks jest też dobry. Nie ma witalności nastolatka, ale za to ma technikę. On wie, jak na mnie spojrzeć, co mi powiedzieć, gdzie i jak mnie dotknąć, bym zapłonęła... Uwielbiam to z nim – zamruczała.

Zamyślił się nad tymi słowami.

– Zapuść mi jeszcze coś fajnego – poprosiła słodko, wyrywając go z tego stanu chwilowego odrętwienia. – Zaraz muszę lecieć. Kreska przyjeżdża, robię kolację – dodała uroczo.

– Rozpuszczasz go – powiedział ciepło.

Widok jej takiej zakochanej, nastrajał go pozytywnie. Przywodził myśl, że może i on kiedyś się tak zatraci. Odleci w nieznane, choć nie wiedział tak naprawdę, czy chciałby tego. Jego dotychczasowe doświadczenia z kobietami nie mówiły nic o trwałości uczuć. Jedynie o ich przemijaniu, o trawiącej ciało zazdrości w trakcie i niezręczności przypadkowych spotkań potem, z byłymi już kobietami.

– Kocham go i rozpieszczę – potwierdziła Kazamiko, uśmiechając się nieziemsko do niego, do siebie, do tego co w niej. – Mam na to wyjebane, czy tak się powinno robić, czy nie – dodała beztrąsko.

– I wyjebane na swoje słownictwo – podsumował ją w lot.

„Kościół wspólnota dawno stworzona, zbiera pieniądze na swoje rządy” – poleciało z głośnika.

– Co ja słyszę, Szybkie Banany, z Wilim na woku. Nie wiedziałam, że masz takie perełki. A wiesz, byłam kiedyś na ich koncercie. Nie wiem, czemu przyszło dużo skinów. Dym wisiał nieznośnie długo w powietrzu, aż w końcu jeden z nich rzucił krzesłem w naszym kierunku. Drasnęło mnie w plecy. Odruchowo złapałam to krzesło i odrzuciłam w ich stronę, no i się zaczęło... W końcu mieli pretekst. Punkowcy, z którymi byłam, choć fajni chyba nie za bardzo umieli się bić, zresztą przewaga była, z tego co pamiętam, dość spora. Biegliśmy przez taki wiadukt i nagle mi zabrakło tchu. Normalnie to biegam dobrze, ale wtedy kompletnie wysiadłam. Kumpel zauważył to, cofnął się do mnie i zasłonił mnie własnym ciałem. Staliśmy tak na tym wiadukcie, słysząc narastający stukot glanów i myślałam, że oto nadchodzi koniec. Byłam pewna, że nie będę beczynną patrzeć jak go tłuką, więc włączę się w dym, a przecież bić się nie umiem. Tak sobie gdybałam, gdy nagle usłyszałam „zostawcie go, jest z panną” i skinie pobiegli dalej, zostawiając nas samych. Staliśmy oszołomieni. Jedną z tych krótkich chwil, które zapadają ci w pamięci na całe życie. Obok przejechała policyjna suka, nie reagując na to, co działo się w zasięgu ich wzroku. Takie to były czasy. Może to przez sentyment, ale lubię polskie kapele – skończyła.

– Puszczam ci polskie, bo przecież wiem, że prawie nie słuchasz zagranicznych kapel – wtrącił gwoli wyjaśnienia.

– No nie jest tak do końca – zachnęła się. – Słucham Crass, Berurier Noir, Patty Smith, znam Dead Kennedys, Exploited i parę innych. Lubię Joy Division. Wiesz, po prostu dla mnie zawsze liczył się najbardziej tekst, przekaz. Słabo znam angielski, więc latami słuchałam głównie polskiego punka, bo przynajmniej wiedziałam, o czym śpiewają – wyjaśniła.

– „Tak chciałbym coś powiedzieć, lecz słowo kamieniem się stało i przelatuje między nami. Komunikaty – lawina słów. Komunikaty – lawina słów bez znaczenia” – rzuciła. – Znasz? Swego nie znacie cudze

chwalicie? – spytała retorycznie, gdy milczał. – Inkwizycja – oznajmiła. – Ta od tego obrazoburczego kawałka o Bogu. „Stwórzmy Boga na własne podobieństwo. Niech będzie mały i parszywy. Wtedy wszyscy w niego uwierzą” – dodała.

– I od tego „Piję tylko kwaśne mleko i nikomu nic do tego?” – wpadł jej w słowo.

Przekomarzali się jeszcze trochę. Po czym poszła do domu robić wspomnianą kolację dla Kreski.

– Zdawało się, że jest ptakiem, którego nie można zamknąć w klatce – pomyślał, gdy już poszła. – A jednak Kresce udało się przyhamować tą jej aktywność. Ten jej pęd. Wieczne rozedrganie, nienasycenie. Dokonał tego, co zdawało się niemożliwe – zauważył.

Kazamiko prawie nie chodziła już na koncerty. Rzuciła swoje aikido i psie stowarzyszenie, w którym się sporo udzielała. Widocznie dawał jej tyle, że nie potrzebowała już jak dawniej tyle wszystkiego w życiu. Tworzyli pierwszy plan. On, jej dziecko, jej suczka, rodzice, w tym ciężko chora mama. W tle znajomi, muzyka, jej praca na godziny. Frunęła na skrzydłach miłości i nic się nie dało z tym zrobić. Trzeba było to zaakceptować i cieszyć się z okrucichów, jakie zostawały się innym. Prawdę mówiąc, Rysie wystarczało to, co było. Miał swoje życie, swoje przygody, pracę. Lubił samotność, którą przełamywał seksem z coraz to inną kobietą, suto zakrapianymi spotkaniami ze swoimi kolegami. Pełen luz. Życie bez zobowiązań. Bez zbytniego wiązania się z kimkolwiek, uzależniania się od obecności drugiej osoby. Pasowało mu tak, jak było. W tym ten spontaniczny, nieregularny kontakt z Kazamiko. Czas płynął. Starzeli się wszyscy, nawet jej suka i mężczyzna, którego anektowała, by móc go kochać. Z głośnika wciąż płynęła zbuntowana punkowa muzyka...

Tego wieczoru Kazamiko uwinęła się z kolacją szybciej niż myślała. Sprzątnęła ze stołu, umyła blat, zapaliła świece i wyjrzała przez okno. Stała tak przez chwilę w oknie swojego bloku. Wśród tłumu zmierzających dokądś ludzi nie zauważyła jednak sylwetki Kreski. To pomimo intensywnego wpatrywania się w chodnik, pulsujący ruchem pieszych.

– Jak ścieżynka zmierzająca do mrowiska – pomyślała bezwiednie.

Położyła się na kanapie i zdała sobie sprawę, że zamiast słuchać muzyki, wypełniającej przestrzeń jej pokoju, wsłuchuje się w odgłos kroków na klatce. Uchem łowiła dźwięki zza drzwi. To była jej rzeczywistość. Czekala na niego i nie mogła się na niczym skupić. Bardzo za nim tęskniła. Myśli o nim przychodziły, nie pytając jej o zdanie. Zjawiały się w jej głowie natrętne i nieproszone. Nic nie mogła z tym zrobić, bo nic innego w tej chwili dla niej zwyczajnie nie istniało. Dotarło to do niej boleśnie.

„Nowy dzień, papierosy. Inne ściany, inne głosy... deklaracje bez znaczenia. Ja nie mam nic do powiedzenia... nad głową znany plakat, podobno nie ma już jutra. Wszystko tu odbija się w krzywych lustrach. Umowność sytuacji. Umowność scen” – cichutko leciała Gardenia.

– Odwaliło mi – pomyślała zdruzgotana swoim stanem. – Za bardzo go kocham – coś w niej zaskowyczało. – Wyjdę mu naprzeciw – powiedziała na głos, sama do siebie, wbrew temu. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i swoim świeżym przemyśleniom.

Przebrała się szybko. Jakby czas ją gonił, kłapał zębiska-mi. Założyła rajstopy, choć nigdy ich wcześniej nie nosiła, i te buty od niego na długich szpilkach, w których dopiero co jakimś cudem nauczyła się chodzić. Jej znoszone glany smętnie wyzierały z kąta. Narzuciła kurtkę i wybiegła z domu. Obok bloku zauważyła go zmierzającego w jej kierunku. Rozpromieniła się. To dodało jej skrzydeł. Gdyby mogła, pobiegłaby ku niemu i rzuciła się mu na szyję, jak jakaś zakochana po raz pierwszy małolata. Bała się jednak biec w tych butach. Czula przed nimi respekt. Zdławiła więc w sobie to pragnienie. Czasem coś jej się w życiu udawało. Przybliżali się do siebie powoli. Gdy był już tuż-tuż, stanął na przeciw niej, spojrzał jej w oczy, a ona zarzuciła mu swoje ramiona na szyję. Namiętnie pocałowała go w usta. Z języczkiem. Nie mogła się go doczekać.

– Tęskniłam – wyszeptała czule.

Nic nie odpowiedział. Nie naciskała na żadne deklaracje z jego strony. Nie potrzebowała ich. I bez tego była szczęśliwa. Przyjechał. Był. Przed nimi cała noc. Tylko to się liczyło. Czas zatrzymał się w miejscu. Trzymała jego dłoń w swojej. Szła, ładnie stawiając kroki. Na schodach pohamowała się i nie wbiegła jak zwykle, pokonując po dwa trzy stopnie na raz. Raz, że buty. Dwa, że Kreska tuż za nią... Szła więc przed nim wolno, zmysłowo zaplatając nogi. Ocierając je delikatnie o siebie. Robiąc małe kroczyki. Eksponując je. Wiedziała, że na nie patrzy.

Nie musiała się oglądać. Podobały mu się jej nogi i dłonie. Na to z jej fizyczności zwracał największą uwagę. Wiedziała to i dawała czego pragnął. Ona, która nigdy nie chciała się podobać żadnemu mężczyźnie... Weszli do niej i wkrótce rozległo się charakterystyczne pukanie i szuranie, dobiegające z mieszkania wyżej.

– Przyszedł wieczór, sąsiad stuka. Co będzie jutro? – spytała Kazamiko retorycznie, wszak mieszkała w bloku z płyty już od wielu lat, znała realia.

– Jutro ktoś stuknie jego – odpowiedział Kreska bez wahania, z łobuzerskim uśmiechem.

Lubiła jego celne riposty i to jego czarne poczucie humoru. Włączyła muzykę. „Dla nich tylko ważny szmal. Dla mnie to odległa dal” – przekonywały Nocne Szczury, lecz tekst tym razem umknął jej uwadze.

– Mogłabym być twoją gejszą – powiedziała, uwodzicielsko zaglądając Kresce w oczy. – Tylko one nie śpią z swoimi facetami – zreflektowała się na poczekaniu.

– A tak jesteś moim gejzerem, demonem seksu – odparł zadowolony z takiego obrotu spraw.

Kolację zjedli w blasku świec. Opuszczone rolety. Zasłona z muzyki. „Tylko na tobie naprawdę mi zależy. Tylko ciebie naprawdę potrzebuję. I kiedy, kiedy znikasz, kiedy ciebie nie ma, w powietrzu czuję, czegoś mi brakuje” – śpiewał Muniek, trafiając w samo sedno ich odczuć, w jej dające o sobie znać pragnienie seksu z nim. Zaczęła ocierać się nieznacznie o niego. Była jak kotka, miękka w ruchach, zalotna. Patrzyła mu przy tym prowokująco w oczy. Jej pożądanie odbijało się w jego źrenicach. Ciężko było jej się powstrzymać. Pragnęła go i nie kryła się z tym.

– Nie położy się, rozkładając leniwie nogi – pomyślał, obserwując ją.

To byłoby zbyt bierne, statyczne. Czuł, że chce się z nim prawdziwie, namiętnie kochać. Mieć z nim żywą interakcję, wzajemność. Dosiąść go i pogalopować na nim w nieznaną lub stać się polem, które on uprawia. Przemieni z ugoru w żyzną łąkę. Szalała na jego punkcie. Nie dałaby rady, nawet gdyby byli pokłóceni, być obok niego i nie zaczepić go do seksu, a tym bardziej leżeć pod nim nieruchomo jak kłoda. Teraz również nie mogłaby tak. Za długo czekała. Zbyt był wyczekany, wyśniony, kochany. Spotykali się tylko

w weekendy. Choć chodzili ze sobą już rok, nie mieszkali razem. Kreska twierdził, że nie pomieściłby się ze swoimi rzeczami w jej małym, zagraconym mieszkanku. Lecz czy doprawdy o to chodziło? Czy unikając zamieszkania z nią, nie chronił zwyczajnie resztek swojej niezależności? Czy nie uciekał przed czymś, co napawało go przerażeniem? Czy to, że wariował na jej punkcie i jednocześnie bał się tego, co dalej, tego jakby to było gdyby mieszkali wspólnie, nie miało znaczenia? Trudno było się w tym połapać. Kazamiko ze względu na córeczkę i swojego psa, nawet gdyby chciała, nie mogłaby przenieść się do niego. Trwali więc w połowie drogi i niczym para potajemnych kochanków widywali się, lecz ze sobą nie mieszkali.

– Ściana oczekiwania mierzy 5 nocy i 5 długich dni – napisał jej w sms-ie.

Czuła to tak samo. Rozłąka z nim fizycznie ją bolała. Spotykali się od roku, mając ciągle wrażenie, że mają randkę. Trochę to było dziwne ale miało i swoje plusy. Nie niosło z sobą znudzenia, towarzyszącego wielu parom, mających siebie na co dzień...

Kolacja dobiegła końca. Przenieśli się, co było do przewidzenia, do jej łóżka. Przekomarzała się z nim, choć go pragnęła, choć był taki wyczekany. Zacisnęła pośladki, broniąc mu dostępu do swojej dziurki. Były jak skała. Uniemożliwiły mu wejście do baśniowej jaskini, w której na chłopców czeka spełnienie... Kreska był „wyposzczony” tyloma dniami oczekiwania i chciał się najnormalniej w świecie kochać z nią. Pragnął pełnego seksu, żadnych namiastek. Krwistego kotleta, a nie sojowego odpowiednika, którego mu ofiarowywała. Jego penis łaknął wejść w jej ciepło i wilgoć. Chciał tego odczucia, towarzyszącego zaciskaniu się mięśni jej pochwy. Zamiast tego usłyszał prawie rozkaz, aby się położył na brzuchu. Chciała widzieć jego plecy. Była bardzo stanowcza. Poddał się więc, choć nie było mu z tym w smak. Zapowiadała się zwłoka, a był to ich pierwszy raz po tygodniowym oczekiwaniu...

– Dobrze, że nie kupiłem jej pejcza. W jej rękach mógłby posłużyć czemuś więcej niż dodaniu szczypty pikanterii naszemu seksowi – pomyślał odrobinę spłoszony, nie mówiąc jednak nic.

Czasem były takie sytuacje, że wszelkie słowa wydawały się zwyczajnie nieprzystające... Położył się posłusznie, tak jak sobie zażyczyła, pomimo całego zamieszania w swojej głowie. Wcisnął bezlitośnie sterczącego penisa w łóżko, w chłód pościeli. Miał otwarte

oczy, lecz zamknął je. I tak nie widział jej ani tego, co zamierza... Zrezygnował ze wzroku i choć był fotografikiem, przełączył się na inne sposoby odbierania bodźców. Koniuszkiem języka polizała go po plecach. Bardzo delikatnie, by dosłownie za moment przejechać mu po nich całym jęzorem. Poczul się jak ciele lizane przez krowę. Dziwnie, ale działało to na niego. Jądra napełniały mu się amunicją gotową w każdej chwili wystrzelić. Penis wciąż łaknął uwagi, której nie chciała mu dać. Nie w tym momencie.

Poczul na skórze jej sutek. Potem oba. Otarła się nimi, unosząc się tak, by czuł tylko to. Jej sutki, nic więcej. Zrobiło mu się gorąco. To było dobre preludium. Podziałało. Przygotowało go na to, co nastąpiło później. Na ciepło jej piersi, którymi przejechała mu po plecach, z dołu do góry. I z powrotem. Następna kolejka mocniej, szybciej, z wierceniem się. Ocierała się nimi o jego plecy, bezlitośnie. Jego penis pulsował. Nawoływał. Uniósł się na łokciu, by się odwrócić. Móc ją zobaczyć, jej rozgwieżdżone oczy. Móc ją dotykać. Przerwała to zdecydowanym ruchem i słowem.

– Kładź się – powtórzyła władczo. – Zawsze miałeś szybko, natychmiast, dziś poczekaś – zawyrokowała i zabrzmiało to złowieszczo.

Uległ jej i powrócił do leżenia. Wszystko się działo, tym razem bez cienia inicjatywy z jego strony. Był nagi, bezbronny, zależny. Jej piersi dotykały teraz jego pośladków. Zetknęły się z ich wypukłością. Ocierała się łagodnie o jego tyłek, by już po chwili wciskać się nimi w niego, chuchając w jego rowek i przechodząc do lizania go tam. A stamtąd były już tylko milimetry do podstawy jego członka. Do jego uniesionych w podnieceniu jąder. Nie chciała ich jeszcze pieścić, choć uwielbiała to robić. Starła się odwlec ten moment, by przedłużyć to, co działo się między nimi. Jednak bliskość jego genitaliów, ich zapach, bijące stamtąd ciepło, widok jego gotowości – wszystko to sprawiło, że nie dała rady. Ta świadomość pokonała ją. Zwinął ją orgazm, którego jeszcze nie chciała. Dyszała rozgrzana do czerwoności. Znieruchomiała i zeszywniała. Tylko mięśnie jej pochwy i serca pracowały jak należy, nadrabiały za inne. Skorzystał z okazji. Zdjął ją delikatnie ze swoich pleców i położył obok. Dłońmi objął mocno jej piersi. Członkiem otarł się o jej pokryte ciemnoblonde włoskami łono. Spojrzała wzrokiem bezradnego kociaka. Jej drapieżność gdzieś wyparowała. Jak magiczny Dżin. Pojawiła się po potarciu lampy jej pożądania. Teraz znikła bez

śladu. Poddała się. Rozchyliła nogi trochę w geście uległości, bardziej by mógł skończyć i dołączyć. Przez chwilę zakosztować tego, co było już jej udziałem. Była bardzo mokra i rozgrzana. Wszedł w nią ostro. Zacisnęła na nim uda, by było mu lepiej, by było to wyrazistsze. Objęła go, zaplatając mu nogi plecach. Ustami odnalazła jego usta. Namiętnie całowała. Kiedy przestała, zaczęła szeptać mu słowa miłości, przeplatane sprośnościami.

– Kocham ciebie najdroższy – wyszeptała do niego wpierw czule.
– Należę do twojego kutasa, masz mnie całą, korzystaj – dodała już po chwili, zmieniając płynnie styl wypowiedzi. – Możesz spuścić się w środku, na brzuch, na moje piersi. Wezmę do buzi, co tylko chcesz kochany – słowa sfruwały jej z jej ust i wlatywały ku niemu.

Wsuwał się w nią swoim członkiem, a ona mimo że leżała pod nim, unosiła nieznacznie swój tyłek ku niemu – wychodząc mu tak na spotkanie. Mocno zaciskając mięśnie pochwy. Palcami wędrując po jego plecach. Momentami wypuszczając pazurki i delikatnie przejeżdżając nimi wzdłuż jego grzbietu. Wywołując w nim ciarki. Była teraz niczym oswojona kotka, milusia. Znowu dochodziła.

– Chcę jeszcze – wydyszała. – Kochany dasz radę? Chcę jeszcze – powtórzyła. – Jeszcze odrobinę – zaskamlą.

Zwolnił, ale ciężko mu było. Wszystko, co w nim męskie, domagało się już spełnienia. Dał sobie chwilkę na to spowolnienie i znowu zaczął poruszać się w niej. Tym razem od tyłu. Pomimo dobrych chęci, skończył trzema głębokimi, szybkimi ruchami. Wyskoczył i trysnął na jej tyłek. Spojrzał na nią, naznaczoną jego nasieniem. Rozsmarował swoje plemniki na jej skórze, niczym jakąś cudowną maseczkę. Chwilę po-leżał, nim pofatygował się po ręcznik zwilżony ciepłą wodą, by zmyć z niej ślad swej obecności. Dowód miłości i pożądania jej kostek obciągniętych skórą...

Rano zebrała się, by wyjść z sunią na siuski. Poszedł z nią. Spuściła suczkę ze smyczy. Momentalnie pobiegła przed siebie, załatwić swoje psie sprawy. Kazamiko odruchowo patrzyła, gdzie biegnie i co robi. Kreska objął ją ramieniem i przytulił się miękko.

– No dobra, przyznam się – powiedział nagle, dziwnie zduszonym głosem.

Spojrzała na niego zciekawiona, gubiąc przez to na chwilę z pola widzenia swoją sunię. Świt opromieniał jego postać. Robiło to na niej wrażenie. Jej mężczyzna. Z którym dopiero co się kochała. Teraz

ubrany. Koszulka z napisem Adicts, skóra, szochrane i posklejane żelem czarne włosy. Nadal seksowny, pociągający. Do tego te muskające go poranne, słoneczne światelko...

– Też tęskniłem – wyznał Kreska skruszony, nawiązując do jej wcześniejszej żarliwej deklaracji wyznanej na ulicy.

Uśmiechnęła się i pocałowała go. Tym razem subtelnie. Czule. Bez tego żaru pożądania, który przy nim tak często odczuwała. Zrobiła to zamiast wszelkich słów. Wrócili, trzymając się za ręce do domu, jeśli można oczywiście domem nazwać mieszkanko w bloku z płyty. Podreptał do łazienki ogolić się.

– Kazamiko masz pająka pod zlewem – krzyknął do niej już z łazienki.

– A tak, czasem tam siedzi. Nie zabijaj go. Jest mały i niegroźny – szybko odkrzyknęła.

Kazamiko i jej zagracone małe mieszkanko. Sterty książek, płyt, starych czasopism, różnych rzeczy. A wszystkie wydawały się jej niezmiernie potrzebne. W kuchni kolekcja starych słoików i całkiem imponujący zestaw herbat.

– Mieszkasz z babcią zielarką? – zagadnął ją, gdy po raz pierwszy był w jej kuchni.

– Nie, a czemu tak myślisz? – spytała zaciekawiona.

– No przecież mówiłaś, że mieszkacie w tym mieszkaniu w parę osób – oświadczył. – A patrząc na tę kolekcję ziołowych herbat i słoje z miodem, na myśl przychodzi mi tylko jakaś babcia zielarka – skończył, uśmiechając się do niej pięknie.

– To moje herbaty – odparła spokojnie, z godnością.

– Kawa z żołądźmi i herbata z pokrzywy też twoja? – zapytał rozbawiony.

– Moja, nie lubię tej normalnej, więc pijam sobie taką – wyznała bez cienia zażenowania.

– Dziwna z ciebie punkowa – stwierdził.

– A co ma piernik do wiatraka? – odgryzła mu się bez ceregieli.

Dla niej było to coś naturalnego. Tak żyła. Póki była sama, nie miała okazji się z tym skonfrontować. Ten czas jednak minął.

3.

– W zasadzie jak się z nim poznałaś? – zapytał Rysa, kiedy kolejny raz wpadła do niego swoim zwyczajem, znaczy bez zapowiedzi.

„Nie rozpaczaj. Nie uciekaj. Świat osiągnął samo dno. Bezsensowna przyszłość czeka, twych powrotów. Ty po prostu olej ją” – eter jego mieszkanek zdominowała na chwilę Śmierć Kliniczna.

– Z Kreską? – spytała Kazamiko, upewniając się.

– No z Kreską, a z kimże innym? – Rysa uściślił, to co wydawało się oczywiste.

– O, to długa i trochę niesamowita historia – odparła Kazamiko i momentalnie jej oczy stały się jakby ciut maślane.

– Mam czas, mogę posłuchać – wyznał wyraźnie zadowolony Rysa.

– Spotkaliśmy się z Kreską pewnej sierpniowej nocy w Sopocie, w Spatiffie, tej knajpie dla artystów. A dodam, że latami chodziliśmy w te same miejsca, na te same koncerty, wystawy i mijaliśmy się, aż do tej nocy w Spatiffie. Byłam w nim pierwszy i ostatni raz zresztą. Dzień wcześniej rozstałam się z Cieniem i to on mnie w zasadzie wyciągnął z domu, żebym nie siedziała sama i nie smuciła. Kreska też nie miał tej nocy ochoty nigdzie łązić, ale dał się ostatecznie wyciągnąć swojemu koledze, który twierdził, że jest umówiony z jakimiś zajebistymi laskami. Poszedł więc dla świętego spokoju. Generalnie oboje zostaliśmy wyciągnięci, bo sami z siebie to byśmy się tego wieczoru nigdzie nie ruszyli. W Spatiffie było ogólnie fajnie, ciekawy wystrój, znajomi, piwko, tylko ta muzyka... Z muzyką jest jak z ciuchami. Pasuje ci albo nie. Mi ona tam zdecydowanie nie pasowała. Uciekłam z parkietu, choć wiesz, jak lubię sobie potańczyć, pod pozorem, że jestem skonana czy coś w tym stylu. Klapnęłam na kanapie i sączyłam browara, spoglądając na tłumek bawiących się do tych nie pojętych dla mnie rytmów ludzi, gdy nagle spostrzegłam jego.

– Albo świruję albo temu gościowi ta muzyka również nie leży – pomyślałam sobie, przyglądając mu się. I gdy on po chwili usiadł obok mnie, nie wytrzymałam. – Czego słuchasz w domu, tak prywatnie? – spytałam go bez słowa wstępu, choć od dłuższego czasu, już raczej nie

zaczepiam nikogo sama z siebie, tak spontanicznie jak kiedyś, kiedy matka ubolewała nad tym, że poznaję ludzi na ulicy lub w pociągu. Nie wyglądał na punka. Ja w sumie tej nocy też raczej nie wyglądałam na kogoś z tej subkultury. Po latach, jak wiesz, często odchodzi się od ortodoksji w kwestii ubioru, nie podkreśla się już tak tego, kim się jest. Człowiek wypracowuje sobie własny styl. Okopuje się w nim. Podobnie, jak stare miedziane rzeczy, z wiekiem nabierają patyny, gubiąc swój rzucający się w oczy połysk. Zaczynamy ubierać się bardziej dla własnej przyjemności, niż by cokolwiek przekazać wyglądem szeroko pojętemu społeczeństwu. Ma się je zazwyczaj gdzieś. Dokładnie tam, gdzie śpiewał Lech Janerka. Kreska miał wypite i nie zamierzał się z nikim otumaniać, zapytałam go jednak o to.

– Punka – odpowiedział mi wtedy buńczucznie i to jedno słowo-klucz zadecydowało o całej reszcie.

– To tak jak ja – odparłam mu wyraźnie ucieszona. Błyskawicznie nawiązała się między nami nić porozumienia. Sączyliśmy piwo, rozmawiając ze sobą. Nie był w moim typie, ani ja w jego, a jednak coś się zaczęło dziać. Zaśpiewałam mu „Chować się, bo nadbiega tłum, chyba, że ktoś chce się z tego pośmiać. Wiele rąk i zbyt mało głów. O faszyzmie łatwo dziś nie mówić. Wiele rąk i zbyt mało głów. I nigdy nie mów mi bzdur, że to dla mnie” Klausa Mitffocha, choć wiesz, że z zasady nie śpiewam publicznie – nadmieniła.

– Masz piękne dłonie – powiedział on nagle.

– Nie staraj się mnie poderwać – odpowiedziałam mu oschle. – Postawiłam wyraźne granice. To było jak warczenie psa, który mówi ci na swój psi sposób „nie chcę, abyś podchodził bliżej”. Byłam po nieudanym związku. Nie chciałam kolejnego. Tego byłam pewna. Mimo wszystko było mi z nim miło. Nad ranem wyturlaliśmy się z knajpki, wprost na sopocki deptak. Objął mnie troskliwie. Nie zaprotestowałam. Ciepło jego dłoni sprawiło, że coś we mnie wyraźnie pękło. Zmrożona bryła mojego serca zaczęła nieubłaganie topnieć. Jak zwykła kostka lodu, wyciągnięta z czeluści zamrażarki i rzucona na kuchenny stół lub wprost do drinka. Pamiętam, że morze pachniało i szumiało cudownie kojąco. Zaprosił mnie do siebie. Poszliśmy spacerkiem, choć cholernie chciało mi się sikać. Mieliśmy towarzystwo w osobie jego kolegi, który nie poderwał jednak żadnej dziewczyny i dreptał za nami. Kreska zamiast seksu, tej naszej pierwszej nocy, pokazał mi więc portfolio – swoją fotograficzną wizytówkę. Muszę

przyznać, że zdjęcia były inne niż wszystkie, jakie widziałam dotychczas. Były po prostu niesamowite. Zrobiły na mnie spore wrażenie. Tematyką, sposobem kadrowania i nawet tym, że w większości były czarno-białe, a ja, jak wiesz, mam duży sentyment do takich zdjęć. Mój czas wolny nieubłaganie dobiegał końca. Czułam się jak bajkowy Kopciuszek, który spotkał księcia, ale musi wracać do domu, tyle, że nie o północy, a nad ranem. Czas naglił. Był moim ewidentnym wrogiem. W domu czekała na mnie Arusia... Muszę lecieć, mam psa – rzuciłam i zerwałam się nagle. Pożegnaliśmy się niezgrabnie. Wróciłam do siebie. Do swojego miasteczka na obrzeżach Gdańska, do mieszkania w bloku na trzecim piętrze. Nie wymieniliśmy się namiarami. Wszystko działo się za szybko. A i w nas samych za wiele pewnie było niezabliźnionych ran. Zniknęłam jak sen, jak motyl. Jakby mnie nigdy nie było. Kreska łudził się, że bez problemu mnie odnajdzie. Byłam w Spatiffie, a tam nie przychodzą raczej ludzie z ulicy, poza tym byłam panną z klimatów, poznał moją ksywkę. Nie sądził, że będzie jakikolwiek problem, żeby mnie znaleźć. A jednak nie udało się to tak szybko, jakby chciał. Przyznam, że jak ochłonęłam trochę, to też szukałam go wzrokiem na uliczkach Sopotu. Jego charakterystycznej sylwetki. Czarnej skóry i okularów. Nie nosił ich na nosie, a na nastroszonych włosach. Uniesione, niczym zadziwione czymś brwi. Ponad orzechowymi oczami, pełnymi głębi. Głębi, w której można się zatracić. Czas płynął. Przyszła jesień i jak co roku ogołociła drzewa z liści. Początkowo dodając im na pocieszenie koloru z palety barw, będących w jej dyspozycji. Drzewa stroiły się w odmienionych szatach. Pyszniły się, by ostatecznie wszystko utracić. Zrobiło się posępnie, a potem zima przyprószyła świat bielą. Odmieniając krajobraz z pomocą swojej śnieżnej kołderki. Fenomen pór roku. W moim życiu nic się nie zmieniło. Ja, córka, pies, muzyka i praca. Tysiące spraw. Zapelnianie dnia, by nie czuć przeraźliwej pustki. Zmęczenie, które pozwalało mi zwalić się do łóżka i zasnąć, nie odczuwając samotności. Nadeszła wiosna. Przyroda budziła się do życia, ale ja oddzieliłam się od niej, wyizolowałam się z otoczenia. Nie poddawałam się już jej rytmom jak kiedyś. Drzewa nabrzmiały pąkami, które w ciepłe słonecznych promieni rozpekły się raptownie. Jakby na dany z góry znak. Jak co roku, stało się to z dnia na dzień, sprawiając, że świat się ponownie zazielenił. Oszło mi swoim zapachem, kolorem soczystej zieleni. Uchwyciłam ten moment, zauważyłam i rzuciłam się

na powrót w wir swoich spraw. Dni mijały nieubłaganie. Wiosna spowszedniała. Jak kobieta, z którą jest się zbyt długo. Niepostrzeżenie przeszła w lato. Zaczęła wydawać owoce. Płodzić. Nie szukałam już Kreski. O dziwo, mimo że był punkiem, nikt z moich znajomych go nie znał. Opuściłam sobie. Dalej byłam pogrążona w swoim rytmie. Praca, dom, obowiązki i koncerty. Muzyka jest ze mną od dawna. Przynosi mi ukojenie. Poznawałam nowych ludzi, w tym ciebie. No a potem był punk fest. Pojechałam chętnie, choć sama, bo nikt ze znajomych się nie wybierał. Nie przeszkodziło mi to. Mała, niekochana dziewczynka, która odnalazła się w brzmieniu dźwięków. Rozejrzałam się po sali i struchlałam. Przy barze był ON. Nie widziałam go rok, ale od razu go poznałam. Był z kolegą. Nie zauważył mnie. Przyszedł tak jak ja. Powodowany czymś, ale wyraźnie nie szukał znajomości. Nie zamierzał się z nikim otumaniać. Ten widok zburzył spokój mej duszy. Kobieta nie powinna zaczepiać mężczyzny, coś we mnie krzyczało, biło na alarm z całych sił. Resztki rozsądku, nazwijmy to dobrego wychowania, walczyły z podszeptami mojego serca. Z jego pragnieniami i przegrały. Podeszłam do niego. Znowu to ja zaczepiłam jego. Poznał mnie. Zaczęliśmy rozmawiać. I było tak, jakbyśmy wrócili do przerwanej przed rokiem wątku. Jakby czas stanął dla nas łaskawie w miejscu. Nasze ciała wprost lgnęły do siebie. Nie myślały o konsekwencjach. Reagowały na siebie. Przyciągał mnie jak magnes opiłki żelaza.

– Pojedziesz do mnie? – zapytał wprost, gdy koncert chylił się ku końcowi.

Był nieźle wcięty, ale chodził za mną krok w krok, pilnując, aby tym razem mnie nie zgubić i to było fajne. Miało swój urok, choć gdyby to robił ktoś inny, to pewnie by mnie to nieziemsko irytowało.

– Wiesz – zaczęłam w odpowiedzi na to – spałam z paroma punkowcami i muszę przyznać, że wszyscy byli zajebiście dobrzy w łóżku. – Widziałam jak rośnie – Byli dobrzy, ale nie po koncercie, nie po takiej ilości alkoholu. Jak to się mówi... „too drunk to fuck” – skończyłam i roześmiałam się okrutnie, naprawdę nie wiem, skąd się to we mnie wtedy wzięło.

– Dead Kennedys – rzucił odruchowo.

Miałam autentyczną bekę z tego, jak mu wtedy przygadałam.

– I zaśmiała się Calineczka – skwitował to on, nadal patrząc mi w oczy, stojąc tak blisko, że był już prawie we mnie...

Z pewnością był w moim biopolu, a ja nie odpychałam go, choć droczyłam się z nim. I wszystko to wzięte razem do kupy, o czymś świadczyło...

– Przecież nie musimy się kochać, możemy sobie posiedzieć, pogadać, posłuchać muzyki – kusił wytrwale.

– Oczywiście miałam alternatywę, bo ona zawsze jest. Mogłam pojechać do siebie. Nocnym autobusem. Wypełnionym po brzegi wracającymi z imprez pijanymi dyskomanami. Mogłam wrócić do swojego opustoszałego w weekend (nie licząc starutkiej suni) mieszkania, ale nie wróciłam. Wyszliśmy z koncertu razem, w objęciach. Pojechaliśmy do niego. Puścił muzykę. Nie był nachalny. Niczego nie przyspieszał. Ja również. Wiedziałam, że tym razem przypieczętujemy to, co między nami fizycznością. Nie mogło być inaczej. Podobał mi się. Moje serce zwariowało. Biło tak mocno, jakby chciało się wyrwać z klatki żeber. Nasza pierwsza noc. Cudowna. Rozbrzmiewająca muzyką Poison Girls (anarcho-punkowego bandu, jak o nich później przeczytałam w necie, bo nie znałam ich wcześniej), z szalenie klimatycznym kobiecym wokalem. Jego słowa. Jego dotyk. Jego smak. Zapach i spojrzenie. Jego nasienie. Przez chwilę złączeni, nim nadejdą różnice. Rano zrobił śniadanie. Pyszne. Oczarował mnie tym do końca. Zawsze chciałam być z mężczyzną, który by dobrze gotował... Wszystkie moje ukryte marzenia zdawały się spełniać. Zakochaliśmy się jak para nastolatków. W wakacje. Połączyliśmy się w następne. Czy to przetrwa do kolejnych? Czy nie rozpadnie się przez chłód jesieni, nie rozbije o mroźną bryłę zimy? Czy wytrzyma szaleństwo wiosny? Nie wiem tego. Ja jedynie cieszę się chwilą, która trwa. A ona jest piękna. Ostatecznie jednak nie wykończyła nas jesień i nie zmroziła zima, ta co już za nami. Mamy na koncie wspólną wiosnę i kolejne lato. Czas płynie, a my wciąż razem. Czyż to nie jest niesamowite? – skończyła swoją długą opowieść retorycznym pytaniem.

– No – mruknął Rysa. – Nawiasem mówiąc, dziwię się, że nie znałaś Poisona – zauważył.

– Wiesz, jak jest. Słucham ciągle tego samego. Nie rozwijam się zbyt w tym, nie poznaję raczej nic nowego, chyba że przy okazji jakiegoś koncertu. W domu mam swój zestaw kaset i płyt i wałkuję je sobie w nieskończoność, jakoś nie nudzą mi się – wyjaśniła, jakby to tłumaczyło wszystko.

4.

Kazamiko jak na punkówkę przystało lubiła seks. Początkowo był to jej sposób na stłumienie wybuchającego czasem, nawet w niej, mimo rozlicznych deklaracji, poczucia zwykłego osamotnienia. Z czasem pojawiło się coś jeszcze. Mężczyźni zaczęli ją intrygować. Kochała się z nimi, gdy chciała poznać ich bliżej. Sypiała z mężczyzną, który był podobnie jak ona wolny i czymś ją przyciągnął, zafascynował. Pozwalała, by w nią wchodził, w zamian niepostrzeżenie wnikając w niego. Seks w jej przypadku nie służył więc tylko zaspokojeniu popędu. Stał się też drogą wzajemnego poznania. Poznawała mężczyznę, sypiając z nim. Rozmawiając z nim w trakcie i po. Dotykając jego dłoni, torsu, pleców. Czasem jego serca, jeśli odsłonił się na tyle. Liżąc jego genitalia. Przeżywając wraz z nim orgazmy. Przypatrując się temu, czym się zajmuje. Wsłuchując i wczytując się w jego słowa. Oglądając jego prace, rysunki, zdjęcia. Czasem zbliżała się niebezpiecznie blisko. Na szczęście dla niej raczej nie zakochiwała się w mężczyznach. Spotykała się z nimi. Była miła. Starła się, by było im dobrze. Dawała im coś z siebie, lecz nie do końca. Przezornie zostawiała sobie otwartą furtkę. Była z nimi fizycznie. Jej serce pozostawało najczęściej niczym nieporuszona tafla wody. Wierzyła w miłość, ale sama jej nie szukała. Nie łaknęła. Wydawało się, że nie potrzebowała jej już. Chciała jej jako dziecko i gdy dorastała. Ten czas minął. W dorosłym życiu obywatela się na ogół bez niej. Z punktu widzenia jej przeżyć, tak było po prostu najbezpieczniej...

Miłość nie ominęła Kazamiko. Ona ją na swój sposób nazaczyła. .. Pierwszy wyłom w bryle serca zrobił pewien słowacki punkowiec. Wielka, niespełniona, platoniczna miłość w wieku 17 lat, kiedy młody człowiek kształtuje swoją przyszłą osobowość. Przed nim przyjaźniła się z chłopakami, nie wchodząc z nimi w żadną intymność. Jaro sprawił, że zaczęła, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, jej pragnąć. Nim go poznała myślała, że zawsze będzie sama. Tak to sobie obmyśliła. Nie chciała mieć rodziny ani żadnych dzieci. Zmieniła jednak dzięki niemu zdanie. Łączyła ich miłość, muzyka, podobne poglądy na życie. Dzielili ich granica, a potem ocean, gdy wyjechał do ojca, do Stanów. Odkochiwała się parę lat, będąc sama jak palec. Gdy

osiągnęła wyjściowy stan obojętności spotkała Kanta i jej serce znowu zwariowało. Rzuciła się na wzburzone wody uczuć. Czasem morze łagodniało. Słońce odbijało się wtedy cudownie w jego powierzchni, połyskując milionem świetlnych refleksów. Było pięknie, a potem znowu przychodziła burza. Wiatr targał falami. Dryfowała, trzymając go za rękę. Pierwszy raz w życiu czuła, że może z kimś być już do końca swych dni. Całe życie, ile by ono nie trwało. Nie pamięta już, która zawierucha sprawiła, że po latach puścili swoje dłonie i zgubili się w odmętach wzburzonej wody. Fale podtopiły ją wtedy bezlitośnie. Opiła się słonej wody. Posiwiiała. Dopłynęła do brzegu, samotnie. Wyszła z wody. Nie była już syreną z ładnym, pełnym biustem, falą marchewkowych lub rudych włosów, ubraną w młodość i uśmiech dziewczyną. To doświadczenie ją zniszczyło. Z wyglądu przypominała wtedy anorektyczkę. Wychudłe, drobne ciało. Kostki obciążone skórą, jak postać z obozowych zdjęć. Ważyła jakieś 45 kilo. Przez plecy ciągnął się wypukły szlak kręgosłupa. Z przodu rysunek żeber. Wystające obojczyki. Palce, z których złośliwie zsuwały się pierścionki. Było jej coraz mniej, ale coś w niej trzymało się życia. Na przekór wszystkiemu. Rozstanie z Kantem odcisnęło się na niej. Trzy lata była sama. Żadnej intymności z nikim. Żyła prawie jak mniszka. Owszem, chodziła na koncerty, ale nic z tego w tym okresie nie wynikało. Tuż po koncercie jechała do domu, nie dając jakiegokolwiek szansy czemuś nowemu. Nie była zainteresowana poznawaniem kogokolwiek. Dawała się ponieść tylko swojej muzyce. Na ludziach się nie skupiała. Nie przyglądała się im, a zwłaszcza mężczyznom. Byli dla niej w tym czasie jak wymarły gatunek. Tak oto stała się koncertowym mrukiem. Zamknęła się w sobie. Otoczyła się szczelnym pancerzykiem, z istnienia którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Tak jak ludzie nie uświadamiają sobie na co dzień, że mają skórę... Stanowili jedność. Ona i jej pancerzyk. Odrodziła się jak Feniks. Żyła, a jednak nie do końca czuła się dobrze w swoim, tym z popiołów odbudowanym domu, ani we własnej nagle stwardniałej skórze. Czasami zadawała sobie ból, jakby chciała, by ciało cierpiało, by nie miało lekko. Nadal chodziła na koncerty. Przychodziła na nie dla muzyki. Nic innego nie mogło się przebić przez jej skorupę. Wniknąć do jej środka. Sparzyła się, ale nie przyrzekała sobie, że już nigdy nie będzie z żadnym mężczyzną. Nie musiała tego robić. Kazamiko to prostu wiedziała. Czas goił rany. Poczwała się wolna. I wiedza ta zalewała ją i rozpromieniała, niczym

słońce, wpadające smukłymi oknami na kościelną posadzkę... Czuła, że jest już ponad to. Była zimna. W środku martwa. Była sama i tak miało pozostać! Obiecała sobie, że żaden mężczyzna już jej nie zrani.

Być może dzięki temu przetrwała. Odnalazła swój czas i miejsce. Życie ponownie zaczęło ją cieszyć. Nabrało rumieńców. Zafarbowała swoje lekko posiwiałe włosy. Przejrzała szafę z ubraniami. Wyciągnęła srebrną biżuterię. Znowu jej się chciało fajnie ubrać, chodzić w różne miejsca. Wychowywała córkę. Pracowała na godziny. Miała swój ką i wymarzonego psa. Z wyglądu jej pies przypominał co prawda świnię, ale Kazamiko obdarzona specyficznym gustem uważała, że jest śliczny. Po latach buntu pogodziła się też z rodzicami. W wolnym czasie chodziła jak dawniej na koncerty. Czasem dawała się też gdzieś wyciągnąć znajomym. Tak, wróciła do samej siebie. Do tej uśmiechniętej, choć mającej czasem myśli samobójcze, istoty. Miała wrażenie, że choć samotnie, żyje pełnią. Dziecko, praca, muzyka. Regularne koncerty, sporadyczny seks. Lubiła się kochać, ale nie musiała mieć tego co noc. Potrafiła się bez seksu obyć lub mieć go z samą sobą. Jeśli się już kochała, to uwielbiała to robić w czystej, lekko sztywnej pościeli, sprawiającej wrażenie takiej dziewiczej, jeszcze nie sponiewieranej, nie naznaczonej żadnymi ciałami. Zupełnie jakby łóżko było ołtarzem, na którym ofiarowywała się swojemu wybrańcowi. Nie wyznawała żadnej wiary, oprócz tej jednej... Wierzyła w miłość, choć jej nie szukała. Zadawała się jej namiastką, fizycznym wyznacznikiem. Była jak ludzie, którzy wierzą w Boga, ale nie chodzą do kościoła, jednak czasem modlą się do niego w różnych miejscach. Była niepoprawną idealistką, romantyczką. W komplecie do duszy dostała też swoją cielesność, powłokę. Była pełna sprzeczności, ale czuła się szczęśliwa i w jakiś tam sposób spójna.

Przełom nastąpił, gdy po paru samotnych latach pojechała na ślub swojego przyjaciela Arka... Wolny wieczór, alkohol, widok ich szczęścia, tego zakochania towarzyszącego na ogół nowożeńcom, którzy pobierają się z powodu miłości, a nie dziecka w drodze, uderzyły jej do głowy. To właśnie tej jesieni coś w niej zaczęło pękać. Zrobiła się mała szczelina, wyłom. Kokon, w którym tkwiła tyle lat, stracił swoje właściwości. Rozszczelnił się. Chodziła jak dawniej w różne miejsca, bo uwielbiała ruch, jak się coś działo, ale w środku była już inna... Chodzić lubiła zawsze, o każdej porze dnia i nocy, coś ją

zwyczajnie gnało przed siebie. Nie było złych pór roku. Ruch był jej potrzebny do życia. Do tego, by trwać, by nie zgnuśnić.

– Lepiej się zużyć jak zardzewieć – mawiała na poły filozoficznie jej koleżanka Monia i to miało tłumaczyć wszystko.

Określało ją to. Wieczorem, chadzając ulicami, czasem patrzyła ludziom w okna. Przyciągało ją ciepłe, żółte światło. Tak inne od oszczędnej, ale jednocześnie zimnej, poświaty jarzeniówki z pokoiku jej dzieciństwa. Tamto światło kojarzyło jej się z ciepłem, z prawdziwym domem. Takim jakiego sama nie miała. Chciała czasem znaleźć się wewnątrz takiego domu, rozświetlonego taką nieekologiczną, dającą żółtą barwę, zwykłą żarówką. Łaknęła ciepła.

– Idę samotna ulicą mojego miasta – zanuciła, parafrazując Bikini. – Bikini – westchnęła. – Czy ktoś jeszcze pamięta tą kapelę – zapytała samą siebie. – „W kawiarni siedzę przy oknie i patrzę przez szybę mojej melancholii. Na ludzi podobnych do mnie” – przypomniał jej się kolejny fragment Bikini.

Lubiła ruch i kochała muzykę. Pewnie dlatego nałogowo chodziła na koncerty. Dużo ich było. Nie wszystkie pamiętała i to bynajmniej nie z powodu alkoholu. Ot tak, jakoś zatarły się granice między nimi, zostawiając w pamięci jedynie co ciekawsze epizody.

Pamiętała, mimo upływu lat, pewien mały koncert na Osowej. Jechała na niego samotnie, tramwajem. Dała się ponieść zmieniającym się widokom. Zawsze ją to wciągało. Zamyślona, wyglądała przez okno. Gdy w końcu dojechała na pętlę w Oliwie, kątem oka zobaczyła las glanów.

– Ok już są – pomyślała o znajomych, z którymi była umówiona.

Wysiadła i poszła jak ćma, przyciągana płomieniem świecy. Była już jakieś dwa metry od nich, gdy dotarło do niej, że to nie swoi, nie punki, a skini. Łyse głowy, szwedki, biała drabinka sznurówek w porządku, na błysk wypastowanych, czarnych glanach... Nie było wątpliwości. W tamtych czasach, starego wieku, obie subkultury wyraźnie się odróżniały, również wyglądem. Zatrzymała się porażona tym nagłym spostrzeżeniem. Rzuciła mało błyskotliwe „o, o”, po czym odwróciła się na pięcie i powoli odeszła. Nie pobiegli za nią. Mieli swoje zasady. Podjechał autobus. Wsiedli razem. Kazamiko nie była pewna, czy to dobry pomysł, ale pomyślała sobie, że załoga skinów nie przeszkodzi jej w tym, by pojechać na koncert, jak ma ochotę. Poczula złość na znajomych, którzy mieli na nią czekać.

– No tak – zreflektowała się niemal od razu. – Gdyby czekali, dostaliby wpierdol.

Skini kochali dysproporcje. Dwóch na jednego, dziesięciu na trzech. Wtedy czuli się silni, mężczy. Pamiętała, jak kiedyś w Warszawie jechali całą paczką autobusem. Stara załoga, zaprawiona w ulicznych bijatykach i zagubiony, samotny skin. Od razu się do niego przystawili i poleciały agresywne teksty w jego kierunku. Gdyby nie był skinem, byłoby jej go żal, interweniowałyby, ale skinów nienawidziła z głębi serca. Biernie przyglądała się, jak jej koledzy psychicznie się nad nim pastwili. Nie szczuła ich na niego, ale i nie ratowała z opresji.

– Ładnie to tak, w pięciu na jednego? – zasunął im na koniec takim tekstem skin.

Wybuchli gromkim śmiechem.

– Dobra, spierdalaj – brzmiało jak akt łaski, z którego zagubiony skin skwapliwie skorzystał.

Skini nie odpuściliby raczej samotnemu punkowi, chyba żeby ich też czymś rozśmieszył. Ostatecznie byli niegrzecznymi chłopcami, ale mieli ludzkie odruchy. Kiedyś na koncercie Róbregeae w stolicy wyskoczyli z nożem do Syka.

– Ładna kosa, na sprzedaż? – zapytał nieoczekiwanie.

Udał, że nie rozumie sytuacji i przede wszystkim nie stracił zimnej krwi ani nie okazał strachu, który czuł. W tym szczególnym momencie był sam. Było gorąco, ale wyszedł cało z opresji. Upiekło mu się, podobnie jak tamtemu skinowi w autobusie.

Na szczęście dla Kazamiko, jadącej wtedy w pojedynkę na koncert, skini raczej nie zaczepiali dziewczyn. Dotarli więc na ten malutki lokalny koncert na Osowej jednym autobusem. Ona i grupa skinów. Na miejscu było już sporo punków, wśród nich grupka takich, co nie czuli lęku przed skinami, zacyzn późniejszej Twierdzy Gdańsk. Jeden z nich wyszedł przed salę i przezornie wrócił z cegłówką. Bijatyka wybuchła po paru minutach, cegłówka poszła w ruch, jeden ze skinów pozbył się zęba. Było naprawdę ostro. Punki nie dali sobie w kaszę dmuchać. Skini wzięli więc nogi za pas i w pośpiechu, nocą, na pieszo, wrócili z Osowej, tam, skąd ich przywiało. .. Nie wnikała skąd.

Wygrane, przegrane. Momenty lepsze i gorsze. Zawsze razem. Załoga była bardziej spójna niż niejedna biologiczna rodzina. Łączyły ją prawdziwe więzi, akurat nie krwi. Byli ze sobą z wyboru.

W pamięci wyrył się jej też koncert w Węgorzewie, lata temu. Cały dzień jechała na stopa z Rudolfem. Gdy dojechali wieczorem, wszyscy już byli. Była też garstka miejscowych skinów. Trwało mało dyskretne liczenie ich.

– Liczcie nas podwójnie, jesteśmy z Twierdzy Gdańsk! – rzucił z butą Bolo.

Pili piwo, nie przejmując się tym, co dookoła i dowcipkując w najlepsze, co nie zmieniło faktu, że atmosfera się zagęszczała. Skini skrzyknęli się z miejscowymi dyskomanami, dzięki czemu mieli już znaczną przewagę. Wszystko było kwestią czasu. Twierdza Gdańsk na gościnnych występach. Zbliżało się nieuniknione. Dym wisiał w powietrzu. W końcu skini zaczęli podchodzić, coraz bliżej, prawie się o nich ocierając. Mały skinhead stanął na wprost punka obok niej. Bezczelnie, prowokacyjnie się gapił. Był sam, ale za plecami miał kolegów...

– Schowaj ten wzrok – zawarczał Silny ostrzegawczo.

Nie schował... Był sam, ale za plecami miał przecież kolegów. Punkowiec dopił swoje piwo. Wprawnym ruchem przekręcił w palcach butelkę, po czym rozbił ją na głowie skina. Bez żadnych zbędnych słów. Skin błyskawicznie zalał się krwią. Zaczęło się... chyba szybciej niżli koncert. Przy tej przewadze byli bez szans, więc hasłem przewodnim było...

– Spierdalamy! – które rzucił ktoś z nich w naprędce.

Ciemno. Zmrok. W dodatku nadciągała burza. Zaczynało grzmieć i groźnie błyskać. Zbiegli się w jakimś, w pośpiechu wybranym miejscu i liczyli się. W ich ciałach krążyła naturalnie wytworzona adrenalina.

– Kurwa, wszyscy są? – krzyknął pytająco Błażej.

Okazało się, że tak, więc napięcie opadło. Wyszli cało, niektórzy obici, ale żywi i to się liczyło. Była noc, błyskało. Poszli, nie wiedząc, dokąd niosą ich nogi, byle jak najdalej. Skin miał rozwaloną głowę, wiedzieli, że będą ich szukać. Znaleźli w końcu jakiś nieczynny ośrodek wypoczynkowy. Położyli się na betonie, pod wiatą. Pamięta, że było jej przeraźliwie zimno. Nie mieli śpiworów. Miała na sobie podkoszulkę, czarny, gruby sweter i skórę. Jej chłopak podobnie. Położyli jedną skórę na beton, drugą się przykryli. Cała dygotała i wtuliła się w niego. Próbował ją rozgrzać, ale i tak było potwornie zimno. Nie było mowy o seksie, obojgu im było zbyt zimno. Swoją

pierwszą nieskończenie długą noc spędziła pod Węgorzewem. Z Rudolfem na betonie, bez seksu.

Jeśli myślała czasem o poczuciu więzi i przynależności, to był to z pewnością jeden z momentów, gdy czuła to najmocniej, całą sobą, wręcz fizycznie. Początkowa błazenada i lekceważenie przeciwnika, przypływ adrenaliny w trakcie „dymu”, potem odwrót i wyciszenie. Noc pod wiatą z punkiem, z którym dzieliła wtedy noce i dni, no i to niezapomniane liczenie się w blasku błyskawic i Błazejowe „kurwa, czy wszyscy są?”. Gdzieś tam była jej biologiczna rodzina, ale ona miała swój własny świat. Świat, do którego przynależała...

Wiele osób wyrosło z tych klimatów. Kazamiko jakoś nie mogła. Tkwiła w tym już ponad 20 lat. To było więcej niż połowa jej życia, ogromny kawał. Nie potrafiła się tego do końca wyrzec, zupełnie się od tego odciąć. Nie potrafiła też do końca ułożyć sobie życia. Miotła się, szukając czegoś swojego. Po urodzeniu dziecka uspokoiła się trochę, przyczaiła. Potem przyszedł regres i trwał nadal. Znowu w wolnym czasie jeździła na koncerty, słuchała punka. Było jej z tym dobrze. Być może była to jej droga. Robiła swoje, ale w czasie wolnym, prywatnie, dawała się ponieść tej fali. Czuła się punkową, to ją określało.

Kolejny koncert. Po nim jak zwykle szła pieszo na dworzec. Nigdy nie lubiła czekać na łaskę nocnych tramwajów. Szła szybko, pewnie. Bez lęku weszła w zaułek. Czy weszła-by tam, gdyby wiedziała, że może ją spotkać coś złego? Pewnie nie, ale skąd to wiedzieć? Niezbadane są wyroki losu. Weszła i zniknęła na moment w półmroku. Zamknęła oczy. Obcy mężczyzna zagarnął ją ku sobie. W ciemności błysnęła kosa. Użył jej i wprawnym ruchem wykonał poziome nacięcie na jej gardle. Błyskawicznie zrobiła się brzydka, czerwona szrama. Krew trysnęła na zewnątrz, zachlapując ubranie. Poczowała ból. Przejeżdżający radiowóz rozbił mrok i spłoszył zboczeńca. W zaułku została tylko ona. Jej ciało leżało bezwładnie na chodniku. Szyja broczyła krwią. Jej kolor jasnoczerwony. Jej twarz połyskująca białą skórą. Skąpiana w blasku księżyca. Była taka twarda, a jednocześnie taka bezbronna. Starła się być sobą i żyć po swojemu. Oprócz muzyki niewiele miała. Trochę obowiązków. Na swój sposób była szczęśliwa, ale nic nie trwa wiecznie. Wzdrygnęła się na to wyobrażenie. Wizję, co mogło się stać. Pomyślała, że złe myśli mogą przyciągnąć jakieś лихо. Odegnęła je więc od siebie. Chciała żyć. Podobało jej się życie. Przyspieszyła kroku i wyszła z mroku zaułka.

Zachłannie wciągnęła powietrze do płuc. Gdańsk nocą, taki opustoszały, piękny, spokojny. Tylko gwiazdy, uliczne latarnie i sporadyczne ćwierkanie ptaków. Świtało, ale zdawało się, że nie na tyle, by pobudzić ptaki.

– Co jest do cholery? Ptaki świergolą nocą, w blasku latarni, ulicznych neonów. Cierpią na bezsenność, naśladując tym ludzi? Nawet natura, która powinna być ostoją normalności i ładu, wariuje pomału – pomyślała smutno.

„Bo moja ulica jest w sercu miasta” – zadzwieczał w niej kawałek Aya RL.

Zmęczona poczłapała do domu. W jednym z japońskich filmów nowej generacji usłyszała kiedyś, jak bohaterka powiedziała o sobie, że gdyby matka ją przytulała w dzieciństwie, nie byłaby taka porąbana... Idiotyczne, ale Kazamiko pomyślała, że to pasuje i do niej. Nie przytulała jej matka w dzieciństwie i niechybnie była dziwna.

Lata mijały. Zegar tykał. Rana po rozstaniu z Kantem goiła się, a gdy już była prawie zabliźniona Kazamiko poznała Kreskę i to odmieniło jej świat. Zaczęli się spotykać, choć oboje byli po przejściach. Samotni i bardzo ostrożni.

– Tyle lat się mijaliśmy, błędziliśmy uwikłani w inne związki lub liżąc rany po nich. Spaliśmy, ale nie ze sobą – powiedziała mu wprost.

– No tak – odparł. – Lecz dzięki temu, że tak było, teraz mamy багаż doświadczeń. Mamy porównanie. Potrafimy docenić to, co jest między nami – uznał.

– Pamiętasz nasz pierwszy raz? – spytała niewinnie.

– Pamiętam – odpowiedział czule.

– Tak? – dopytywała, jakby ta prawda zwyczajnie do niej nie dotarła.

– Tak – odparł stanowczo. – Rozmawialiśmy do rana, na różne tematy. Czytałem ci moje wiersze. Ty zasunęłaś mi tekstem Guernicy y Luno, gdy weszliśmy na temat gejów. „On jest inny. Pierdoli się z człowiekiem tej samej płci. Ale dopóki nie krzywdzi tym nikogo to jego sprawa i wolny wybór” – chyba tak to szło. Potem położyliśmy się do łóżka. Byłaś w podkoszulku, ja w slipkach, słońce poranka wdierało się przez zasłonięte okno. Odwróciłaś się do mnie plecami, a tak mi się chciało kochać się z tobą – westchnął. – Przytuliłem się

delikatnie. Nie byłem nachalny. Pomyślałem, że może jesteś zbyt zmęczona. Leżałaś chwilę nieruchomo, po czym wypięłaś swój tyłeczek i podsunęłaś go. Miałem erekcję i bez tego... Sterczał mi bezlitośnie, a ty dotknęłaś mnie nim. Czułem ciebie, ale nie robiłem nic, bo nie byłem pewny, czy ty tego chcesz. Znieruchomiałem jak przyszpilony motyl. W tym wszystkim ty zaczęłaś się wiercić, jakbyś szukała właściwej pozycji na sen. Ocierałaś się lecz jakby niechcący. Co rusz zawadzałaś o niego, trącałaś go, aż nie wytrzymałem. Zacząłem cię dotykać, całować. W końcu zdjąłem slipki i wtuliłem się nim w ciebie. Odwróciłaś się. Znalazłaś ustami moje. Dłoń złożyłaś na nim. Przycisnęłaś go delikatnie, po czym schyliłaś się do niego ustami, by doprowadzić go do obłędu.

– Duży – wyszeptowałaś zmartwiona, będąc ustami tuż przy nim.

– Nie aż tak. Damy radę głuptasie, będę delikatny – powiedziałem.

– No – zaśmiała się Kaz. – Przestraszyłam się, bo był większy niż Kanta i tych paru facetów, z którymi byłam. Bałam się, że będzie bolało – oznajmiła bez cienia skrępowania.

Pogilgotał ją.

– Jesteś porąbany – zaśmiała się Kaz.

– Ty też, dlatego do siebie pasujemy – zripostował Kreska.

5.

Dni mijały. Zlewały się w tygodnie i miesiące. Już ponad rok chodzili się ze sobą. Kazamiko spędzała z Kreską niemalże wszystkie wolne weekendy. U niego, bo jemu nie chciało się najczęściej jeździć do niej, na obrzeża Gdańska. Na wsiów, jak pogardliwie mawiał o jej miasteczku.

– Sopot stolica, reszta okolica – to był jeden z jego sztandarowych tekstów w tym okresie.

Było w nim sporo buty. Kochała go mimo tego, że bywał ultra krytyczny. Ugodziła ją strzała Amora. Nie było na to rady. Chciała z nim być. Jeździła więc do niego. Respektowała to, co przynosiło jej życie. Jej świat coraz bardziej kręcił się wokół Kreski. Jego wokół niej nie do końca. Dlatego w wiele miejsc chodziła po staremu, sama. Czas stał się dla niej towarem deficytowym. Pożądanym. Potrzebowała go na swoje sprawy i dodatkowo, by być z nim. Kradła czas poświęcany swojemu psu o wyglądzie prosiaczka. Suka była zbyt stara, by ciągać ją do niego, jeździła więc sama, chyba, że on ewidentnie nie miał czasu dla niej, wtedy sprawy toczyły się starymi torami. Jak miała podwójne wolne, od swoich obowiązków i od niego, też nie siedziała zazwyczaj w domu. Nosiło ją. Karmiła psa, wyprowadzała i kiedy ten zwijał się na fotelu w kłębek do spania, wybywała.

Wpadła do knajpki dosłownie na chwilę. Pogadać z Mróweczką. Wzięły po piwku. Miała wolne, ale nie do końca... W tym swoim tymczasowym domu czekał na nią Kreska i tęskno jej było do niego. Przy barze zaczepił ją chłopak.

– Cześć – zagaił.

– My się znamy? – odpowiedziała mu Kazamiko pytaniem.

– Tak – odparł. – Zgarnęłaś mnie kiedyś z ulicy – dodał z uśmiechem.

– Z ulicy? – wykrztusiła zdumiona Kazamiko.

Mrówka pociągnęła spory łyk piwa, nie mówiąc nic.

– Tak, z ulicy, miałem wypadek na rowerze – uściślił on.

– Ach tak, pamiętam – odetchnęła z ulgą Kazamiko, która już myślała, że znowu napatoczył się jakiś świr. – Wszystko w porządku, jak widzę – skończyła.

– Wiesz, szukałem ciebie, to może jak już znalazłem, dasz się namówić i gdzieś ze mną pójdziesz? – spytał przymilnie.

– A gdzie byś chciał, bym z tobą poszła? – zapytała Kazamiko nieprzyjemnym tonem.

– Oj, nie mam na myśli nic złego – rzucił usprawiedliwiająco. – Mam wobec ciebie dług wdzięczności, poza tym podobasz mi się i – nie zdążył skończyć.

– Słuchaj jestem punkową, słucham ostrej, ciężkiej muzyki, ubieram się dziwacznie – zaczęła Kazamiko.

– Nie przeszkadza mi to – wszedł jej w słowo.

– Ale mi przeszkadza – rzuciła już zirytowana. – Poza tym mam faceta – skończyła, jakby wbijała nóż rzeźnicki, w przeznaczone do uboju zwierzątko.

Poskutkowało. Zamieniła parę zdań z Mróweczką, dopiła piwo i poszła na autobus. Jechała do niego, do Kreski, przynajmniej tak się jej zdawało. Wysiadła w centrum. Szła ulicą, główną arterią. Szpaler latarni z obu stron rozświetlał mrok. Sznur samochodów posuwających się w obie strony migotał światłami. Była w sercu miasta i jak na nie przystało pulsowało ono swoim życiem, zagonieniem. W plecaku miała książkę. W głowie myśli niepokorne. Pomyślała, po raz kolejny, że jest z innej bajki.

– Dlaczego chcą ze mną chodzić jacyś „normalni” mężczyźni? Ile byśmy mieli wspólnego? Jakie punkty styczne? – nie знаła odpowiedzi.

Dotarła do domu i Kreska rozwiał jej wszelkie wątpliwości. Po raz kolejny. Znow zapadła się w niego jak w toń, jak to śpiewał Kazik, w starych czasach, gdy jeszcze miała o nim dobre zdanie.

– Chciałbym, abyś została moją żoną – powiedział zupełnie niepotrzebnie Kreska, w tej pięknej, przesyconej intymnością chwili.

– Co? Żoną!! Ale po co? Przecież się kochamy – krzyknęła Kazamiko, jakby jedno wykluczało drugie.

Krzyknęła ze szczytu emocjonalnej góry, na jakiej się nagle, wbrew swej woli, znalazła.

– Przecież oboje to przerabialiśmy – zaczęła tłumaczyć mu łagodniej, jak dziecku. – Po co tobie ślub? – zapytała na koniec podejrzliwie.

– Kocham ciebie i chciałbym, abyś została moją żoną – powtórzył Kreska swoje. – Czy to coś złego? – zapytał.

– Dziwny jesteś – skwitowała Kazamiko. – Między nami dobrze jest, nie potrzebujemy tego formalizować – znów wybuchła niczym wulkan po stanie spoczynku.

Tak, z Kreską nie sposób było się nudzić. Ciągłe ją czymś zaskakiwał.

– Chciałbym mieć z tobą dziecko – wyznał dla kontrastu, innym razem, nie co później.

– O rany, a ja się z tobą kocham bez zabezpieczeń – wymamrotała Kazamiko, przerażona wizją, jaką przed nią roztoczył. – Mam już jedno dziecko i sam widzisz, ile to wysiłku i starań – dodała.

Przerastało ją to. Zabawna była z tymi swoimi lękami i tym, jak je pomалу przy nim przełamywała. Dochodząc nawet w końcu do fantazji, na temat dziecka z nim.

Któregoś wieczoru Kazamiko kolejny raz wyrwała się z domowego kieratu. Wpadła do Kum.pl, swojej ulubionej, bo małej i jej zdaniem klimatycznej knajpki, na koncert lokalnych zespołów ze sceny punk. Ktoś powiedział jej kiedyś, że muzyka żyje w małych salach i coś w tym było. Po czasie to do niej dotarło. Pojechała spotkać się ze znajomymi, ale również po to, aby posłuchać muzyki na żywo, dać się jej ponieść. Kreska wymigał się zmęczeniem. Umówili się, że wpadnie do niego po... Psem miała zająć się koleżanka. Córcia pojechała do swojego taty. Załatwiła sobie wolne. Zgrała te wszystkie szczegóły, co przecież wcale nie było takie proste, zważywszy, że była samotną matką, ze starym psem na stanie. Udało się jej jednak wyrwać, by odreagować. Ceniła te ulotne chwile. Nie marnowała ich przy barze. Poszła pod scenę. W małe pogo. Dobrze się wybawiła. Koncert był udany. Myśl o spotkaniu i dobrym seksie dodatkowo ją uskrzydlała. Szczęście ją rozpromieniało. Wydostawało się z wszystkimi porami.

– Lubisz muzykę, co? – bardziej stwierdził niż zapytał jeden ze starszych bywalców.

– Nie – odparła prowokująco i na moment zamilkła.

Spojrzał na nią badawczo, nie rozumiejąc tego zaprzeczania czemuś, co było tak oczywiste.

– Ja kocham muzykę, a to jest różnica – rzuciła mu ze śmiechem po chwili i poszła w swoją stronę.

Koncert się skończył. Muzyka przebrzmiała. Ostatni zespół związał sprzęt, nie dając nadziei na bisy. Nic ją już pod sceną nie trzymało.

– Cześć Kaza – zaczepił ją Bartek, jak dotarła w okolice baru.

– Chciałbym umrzeć – zamiauczał ktoś obok.

– Mogę ci pomóc – zaoferował się na poczekaniu ktoś inny.

– No nie, nie chcę tak na zawsze – odciął się od swojej wypowiedzi chłopak, któremu jakoby zbrzydło życie. – Chciałbym umrzeć na chwilę – sprecyzował.

– Umrzeć na chwilę? – spytał ironicznie Bartek. – To potrafił Jezus. Nie jestem katolikiem, ale znam tę historię – dodał, kończąc definitywnie temat ewentualnego samobójstwa – I co znalazłaś tego kolesia, tego którego tak szukałaś? – spytał Kazamiko, wyraźnie zadowolony, zaglądając w jej szare oczy.

– Tak – odpowiedziała wyprana z emocji.

Po raz kolejny odnalazła ją przeszłość, by zastukać do jej drzwi... Kazamiko Łańcucha poznała jakiś czas temu, właśnie w Kum.pl. Było to na krótko przed pamiętną nocą w Spatiffie, gdy w końcu na dobre przecięły się ścieżki jej i Kreski. Stało się to na jednym z koncertów, na który przyszła otulona szalem i tym swoim nie do końca już szczelnym pancerzykiem. Zrobiła się w nim szparka, więc miała dwie. Tą na dole i tą w pancerzyku chroniącym ją przed światem. Jej serce szalało. Prawie się w nim zakochała... Był punkiem. Spędzili razem noc. Potem wystraszona znikła. Później, gdy ochłonęła, dla odmiany zaczęła go szukać. Nie pamiętała jego ksywki, nazwała go więc Łańcuchem, od łańcucha, który miał tej nocy na szyi... Desperacko szukała go, jakby był jej szansą na dalsze życie, nawet nie wiedząc, jak mu na imię. Taka wtedy była jej rzeczywistość. Teraz jednak było to już za nią. Odnalazła swój ład. Jej myśli krążyły tylko i wyłącznie wokół Kreski.

– I co z nim? – drążył dalej niezorientowany w temacie Bartek.

– Nie wyszło – powiedziała rzeczowo.

– Czemu? – zapytał zdziwiony.

Znali się z Bartkiem wiele lat, jeszcze ze studiów, ale nie widział jej jeszcze takiej, jak na tamtym koncercie, gdy tak dobrze, dynamicznie zagrało WC. Nie widział jej wcześniej tak zainteresowanej mężczyzną. Całującej się z nim gdzieś w kącie. Wychodzącej z nim, do niego... Intrygowało go to.

– Może jestem za bardzo porąbana, a może on jest. Nie mam bladego pojęcia – wyznała Bartkowi, wzruszając ramionami i dając tak znak swoją mową ciała, że nie chce się nad tym rozwodzić.

Łańcuch tak jak ona był zakochany w muzyce i promiennie uśmiechnięty. Na przekór temu, co przynosiło mu życie. Fajnie ubrany jej zdaniem, czyli džinsy, podkoszulek, ramoneska. Wysoki, szczupły, przystojny. Ten sam wiek, wspólne tematy. Oboje po nieudanych związkach. Zaiskrzyło między nimi. Jej serce w jakiś magiczny sposób na moment odtajało. Otworzyło się. To przyszło nagle. Jak wiosna w kwietniu. Jak gwałtowne oziębienie jesienią. Jak burza i słońce, a tuż po niej tęcza. Świat zawirował. Otworzyła swoje serce. Coś w niej nie chciało już być samotne. Poczwała to całą sobą. Jej serce odtajało i było gotowe na nowe doświadczenie. Poznała Łańcucha i nie wróciła do domu. Skorzystała z pomocy koleżanki, która miała jej klucze i zajęła się jej sunią. Wyprowadziła ją na siku, dzięki czemu Kazamiko mogła zostać z nim. Cudowny wieczór, noc. Duża dawka muzyki, dobry seks. Koszmarny ranek. Jej lęki przed ponownym byciem z kimś. Otwarte, broczące rany przeżyć. Samotność. Uciekła, nie zostawiając mu namiarów. Rzucając mu swoje idiotyczne, że pewnie kiedyś się spotkają, na jakimś koncercie, gdy starał się umówić na kolejny raz... Nie chciała tego rozpamiętywać. Była to jedna z rzeczy, której nie rozumiała. Po czasie rzeczywiście spotkali się na jakimś koncercie. Zrobili powtórkę. Wspólna noc, ponownie piękny seks.

– Może zadzwonię, mam już twój numer – powiedział, gdy się żegnali. Po chwili dopiero złapał się na tym, co mówi. Za późno. Słowa już wybrzmiały. Zdążyły zadać ból. Rozstała się z nim na ulicy, całą sobą siląc się na spokój. Nie chciała, by zobaczył, jak bardzo ją to, co powiedział, zraniło. Za nic w świecie nie chciała pokazać, jaka jest krucha i delikatna. Pamiętała każdy skrawek jego ciała, każdą minutę spędzoną z nim. Był maj. Szła przez parki płakała.

– To niemożliwe – coś w niej zaskowyczało. – Nie można płakać przez mężczyznę i to w chwili, gdy niebo spada na nas tak oszałamiająco pięknym błękitem. Łzy nie pasują do wiosennego słońca opromieniającego ziemię, buchającą z niej soczystą zieleń i ludzi, nawet tych smutnych. Łzy nie licują z tym bezpretensjonalnym pięknem dokoła.

Rozejrzała się, by je dostrzec, poczuć, wpuścić do swojego wnętrza. Wciągnęła zapach wiosny. Nacieszyła oczy jej widokiem.

Smutek nie prysł. Był w niej nadal, ale przestała płakać. Wzięła się w garść.

– Bywa. Zdarza się. Nie ja pierwsza mam złamane serce – pomyślała, trzeźwo oceniając sytuację.

Łańcuch. Okruch życia odłamany z wielkiego bochna... On też się bał, po tym jak go potraktowała, po ich pierwszej wspólnej nocy, nie był pewny, czy traktuje go serio... Gdy ona się zdecydowała, jemu zbrakło więc w tym decydującym momencie stanowczości. Wszystko się poplątało. Standard.

– Nie tak to powinno wyglądać – powiedział cicho, gdy się później spotkali. Powinniśmy się najpierw poznać, a potem mieć seks. Niepotrzebnie się do ciebie wtedy kleiłem – wyszeptał, mimo knajpianego gwaru.

– Przestań. Kto tak robi w dzisiejszych czasach – zgasiła go. – Ja nie umawiam się na randki, najpierw z facetem śpię, a potem z nim chodzę – oznajmiła wprawiając go tym w zdumienie. – Zresztą seks był piękny. Ja nie żałuję – odparła, kończąc temat.

Historia. Wypiła dwa piwa i samotnie poszła na tramwaj. Szybciej niż zwykle. W drodze na przystanek, wystukała numer komórki Kreski. Cisza. Spał zmęczony pracą, piciem, życiem. Westchnęła.

– Który to już raz? – pomyślała smutno. – A wszystko załatwiłam i mogłabym zostać nawet na śniadanie – westchnęła.

Chcąc nie chcąc, Kazamiko pojechała do swojego domu. Dotarła nad ranem. Odwołała sms-em koleżankę i wyszła z sunią na dwór, by rano pospać. Tuż po przymusowym spacerku padła ze zmęczenia. Doprawdy weekendy wymagały wiele siły. Cały tydzień z dzieckiem i starym psem nie pochłaniał tyle energii. Nazajutrz przebudziła się i wyciągnęła się na łóżku, dumając o niebieskich migdałach, gdy jak burza wpadł jej ojciec. Drzwi do mieszkania były otwarte. Starszy powiedział swoją kwestię i, wychodząc, upomniał ją, by zamykała drzwi do domu.

– Tato mam bulteriera i złą opinię, nikt normalny tu nie wejdzie – odparła, uśmiechając się szelmowsko.

Kazamiko i jej uśmiech. Kazamiko i krzaczki pomidorów na parapecie zamiast kwiatków. Kazamiko i obsrany balkon od czasu, gdy gołębie założyły gniazdo w skrzynce po pomidorze. Zniosły jajko. Odchowwały pisklaka i nie wyniosły się wbrew zapewnieniom Beaty, jej koleżanki z bloku obok. Dostały więc dożywocie, bo przecież muszą

gdzieś się podziąć, zwłaszcza że wszyscy je gonią. Kazamiko i jej pięcioletnia córka, tupiąca nogą i krzycząca, że ona rządzi swoim życiem. Domagająca się refrenu piosenki Defektu Muzgó „Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, od strachu ratuje nas tylko defekt mózgu”, zamiast kołysanki. Kreska poznał Kazamiko właśnie w tym zwariowanym okresie. Nie chodził na place zabaw, do parku ani nawet do aqua parku. W żadne z tych miejsc, gdzie standardowo chodzą ludzie z dziećmi. Spotkali się w jego ukochanym Sopocie, choć tego dnia żadne z nich nie miało ochoty na szaleństwa sobotniej nocy. Dali się wyciągnąć znajomym. Inaczej siedzieliby w domu. Ona popijając zieloną herbatę, a on wódkę w dobrym, czyli swoim, towarzystwie. Po roku ponownie trafili na siebie w Negatywie. Dalej toczyło się już samo. Ich życie zaczęło zazębiać się. Wygrywać wspólne melodie. Nie dało się jednak przeoczyć, że Kreska sporo pił i, co gorsze, każdego dnia. Wydawało się, że potrzebuje tego. Kazamiko dość szybko poczuła, jakby była w trójkącie. Ona mu go odbierała. Kusila. Coraz bardziej jej nie znosiła. Wydawało się, że to przez nią czasami zatracą się i zwyczajnie odcina się od niej... Sytuacja zaostrzała się, aż stało się. Odgrodził się od niej ścianą. Zbudował mur z cegieł niedomówienia. Za nimi było jego łagodnie tykające serce. Było po przejściach, sporo w życiu już doświadczyło. Nie było w nim miejsca na nowe rany...

– Jestem jak orzech, mam twardą skorupę, a w środku coś miękkiego, dobrego. Rozbiłaś mnie jednym uderzeniem – powiedział jej, a jednak lękał się jej.

„Ja wiem, że to jest zwykły syf, paranoja, wiem. Ja wiem czego chcesz, no i znowu się boję” – Kazamiko zanuciła pod nosem fragment piosenki Klause Mitffocha.

Niewątpliwie bał się tego, co się działo między nimi. Mur był jego sposobem obrony przed powalającym go na kolana uczuciem. Przed szalejącymi emocjami na autostradach jego tkanek, przed strachem, że to się skończy źle. Kreska wyobrażał sobie, że Kazamiko okaże się zdradliwą suką jak inne, że skonsumuje go tak bezbronnego, bo szaleńczo w niej zakochanego. Po wszystkim zaś wypluje kosteczki. Czuł, że tyle z niego zostanie, jak jej do końca ulegnie. Tkwiał w tej swojej izolacji dobry tydzień. Kazamiko dobijała się do niego bezskutecznie sms-ami i telefonami. Był twardy. Nie odbierał telefonów od niej. Nie odpisywał na jej sms-y. Potem, w przypływie desperacji, uderzył pięścią w ten zbudowany własnoręcznie mur. Wybił

z początku jedną cegłą. Widok otworu sprawił, że zapragnął szaleńczo zniszczyć cały mur. Ten, którym sam odgradził się od niej. Całym swoim ciałem chciał być znowu przy niej. Oblędnie za nią tęsknił. Pragnął jej powłóczystych spojrzeń. Jedwabistego dotyku jej dłoni na swojej skórze. Jej rozedrganego uśmiechu. Jej szeptu, wybuchów dziewczęcego, niepohamowanego śmiechu. Nagości jej ciała, wilgoci jej cipki, światełka między jej nogami. Widoku jej drobnych piersi, sterczących sutków, pokrytego włoskami wzgórek łonowego, gęsiej skórki w trakcie orgazmu, błyszczących łzami oczu, gdy się czymś wzruszała. Zateknił za jej zniewalającym zapachem, za tym jak się ociera o niego jak kotka, za tym jak rozkłada przed nim nogi, patrząc mu prowokacyjnie w oczy, za skurczami jej pochwy, za przyśpieszonym oddechem i jej słowami do niego, gdy szczytuje. Za tym jak go namiętnie całuje i liże w każdym zakamarku ciała. Brakowało mu nawet jej spaczzonego poczucia humoru i tego momentami wyuzdania. Kochał ją i bał się jej. Wariował przez to.

– Czarownica, zaczarowała mnie – pomyślał. – Jestem zgubiony – dokończył i zagadnął ją sms-em.

Kochała go, więc kolejny raz weszła w to. Znowu byli razem. Przyjechał do niej jak gdyby nigdy nic.

– Co słychać? – zagał po gorącym, pełnym namiętności pocałunku w drzwiach.

– A nic, chciałam się wykąpać – zaczęła Kaz. – Zaczęłam napuszczać wodę do wanny. Był tam. Niezgrabny, patyczkowate nogi. Pomyślałam, że to już przesada, że są jakieś granice. Wody przybywało, sypnęłam zielonej soli. Gramolił się. Nie weszłam do wanny póki nie wyszedł. Wspiął się do siebie, pod sam sufit. Miałam zły dzień, ale zabicie pajęczka, by mi go nie poprawiło. Personalnie nic do niego nie mam. Mieszka sobie kątem u mnie, nie dorzuca się na rachunki, ale też nie ma łatwo. Walczy o przetrwanie. Wiem, jestem szurnięta. Szanuję życie, nawet takie. Nie zabijam, jeśli nie muszę – skończyła.

Była wariatką, ale kochał ją.

– Studiowałaś? – spytał Kreska, zaglądając w jej oczy.

– Tak. Skończyłam politologię, w twoim Sopocie. W ładnym gmachu willi, która kiedyś ponoć była burdelem. Też tętniła życiem, a że trochę innym, to tylko szczegół.

– Czemu politologia?

– Bo czułam, że tylko na to się dostanę i to pomimo sześciu czy siedmiu chętnych na jedno miejsce. Wystarczyło pewne obycie i zorientowanie w temacie. A to miałam, bo przecież „polityka wdziera się do głów”, czy nie tak to leciało, Sedes prawda? – zagadnęła. – Pomyślałam, że wystarczy umiejętność lania wody. Jestem humanistką. W życiu nie dostałabym się na żaden konkretny kierunek. Zgodnie z pragnieniem matki miałam być architektem lub lekarzem. Jednak realia tym razem zwyciężyły. Poszłam tam, gdzie wiedziałam, że się dostanę. Matka ostatecznie zgodziła się na cokolwiek, abym tylko studiowała. Opcji, że mogłabym nie studiować nie było w ogóle. Od dziecka byłam tak indoktrynowana, że już mi się nawet we własnej głowie nie mieściło, że mogłabym po maturze wybrać inną drogę niż studia. Byłam odpowiednio zaprogramowana. Po drugim roku napisałam o akademiki o dziwo dostałam. Pominęłam w nazwie mojej miejsciny „Gdański”. Drobne niedopowiedzenie w słusznej sprawie. Musiałam się wyrwać z domu... Z tego piekła codziennych awantur o to, jak wyglądam, z kim się przyjaźnię, jakiej muzyki słucham, no i udało się. Wtedy właśnie na dobre poznałam Gdańsko świcie. Taki promienny. Rozklekotany, zaspany tramwaj. Słuchawki na uszach i głos Louisa Armstronga, który obwieszczał wszem i wobec, że świat jest wspaniały. Czułam, że tak właśnie jest. To mimo tego, że nienawidziłam tego całego zrywania się przed świtem, by zdążyć na tramwaj i do pracy. Studiowałam. Mieszkałam w akademiku i dorabiałam w stoczni. Najgorsza robota. Sprzątanie syfu po spawaczach. Niedoszły politolog bez kwalifikacji, praktycznych umiejętności. Jednak dawałam radę się z tego utrzymać plus to, co dorabiałam na ulicy.

– Co, na ulicy? – spytał zdziwiony Kreska.

– Kurczę, nie pamiętasz? To były te czasy raczkującego kapitalizmu, gdy na ulicy kwitł drobny handel. Kupowałam w kantorze dolary, potem w Peweksie kasety magnetofonowe. Trzeba było kupić pudełko, 10 sztuk. Mało kto potrzebował tyle, więc było ludziom na rękę, że mogą kupić jedną, dwie. Sprzedawałam je więc na sztuki, z kartonika na ulicy, oczywiście z zyskiem. Byłam niczym dziewczynka z zapalkami, tyle że skończyłam lepiej – dodała uśmiechając się czarująco. – Dzięki temu dawałam radę się utrzymać. To były dobre czasy. Zrobiłam pierwszy krok ku wolności. Wiesz, niedawno coś czytałam w domu, gdy nagle na balkonie zrobiło się niesamowite

zamieszanie. Gołębie gruchały o wiele głośniej niż zazwyczaj. Wyrzałam zaciekawiona. Pisklak siedział na balustradzie, w otoczeniu pary szturchających go dziobkami rodziców. Trzymał się kurczowo wszystkimi pazurkami, chwiał mimo to i darł w niebogłoty. Zrozumiałam, że uczy się latać. Patrzyłam zafascynowana, aż odleciał. Zatoczył małe kółko i wrócił na balkon. Ćwierkał po powrocie chyba jeszcze głośniej niż przed swoim pierwszym lotem. Jakby krzyczał, „kurde latałem, latałem, widzieliście?”.

– Widzę, że oprócz srania, dostarczają też pozytywnych wrażeń – wtrącił złośliwie Kreska.

– O tak, całą masę – zapewniła Kazamiko. – Mam Animal Planet na żywo – dodała i wtuliła się w niego. – Jestem zazdrosna – powiedziała głucho po chwili, tak po prostu.

Zebrała się w sobie by wyrzucić to, co w niej było już od pewnego czasu. Spojrzał na nią smutno.

– Nie masz podstaw do tego – powiedział.

– Wiem – odparła. – Jestem trochę zazdrosna o twoje byłe...

– To bez sensu – oświadczył.

– Wiem. Co powiesz na kąpiel w wannie? Sól o leśnym zapachu, gorąca woda – roztoczyła kuszącą wizję.

Weszli do niej razem. Odstąpiła mu najlepsze miejsce, by mógł się wyciągnąć, tak jak lubił. Sama kucnęła zamyślona, nie opodal kurków z wodą, między jego nogami. Wystawiła mu swoje plecy, a potem wróciła do rzeczywistości, odwróciła się, spojrzała na niego czule i przytuliła się do niego delikatnie, nie zaczepiając go do seksu, choć lubiła go z nim, również tam... Leżeli dłuższą chwilę przytuleni, w zielonej ciepłutkiej wodzie, pachnącej jej ulubionym lasem i wyjątkowo nie robili nic. Nic z tych rzeczy. Było błogo, spokojnie, dobrze. Ona wtulona w niego, w ciepłe niszy wanny, niczym na brzegu ciepłego morza. Potem wspólna kolacja, noc przy magicznym głosie Patty Smith, śniadanie. Po raz kolejny doprowadził ją na szczyt, zamknęła dłonią usta, bo chyba cały blok usłyszałby, jak jest jej z nim w łóżku... Zorientował się i chciał oderwać jej dłoń od ust, aby krzyczała, aby słyszeli, a przede wszystkim, aby on mógł usłyszeć, dokąd ją zaprowadził. Nie potrafiła tego zdefiniować. Nie myślała rozsądnie. Kierowała się sercem, a ono go kochało.

– Jak kochają punkowcy? – odpowiedziałyby, że mocno, gdyby ktoś ją wtedy zapytał. – Ale sporo łoją – dodałyby później.

Niedługo po tym znowu przyjechał do niej pijany... Położyła go na kanapie. Rozebrała. Przytuliła się do niego, chłodnego, nagiego. Głaskała go po plecach i płakała jednym okiem, tym dalej od niego, by nie poczuł, by się nie zbudził.

– Nie wiedziałam, że tak umiem – powiedziała na głos, w przestrzeń swoich cichych ścian.

Kochała go i wiedziała, że on ją kocha, ale nie zawsze było jej z nim łatwo. Pomimo wszystko trwali.

„Uwierz w każde twoje najpodlejsze kłamstwo, byle mieć złudzenie ciepła i miłości, byle dać jej to, o co ciągle prosi” – śpiewali Analogs. Lubiała ich, choć irytowali ją na koncertach. Grali jej zdaniem krótko, a bisowali jak z łaski. Rozkręcali publikę i porzucali nie do końca zaspokojoną...

Przyjechała się z nim spotkać. Po raz kolejny, ona do Kreski. Wyszli z domu, bez aparatów. Słońce było w zenicie, rzucając im pod nogi długie cienie, jak z przedwojennych czar-no-białych filmów surrealistów. Światło było zdecydowanie zbyt ostre, aby robić zdjęcia.

– O tej porze robią amatorzy – mawiał Kreska. – Jest flara, zdjęcia wychodzą płaskie i do niczego.

Szli ulicą bez aparatów, trzymając się za ręce, gdy spotkali jego znajomego z dawnych lat.

– Co u twojej matki? – spytał on kurtuazyjnie, po zdawkowym powitaniu.

– Moja matka nie żyje – oświadczył spokojnie Kreska.

Znajomego zatkało, jednak nim zdążył wydukać słowa współczucia, Kreska ponownie otworzył usta i po tej krótkiej przerwie potrzebnej pewnie dla wywołania większego wrażenia skończył, że nie żyje od paru lat, z jego ojcem.

– Kurwa – rzucił głośno znajomy.

– Przepraszam, powiedziałaś coś o mojej mamie – wycedził Kreska, powoli przybliżając do niego twarz.

– Wyluzuj, tylko przekląłem – wydukał zaskoczony znajomy.

– To dobrze – oświadczył Kreska, śmiejąc się z całej sytuacji.

Nie cierpiał swojej matki, ale nie każdy o tym wiedział. Kreska nie tylko kochał się w słowach. On się też bawił nimi, tym jak działają

na ludzi. Kazamiko pokochała go całym sercem. Potruchtaby za nim na koniec świata.

– Chodziłaś na terapię? – zapytał razu pewnego, spoglądając na nią z ukosa.

– Tak – odparła Kazamiko bez zażenowania. – Moglibyśmy się nie spotkać, gdyby nie to, bo mogłabym nie dożyć, za duże miałam już pod koniec jazdy, no wiesz myśli samobójcze – oznajmiła brutalnie szczerze.

Przytulił ją milcząc.

– Jak było? – pociągnął temat.

– Z początku trudno. Na indywidualnej w ogóle nie dałam rady. Rozwalało mnie wysłuchiwanie, że wszystko w życiu robię nie tak, wiąże się z nieodpowiednimi mężczyznami itd. Po czasie poszłam więc na grupową. Tam był spokój, nikt cię nie gnębił, nie zmuszał do żadnych wyznań. Przez parę pierwszych sesji się nie odzywałam, za to potem jak się rozgadałam, to wiodłam już prym – zaśmiała się perliście.

– Sporo było osób? – dopytywał dalej Kreska.

– Parę, w różnym wieku, a każdy na swój sposób poraniony. Głównie dorosłe dzieci alkoholików, ale były i rodziny jak ja, z tzw. dobrych domów. Była tam jedna kobieta grubo po pięćdziesiątce. Z domu, w którym panowała przemoc fizyczna. Niezbyt mnie lubiła. Drażniłam ją całą sobą. Moim punkowskim wyglądem, młodością, moją historią. Faktem jest, że od ojca dostałam „tylko” dwa razy lanie wojskowym pasem i raz w twarz, od matki też raz w twarz. Niewiele tego przy tym, co ona wycierpiała. Po tym co przeszła wydawało jej się, że to niczym niegroźne draśnięcie, nie warte zastanowienia, przychodzenia i zwracania głowy terapeutkom i grupie. Również gwałty nie wydawały jej się czymś złym. Myślała, że w gruncie rzeczy kobieta ma z tego przyjemność, choć wypiera się tego. Po dwóch latach powiedziała o swoich początkowych odczuciach i przeprosiła mnie. Rozumiała już, że zranić można nie tylko pięścią, kablem od żelazka, uderzeniem wojskowego masywnego, skórzanego pasa. Zranić można też słowem, brakiem kontaktu, miłości, uczucia, czułego dotyku, banicją do pustego, zimnego pokoju. Brakiem chęci wysłuchania, wczucia się w problemy dziecka. Urodzeniem i porzuceniem. Brakiem

dostatecznej opieki i nadzoru. Poczuciem, że jest się zbędnym. Wiedziała też już, że gwałt odbija się na duszy kobiety i ciągnie się za nią, czy tego chce, czy nie. Wiesz, była tam też taka kobieta, której matka piła. W dzieciństwie miała tylko parę zabawek, które matka kiedyś po pijaku wyrzuciła przez okno. Nie miała żadnych przyjaciół. Nie mogła nikogo zaprosić do domu, sama też do nikogo nie chodziła. Była tak samotna, że rozmawiała z szybą. Ta zimna, przezroczysta szyba była jej jedynym powiernikiem i przyjacielem. Strasznie mną to wstrząsnęło. Czasem jak patrzę przez okno, wzrok mój nie idzie dalej... Zatrzymuje się na szybie i wtedy myślę o niej. O samotnym dziecku i dorosłej kobiecie z blizną na duszy. W ogóle myślę sobie, że my jesteśmy jacyś tacy porysowani, przez to, że nie okazano nam w dzieciństwie dość delikatności i wyrozumiałości. Wszyscy jesteśmy skrzywieni, tylko nie zawsze w tą samą stronę. To co przeżyłam ciągnęło się za mną latami, czy tego chciałam, czy nie. Byłam bliska samobójczej śmierci i sama musiałam o siebie zawalczyć. Poszłam na terapię, tak jak moja matka tuż po wojnie sama zgłosiła się do domu dziecka, twierdząc że jest sierotą, co nie było do końca prawdą... Uciekła w ten sposób ze swojego domu. Wyrwała się i przetrwała. Ja poszłam na terapię...

– To przez matkę? – zapytał cicho.

– Idąc na terapię myślałam, że to przez gwałt... ale ostatecznie prawie trzy lata mówiłam o matce, o tym co mi robiła, więc chyba przez nią. Spacyfikowała mnie. Miała mnie od urodzenia, od zawsze. Byłam grzeczną dziewczynką, taką na miarę, choć i tak nie była ze mnie zadowolona. Byłam potulna, ale na szczęście umiałam sama wsiąść do pociągu. Nie byłam tak bezwolna jak on. Najbrzydszy chłopak w mojej szkole. Samotny i wyśmiewany. Powiesił się pewnego dnia w korytarzu domu, gdzie mieszkał wraz z zaborczo kochającą go matką. Po rozwodzie był jej całym światem. Robiła za niego omalże wszystko. Pomagała mu też wsiąść i wysiąść z pociągu, którym dojeżdżał do nadobowiązkowej szkoły muzycznej. Decydowała o kształcie jego życia, ale nie dała rady zapanować nad jego myślami. Tymi głęboko skrytymi w głowie. Tymi, które jak przychodzą, potrafią zasnuć całe niebo tak, że nie prześwieca nawet promyk słońca... Szkoda mi go. Nadal jest we mnie żal, że nic nie zrobiłam. Ja wiedziałam, że on to zrobi, że targnie się na życie! Obserwowałam go kątem oka i widziałam, co się święci, a jednak nie czułam się na siłach, by do niego

podejść, by mu pomóc, uratować go. Odchodzimy przez samotność, przez ludzką obojętność. Przychodzi moment, gdy nie potrafimy już jej znieść, no chyba że ona jest naszym własnym wyborem, ale to zupełnie inna bajka. Jak idę przez miasto obserwuję często ludzi – ciągnęła dalej Kazamiko. – Patrzę, jak stoją na przystanku, jak jadą zamknięci w ciasnej przestrzeni autobusu. Szukam w nich radości istnienia, emanującego z nich spełnienia, uśmiechu zadowolenia, ale najczęściej widzę obojętność, zmęczenie, smutek, wkurwienie... Wydają się najczęściej zmęczeni, przepracowani. Być może na karb tego zwalają swoją obojętność na dziejące się dokoła zło. Nie ustąpią miejsca starszce ani kobiecie w ciąży. Nie zainteresują się rannym psem, zagubioną czyjąś babcia. Spieszą się do domów lub dla odmiany ociągają się z powrotem, zupełnie jakby nie czekało tam na nich nic dobrego. Nie bije z nich radość. Chodzą, ale w środku są już na wpół martwi. Wydaje mi się, że jak ktoś nie czuje się szczęśliwy, to nie ma się czym dzielić. Po prostu jest to fizycznie niemożliwe, bo z pustego i Salomon nie należy, czy jak to tam było – ucięła dyskusję.

6.

Milion kawałków. Z tyłu się składała i czuła, że na tyle się rozpadała, gdy Kreska odgradzał się od niej. Raz za razem. Nie była kobietą, z którą jest. Była raczej kimś, z kim bywał. Kazamiko czuła, że taki układ ją niszczy. Miała wrażenie, że brał ją jak potrzebował czułości, miłości, seksu, a potem rzucał w kąt, jak misia z naderwanym uchem...

Kochała go i czuła wzajemność. Zwłaszcza, gdy się kochali. Czuła to wyraźnie, ale tylko do czasu, gdy kolejny raz zatracił się w alkoholu i gdy znowu się od niej odcinał. To ją raniło. Przyrzekwała sobie po każdym takim razie, że jak Kreska zrobi tak jeszcze raz, to nie wróci już do niego, nawet jak sobie o niej w końcu przypomni, a przypominał sobie zawsze. Obiecywała sobie raz za razem, że już nigdy więcej nie poleci do niego jak złakniona pieszczoł suka...

– Trzeba się trochę szanować – stwierdziła, myśląc o tym brutalnie szczerze.

Miała swoje postanowienia. Tym czasem życie pisało własne scenariusze i Kreska zrobił to ponownie, a ona znowu nie pomna na obietnice składane samej sobie, dobijała się do jego serca na wszelkie dostępne sposoby. Potrzebowała czasu, by wziąć się w garść, by przestać do niego wydzwaniać i słać te swoje błagalne sms-y. Było jej bardzo ciężko, ale wiedziała, że musi się trzymać.

– Mam córkę, sunię, znajomych, przyjaciela, swoją pracę, muzykę – myślała chaotycznie. – Świat się na nim nie kończy. Potrafię być sama. Nie pierwszy raz mam złamane serce, dam radę – uspokajała i przekonywała zarazem samą siebie.

To było jak mantra. Pozwalało jej przetrwać ten trudny moment, ale nie potrafiło uspokoić. Położyła się i skotłowała łóżko, a sen i tak nie przyszedł.

– Ile bym dała, by moja dłoń zamiast pustki mogła natrafić na niego, by nakarmić mój wiecznie głodny wzrok jego widokiem? – dotarło do niej boleśnie, wbrew niej.

To był zły czas. Myślała, że jedynym sposobem, aby do niego nie zadzwonić jest wyrzucenie komórki przez okno. Fizyczne pozbycie się jej. Ostatecznie obyło się bez tak drastycznych metod. W jej głowie

hulała burza myśli. Przewracała się na łóżku z boku na bok. „Telefon sprawdza system alarmowy. W słuchawce monotony głos. Odbieranie telefonu to odruch warunkowy. Na jej prześcieradle lodowata noc. Drzwi przez które można przejść. Drzwi, przez które nie przejdzie nikt” – obwieszczała Gardenia.

Niestety, Kreska jak miał wypite gubił swoje odruchy i potrafił nie odbierać telefonów od nikogo, również od niej... Znała to aż nazbyt dobrze. Poddała się i usiadła przed komputerem. Nic tak dobrze i szybko nie potrafiło ostatnio zagłuszyć pojawiającego się poczucia samotności. Połączyła się z siecią. Internet. Miliony internautów. Elektroniczne listy w internetowej skrzynce pocztowej. Fora tętniące gwarem dyskusji na wszelkie możliwe tematy i błogi, czyli rodzaj wirtualnych pamiętników, pisanych przez najczęściej anonimowe osoby. „Be My Valentine” rzucił jej się w oczy tytuł jednego z nich. Najechała kursorem myszki na ten linki kliknęła. „Gdy już się wypłaczesz i wyżalisz przyjaciółce lub najlepszemu kumplowi, następnego dnia wstań z łóżka i zacznij żyć od nowa. Spotykaj się z przyjaciółmi i znajomymi, którzy pomogą Ci przetrwać ten pierwszy okres samotności. Idź na imprezę, pobaw się, wyszalej. Przecież znów jesteś wolny” – radziła autorka błoga.

– No tak jestem wolna – burknęła sama do siebie. – Jak nie wyjdę z domu do ludzi, zwariuję z tym wszystkim. Już nawet gadam do siebie – skwitowała.

Dłuższą chwilę przeglądała różne błogi. W końcu pożegnała się z komputerem. Wsunęła się z powrotem do łóżka i zasnęła. Rano obudziła się wskazana przez gorący promień słońca i znowu się zaczęło... Wszystko do niej wróciło. Poczowała się taka samotna, niczyja. Skuliła się w sobie. Zwinęła się w kłębek tak, że wyglądała jak jakiś niewyskrobany embrion. Nie wytrzymała i choć obiecywała sobie nie płakać przez żadnego mężczyznę, rozplakała się jak mała dziewczynka.

– Żenada. Całe szczęście, że w domu pusto – skwitowała Kazamiko swój stan i wzięła się w garść. – To jest moja ostatnia miłość. Nie chcę tego więcej czuć. Kochać i cierpieć. Nie chcę, by ktoś mnie kochał, dotykał. W chuj mnie to rozpierdala – pomyślała.

Na przekór temu, zamiast zająć się czymś sensownym, oglądała jego zdjęcia. Pod powiekami miała krokodyle łzy.

– Nie zadzwonię do niego, za bardzo mi zależy – powiedziała w pustkę pokoju, nie licząc jej wiekowej i przesypiającej całe dzionki suni.

I oczywiście zadzwoniła. Zeszmaciła się. Po raz kolejny z nim. Na darmo, bo on i tak nie odebrał, ani też nie od-dzwonił. Znowu dopadł ją jej czarny pies. Uciekła mu tak jak umiała. W muzykę. Poszła na koncert i została na after party. Ona, która pomijając noc, gdy poznała Kreskę i tą w której spotkała Łańcucha, z reguły pierwsza szła do domu, jak tylko cichła muzyka i gasły światła na scenie... Uświadomiła sobie nagle, że nic się nie stanie, jeśli zostanie do rana. Miała wolne. W domu nikt oprócz śpiącego psa, na nią nie czekał. Zostały we dwie z Mróweczką, jej młodą koleżanką.

W następny samotny, wolny wieczór pojechała na kolejny koncert. Umówiła się z Rysą, który też się wybierał. Ruszył się z domu, mimo wieku.

– Co u Kreski? – zapytał kurtuazyjnie Rysa.

– Nie wiem, poproszę o inny zestaw pytań – odpowiedziała cierpko.

– Jak to? – spytał, nie rozumiejąc.

– Kreska mnie rzucił – powiedziała pozornie bez emocji Kazamiko, jakby opisywała kolor chmury sunącej właśnie po niebie.

Pozornie, bo to co się stało, wciąż ją raniło i to pomimo faktu, że i tak chciała od Kreski odejść, widząc bezsens tego ich niby-związku. Pomimo tego, że prawie wszyscy jej znajomi, których Kreska nie raczył nawet poznać do tej pory, cieszyli się, że między nimi to koniec.

– Nie chodzisz ze mną, a sypiasz – wygarnęła Kresce całkiem niedawno. – Chodziłam z paroma facetami przed tobą, więc wiem, czym jest związek, na czym on polega – dodała smutno.

– Na czym? – zapytał Kreska.

– Na wspólnym spędzaniu czasu, na chodzeniu za rękę po ulicy, do kina, na koncerty, do wspólnych znajomych. My tego nie mamy. Chodzimy tylko do łóżka – zarzuciła mu.

– Hm – chrząknął Kreska zbity z tropu.

Kazamiko nieudolnie usiłowała odejść od Kreski. Za dużo pił i bywał dziwny. Ale nie umiała tego zrobić. Za bardzo ją fascynował, był nietuzinkowy, elokwentny i za bardzo, co też było nie bez znaczenia, zwyczajnie pociągał ją fizycznie. Zwariowała na punkcie seksu z nim i

w rezultacie to on ją rzucił. Bolało, mimo tłumaczenia sobie, że tak lepiej...

– Związek z nim – zaczęła Kazamiko cichutko – dodawał mi skrzydeł, ale z drugiej strony niszczył mnie wewnątrz. Jak było dobrze, to totalnie, do granic obłędu. Jak było źle, to też totalnie. Wzbijałam się wysoko ponad realność i upadałam z wysoka. Kaleczyłam się i obijałam. Miałam cały czas podkrecone emocje i siniaki na duszy. Zero nudy. Poza tym seks z nim to było mistrzostwo świata... No ale cóż, wybrał ją, wódkę... Tak jak ja, wybieram muzykę, bo ona mnie nigdy nie zdradza, nie odtrąca, nie ocenia, nie stara się mnie zmienić, jest ze mną zawsze... Pomaga mi przetrwać. Faceci pojawiają się w moim życiu i znikają, ona jedna zostaje, no i moja sunia rzecz jasna – powiedziała Kazamiko na szczycie ogromnego smutku...

Nigdy jeszcze nie widział jej tak smutnej. Rysa nie drażył tematu, by nie robić jej przykrości, ale też i dlatego, że Kreska średnio go obchodził. Znał go tylko z opowiadań Kazamiko. Nie poznali się osobiście. To, co się stało, tylko utwierdziło go w przekonaniu o nietrwałości tych spraw. Rysa był, podobnie jak Kazamiko przed tym swoim zakochaniem, które jej tak namieszało w głowie, zdeklarowanym singlem. Kiedyś byli z jednego stada, z jednego plemienia...

Zaczął się koncert. Muzyka wypełniła przestrzeń, latając wszelkie luki i braki. Kazamiko poszła w pogo. Bawiła się pomimo tego, co zaszło, a może właśnie dlatego, by zapomnieć, wyskakać to? Nie spieszyło jej się nigdzie, więc została na after party. Piła i rozmawiała z Rysą na neutralne tematy. Po koncercie zamiast do swojego domu, poszła z nim. Jakoś tak wyszło. Ona nie chciała wracać do pustego mieszkania. Rysa akurat nie poderwał sobie żadnej miłej dziewczyny, więc miał wolną chatę i chęć na dalszą zabawę. Poszli do niego. Odpalił sprzęt i zapuścił dobrą muzykę. Otworzył po piwie.

– Możesz się wykąpać, jak chcesz – zaproponował Rysa, bez podtekstów.

Dopiła i poszła do łazienki. Wykąpała się. Przyszła odprężona do pokoju i wyciągnęła się na kanapie, opatulając się kocem. Łapało ją w swoje siła zmęczenie.

– Chcesz spać tu na kanapie? – spytał Rysa zdziwiony. – Chodź do mnie, do sypialni. Nie gryzę. Wyposzczony nie jestem, więc cię nie zgwałcę – wyznał łagodnie.

Był ujmujący. Wyglądał dobrze. Kuł żelazo póki gorące, choć Kazamiko nie była w jego stylu. Lubił z nią porozmawiać, ale do tej pory nie robili nic więcej i to pomimo tego, że bywały okresy, kiedy oboje byli singlami i mieli ku temu okazje. Była trochę za stara jak na jego gust, ale tej nocy nie chciał zasypiać w pustym łóżku. Ona była wolna i ta noc mogła należeć do nich...

– To chyba nie jest dobry pomysł – odparła jednak Kazamiko, myśląc ponownie o Kresce, który nie wiadomo gdzie, ale wiadomo co robił.

– Chleje zapewne. Standard – pomyślała zniechęcona Kazamiko.
– Pobawił się mną i rzucił. Jakie to trywialne – coś w niej zaskowyczało boleśnie.

Po raz ostatni wybrała jego numer telefonu. Na darmo. Nie raczył odebrać. Jej były mężczyzna miał ją w tym przełomowym momencie nadal gdzieś. Rysa przyglądał się jej. Nie potrafiła podjąć decyzji, więc wziął ją za dłoń i delikatnie pociągnął ku sobie. Wykazał inicjatywę, której jej w tym całym rozbiściu brakowało. Spojrzeli sobie w oczy. Miał piękne, brązowe oczy. Z wyrazem jak jej się zdawało skrytej łagodności. Uległa temu. Wstała z kanapy. Poczłapała z nim do jego pokoju, jego legowiska. Norki w której wcześniej nie była. Położył się obok. Już po chwili, co było przecież do przewidzenia, spytał, czy może się przytulić. Nigdy się nie interesował nią w ten sposób, ale na koncercie spoglądał na nią momentami, tak jak patrzy mężczyzna na kobietę, którą chce mieć fizycznie. .. Widziała te spojrzenia.

– Być może przyroda nie lubi pustostanów – pomyślała smutno.

Była jak połać ziemi bez farmera. Pozwoliła Rysie wejść. Przytulił się delikatnie do jej pleców. Złożył swoją rękę na jej boku. Była ciepła, a ona od dziecka była złąkniona ciepła. Całkiem bez walki Rysa zdobył swój pierwszy przyczółek na jej ciele. Kazamiko zamilkła. Zastygła w bezruchu. Prawie przestała oddychać. Była już dużą dziewczynką... Wiedziała, ku czemu to może prowadzić. Nie wiedziała tylko nadal, czy tego chce... Jej świat zawalił się, nie umiała racjonalnie myśleć. Zresztą to akurat nigdy nie było jej atutem. Jej myśli rozpięzły się jak spłoszone czymś stado ptaków. Nie potrafiła ich pozbierać. Kreska ją porzucił, choć było im tak dobrze, choć tak go kochała i okazywała mu to jak żadnemu wcześniej mężczyźnie. Nie rozumiała tego. Wcześniej to ona zrywała z mężczyznami. Teraz znalazła się po drugiej stronie. Zagubiona w codzienności bez niego.

Bez weekendów z nim, tego co jej dawał. Porzucona kobieta na skraju załamania. Wolna, czy też zwyczajnie niechciana. W życiu nie można być niczego pewnym. Miała poczucie swojej wartości, ale w obliczu tej sytuacji mimowolnie poczuła się jak odrzut. Jak przeterminowany towar. Jak zbędny, niepasujący nigdzie element. Rysie najwyraźniej to nie przeszkadzało. Wszedł w to z nią. Położył już na niej swą dłoń. Przywarł nią do jej brzucha, epicentrum jej kobiecości.

– Ciężko ci? – spytał po chwili, chyba aby przełamać to nagłe oziębienie z jej strony, jej sztywność.

– Ciężko? Z czym? Z życiem? Tak – spytała i odpowiedziała jednocześnie, bo nie wiedziała o co mu chodzi, ale tak to czuła w tej chwili.

Po raz kolejny życie ją bolało. Nieopatrznie się zakochała i płaciła za to swoje szczenięce, mimo wieku, zauroczenie.

– Nie, z moją ręką – odparł kurtuazyjnie Rysa.

– A, z ręką... Nie – skwitowała. – To jest ok. – dodała.

Nie trwało długo, gdy zaczął błędzić dłonią po jej ciele. Najpierw powolutku, by jej nie spłoszyć, gładził osamotniony brzusek. Nie protestowała. To było nawet miłe. Dobijanie się innego mężczyzny. Jego palce były delikatne i subtelne jak dotyk luksusowej materii, jedwabiu, satyny. Jego dotyk rozbroił ją. Rozbił ostatecznie resztki oporu. Sprawił, że mogła być jego. Milczała, ale czuł, że robi się miękka i uległa. Stopniowo posuwał się więc dalej ze swoim dotykiem, zataczając coraz większe koła. Dotarł palcami do piersi. Nie miała stanika. Obrysował je delikatnie i uszczypnął sutek. Odwróciła się do niego. Ściągnęła koszulkę. Zrobił to samo ze swoją. Zaczęli się kochać. Ta noc należała do nich. Jak w piosence Patty Smith, noc była ich. Ranek zbudził ją brutalnie. Odślonił kurtynę złudzeń. Potowarzyszyli sobie nawzajem, ale przecież to nie było mądre. Lubiła go, ale wiedziała, jaki jest. Jak ceni swoją niezależność, bo miała podobnie. Znała jego wady. Wiedziała o nim chyba nawet więcej niż jego przelotne kobiety. Był czuły, ale nie potrafił być wierny. Akceptowała to u niego jako kolegi. Nie zniosłaby tego u mężczyzny. Seks bez miłości, bez przyszłości. Okraszony cieniem pożądania. Wydało się to jej bez sensu. Wróciła do siebie przybita.

– Uwsteczniam się – pomyślała cierpko. – Już tak kiedyś miałam. Życie niczego mnie nie uczy – oceniła sama siebie nader krytycznie.

– W porządku? – zadzwonił z pytaniem po paru godzinach Rysa.

– Nie, w chuj mnie to z tobą rozpierdoliło – odparła brutalnie szczerze.

– Przykro mi, już taki jestem. Wiele kobiet mi to mówi – oświadczył z nutą smutku w głosie.

Nie powiedziała mu tego, ale czuła, że to ją zbrukało. Była pewna, że to zniszczy to coś, co było między nimi. Nie stało się tak.

Po czasie odezwał się do niej Kreska. Tym razem ona nie chciała rozmawiać z nim. Była wyjątkowo zimna i nieczuła. Jej serce jednak, co do niej boleśnie dotarło, wciąż go kochało. Pomimo tego, co jej zrobił. Pomimo tego, co ona zrobiła mu, w tym swoim zagubieniu. Jej serce nie słuchało argumentów. Wyrывało się do niego jak ćma do światła księżyca. W końcu zmiękła więc i ona. Napisała mu nocą, że czeka na niego.

Złapał taksówkę i już jechał. Zmierzał ku niej. Cieszyła się i bała zarazem. Nigdy wcześniej nie była w takiej sytuacji. Nie przełamała bycia z jednym mężczyzną seksem z innym. Zobaczyła go i coś w niej zaklekotało. Zatlukło się, usiłując wydostać się na zewnątrz. Obiło się niepokojem. Wiedziała, że musi mu powiedzieć, ale nie miała pojęcia jak... Nigdy się nie bała, nawet wtedy gdy wsiadała do autobusu pełnego skinów. To przyszło teraz. Zagarnął ją do siebie, jakby nic się nie stało. Z namaszczeniem ściągał z niej ubranie, aż była naga. Poddawała mu się, ale była niepewna, dziwnie pasywna, spięta, nieśmiała. Obsypał ją pocałunkami. Uszczęśliwiony, że są znowu razem. Promieniał szczęściem, jak zawsze gdy do siebie wracali.

– Wiesz chyba wariuję, ale czuję obcy zapach na twojej skórze – powiedział nagle.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Zabije mnie – pomyślała wystraszona. – Nie mogę mu tego powiedzieć. Wścieknie się i wpadnie w szał. To pewne. Bez dwóch zdań. Nie dożyję jutra – wystraszyła się nie na żarty Kazamiko. – Jak ja dam radę żyć w kłamstwie? – zadrgał w niej boleśnie drugi głos. – Niepotrzebnie do niego pisałam, to i tak po tym, co się stało, nie ma przyszłości – uznała zrozpaczona.

Muskał ją palcami. Był podniecony. Całował już pomimo tego, co wywęszył: gorąco, namiętnie, czuła, że mu stoi. Byli 0 krok od cudownego seksu...

– Muszę ci coś powiedzieć – wyznała właśnie wtedy cichutko Kazamiko, burząc magię tej chwili, tuż przed zbliżeniem.

Bardzo go pragnęła, ale nie mogła kochać się z nim, nie mówiąc mu o tym, co było... Nie potrafiła żyć w kłamstwie. Kochała go i wciąż zależało jej na nim. Bała się, że po tym, co się dowie, Kreska odtrąci ją na dobre. Mimo tego, że odezwał się i przyjechał do niej, co zdawało się świadczyć o tym, że mu również na niej zależy... Wiedziała, że nie będzie już seksu, wspólnych przyspieszonych oddechów, że nie wejdzie w jej ciepłe, tęskniące za nim wnętrze. Obawiała się też, jak fizycznie zareaguje na te wieści. Co zrobi oprócz tego, że porzuci ją ostatecznie. Leżała pod nim. Była naga. Bezbronna w obliczu jego silnych, wytatuowanych ramion, dłoni które mogły zacisnąć się w pięści lub na jej szyi. Serce w niej waliło jak oszalałe.

– Tak, a co? – zapytał ostro, unosząc się nad nią i zaglądając w jej szare oczy.

– Byłam z kimś – powiedziała, nie owijając w bawełnę, prosto z mostu, bez zbędnych wstępów, niepotrzebnego kluczenia, nim dotrze się do właściwego sedna sprawy.

– Kurwa mać! – krzyknął jak ugodzony czymś ostrym i zerwał się jak oparzony.

Krew wzburzyła się w nim jak fale Dunaju, przynajmniej tak jej się wydawało.

– Jak mogłaś mi to zrobić. Ty, która wiesz, jak bardzo coś takiego zraniło mnie w przeszłości. Ty, o której myślałem, że jesteś aniołem, tak dobra i wrażliwa. Czy wy kobiety musicie być takimi skończonymi dziwkami? – rzucał w nią słowami niczym oszczepami.

– Nie odzywałeś się do mnie. Nie dzwoniłeś. Nie odpisywałeś na sms-y. Myślałam, że mnie zostawiłeś. Co miałam pomyśleć? – zapytała pogubiona.

– I to był powód, by się z kimś zaraz przespać? – zapytał pełen jadu, akcentując słowo zaraz.

Milczała upokorzona. Jego słowa owijały się wokół jej szyi niczym sznur i zaciskały się na niej.

– Zawsze mnie zdumiewało, jak wy kobiety, umiecie zgrabnie wytłumaczyć każdą zdradę – wycedził ostro.

– To nie jest zdrada, bo ty mnie rzuciłeś. Nas już nie było – oświadczyła Kazamiko, siląc się mimo zdenerwowania na lekki ton.

– Nie odzywałem się trochę, to prawda, ale nie myślałem, że ty tak to traktujesz i że wywiniesz taki numer. Ty, której tak ufałem – wymamrotał i spojrzał na nią wzrokiem zranionego zwierzątka. – Ja byłem tobie wierny, dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał.

– Piłeś i się do mnie nie odzywałeś, jak miałam tobie cokolwiek powiedzieć? – spytała retorycznie Kazamiko.

Dąsał się na nią w nieskończoność. Patrzył na nią i krew go zalewała. Hamował się jednak. Nie uderzył jej, ani nie ubliżał więcej. Kazamiko nieśmiało zaproponowała kąpiel. O dziwo zgodził się. Weszli razem, ale osobno... nie pieścili się, choć ich ciała stykały się, ocierały o siebie. Wyszła z wanny. Wytarła się. On jeszcze w niej leżał. Wzięła jego ręcznik.

– Chodź – powiedziała do niego miękko.

Wstał, przodem do niej. Patrzył jej smutno w twarz. Otuliła go ręcznikiem. Ssał łapczywie wilgoć z jego ciała. Wyszedł z wanny. Stał nagi, od połowy w górę, suchy. Pochyliła się, by wytrzeć mu nogi. Klęknęła przed nim. Nigdy wcześniej tego nie robiła mężczyźnie, ale teraz chciała i nagle jego członek na wysokości jej ust... Uwielbiała rozbudzać go ustami. Drażnić językiem, ssać. Lubiła lekko słony smak jego spermy. To akurat robiła nie raz. Zapragnęła ponownie. Wiedziała, że w tej jakże wyjątkowej sytuacji, to nie uchodzi, nie wypada. Naprawdę jednak ciężko jej było wytrzymać. Tak bardzo chciała wziąć go do ust, popieścić językiem. Sprawić, że urośnie... Prawie przestała oddychać. Jej pragnienia. Jej poczucie przyzwoitości. Dostała wypieków na twarzy. Spojrzała niepewnie w jego oczy. Przyglądał się jej walce z samą sobą, by się pohamować. Znał ją. Wiedział, jak ją to kusi. Jak bardzo pragnie mieć go teraz w ustach. Jak szybko doprowadzi ich to na szczyt... Nie powiedział ani słowa. Zdradziła go, był rozbity.

Wytarła mu uda i delikatnie, prawie z nabożeństwem zaczęła zbierać puszystym ręcznikiem wilgoć z jego jajek i penisa, jej złaknione usta były tuż, tuż. On nadal milczał...

– Mogę? – spytała w końcu nieśmiało. – Czy pozwolisz mi?

– Tak – odparł krótko, godząc się by to zrobiła.

Wzięła go delikatnie, z prawdziwym namaszczeniem. Kochała go i miała świra na punkcie jego ciała. Podobał jej się cały. Uwielbiała to z nim. Pragnęła go. Klęczała, robiąc mu laskę, aż przerwał jej i zabrał ją do łóżka, by wejść w tą jej zwilgotniałą, stęskniona za nim, cipkę.

Kochali się i pragnęli siebie nawzajem, swoich ciał. Pogodzili się w łóżku. Znowu byli razem. Wrócił do niej, pomimo tego, co zaszło...

Miała świadomość, że mogło już tego nie być. Nie sądziła, że kiedykolwiek go zdradzi, ani że on mógłby coś takiego wybaczyć. .. Poczwała wdzięczność i szczęście, że dał radę... Czwała, jak bardzo go kocha. Pragnie i potrzebuje. Przetrwali.

Następnego ranka dobrała się do niego, już normalnie. Miała go w ustach, gdy zadzwoniła jego komórka... Uśmiechnęła się kącikami ust, nie przerywając. Odebrał.

– Wszędzie wdziera się ta jebana technologia – pomyślała bez złości. – Trzeba chyba będzie wyłączać komórki, aby móc w spokoju pokochać się ze swoim mężczyzną. Zadzwonią nawet o 8 rano w sobotę.

Skończył szybko... rozmowę. Trysnął potem, tworząc sieć jezierek na jej plecach Uwielbiała to z nim, w niemalże każdej postaci. Nic na to nie mogła poradzić. Podniecał ją jak żaden inny. Prowokował samą obecnością, jak pewnego razu w kuchni, gdy siekał cebulę na kolację, ubrany tylko w koszulkę. Wokół bioder miał okręcony kąpielowy, bordowy ręcznik. Jego ulubiony kolor. Spojrzała i nie dała rady się powstrzymać... Podeszła miękko niczym kot skradający się ku ptakowi. Położyła mu dłoń na tyłku i zaczęła go głaskać. Nie chciała nic więcej, oprócz pogłaskania tyłka swojego mężczyzny, ale poczuła, jak mimowolnie wilgotnieje jej cipka, a serce zaczyna bić mocniej... Skapitulowała. Osunęła się na kolana. Klęcząc przy nim, nieznacznie uniosła ręcznik.. Widok jego jajek i penisa był dla niej niczym najlepszy afrodyzjak... Niezawodnie ją nakręcał. Zbliżyła się do niego swoimi ciepłymi ustami. Zaczęła go pieścić tak, jak oboje to lubili. Jej głowa między kuchennym blatem, na którym siekał cebulę, a jego podbrzuszem, skryta pod ręcznikiem przyzwoitości, oplecionym wokół bioder. Jego penis w jej ustach, wydany na pastwę języka. Jej dłonie omiatające jego nogi i zgrabny tyłeczek. Jej przyśpieszony oddech, przymknięte oczy.

– Kochanie, przytnę sobie palce – zawyrokował Kreska.

Nie odpowiedziała mu. Zbyt była pochłonięta tym, co robiła.

– Dobraliśmy się jak w korcu maku. Oboje jesteśmy tacy postrzeleni – skwitował sytuację po chwili.

– Mam przestać? – zapytała retorycznie, odrywając się ustami na moment od jego penisa.

– Nie – odparł.

Jego członek już pięknie stał, gotowy do seksu z nią...

Mieli częsty i dobry seks. Jednak gdy się godzili, gdy do siebie wracali po okresie różnych zawirowań, przerwy w kontakcie z powodu jego picia, jej wyjazdów na koncerty i festiwale muzyczne, był on jeszcze bardziej intensywny, piękny.

– Czasem myślę – zaczęła ostrożnie Kazamiko, patrząc na Kreskę – że podświadomie prowokujesz awantury, by się potem ze mną tak cudownie godzić w łóżku – skończyła.

– Nie jest tak, po prostu jestem porywczy – uznał Kreska. – Poza tym oboje jesteśmy charakterni. Mamy swoje przyzwyczajenia, różne nawyki i żadne z nas nie chce ustąpić choćby na krok – podsumował.

– Może i tak – skwitowała Kazamiko, wtulając się w niego. – Wiesz – zaczęła po chwili znowu – jechałam z Czarną do Jarocina. W lesie jagody. Przy drodze tirówki. Czemu przy drodze nie stoją faceci – pomyślałam nagle i spytałam ją. – Od wieków sytuacja wygląda właśnie tak, że to głównie kobiety kurwią się, często publicznie. Kiedyś na stopa we Francji złapałam z koleżanką tira. Facet jak tylko zorientował się, że jesteśmy Polkami, zaproponował płatny seks. Obie się nie zgodziłyśmy. Podbijał cenę, nie rozumiejąc, że nie chodzi o to, a o coś więcej. W kraju czekał na mnie chłopak. Mój punkowiec. Młody, zgrabny, dobry w łóżku. Słuchający tej samej muzyki. Nie chciałam robić tego z nikim innym. Przywozić w swojej głowie balastu takich wspomnień. Seks bez uczucia, mgiełki fascynacji, dreszczyku pożądania, ze starym, obleśnym dziadem nie był mi do niczego potrzebny. Mógłby stać się tylko kolejną traumą. A na to nie ma ceny. Nigdy nie rozmawiałam o tym z Gosią, ale chyba myślała podobnie. Obie byłyśmy tym zniesmaczone do granic możliwości.

7.

Przyszło kolejne lato. Po jednej z upojnych nocy z Kreską Kazamiko wpadła do Beaty. Bea mieszkała z synkami w bloku obok, w mieszkanku teściów, w którym nie była nawet zameldowana... To było spontaniczne. Poszła do niej bez umawiania się, dosłownie na chwilę. Na herbatę. Podtrzymać więzi towarzyskie, na których jej zależało, mimo, że nie sposób było nie zauważyć, że się różniły. Poszła opowiedzieć w telegraficznym skrócie niusy i wysłuchać, co u niej. Bycie z kimś czasem tak okrutnie zrównuje wszelkie pagórki i wzniesienia starych przyjaźni i znajomości... Bywa, że niweluje życie towarzyskie, sprowadzając je do monotonnej równiny. Nie chciała być jak te jej były koleżanki, które gdy tylko kogoś poznały, zatracaly się w tym bez reszty. Starala się nie odwracać od znajomych tylko dlatego, że poznała jej zdaniem świetnego faceta, z którym było jej dobrze w łóżku. Nie chciała, by kontakt się zerwał, choć były obie z pokrewnej, ale nie tej samej bajki. Bea kochała zwierzęta, ale nie była wege. Bardzo dbała o swoich synków, jednak nie wpadła w pułapkę rozpuszczania ich i psucia zbędnymi rzeczami. Poświęcała im czas. Chodziła na place zabaw i różne zajęcia organizowane w miejskim MDK-u. Czytała im do snu. Rozmawiała z nimi, tłumaczyła różne sprawy. Nie szalała, podobnie jak Kazamiko, z antybiotykami, preferowała naturalne metody radzenia sobie z przeziębieniami. Lubiła zdjęcia, w tej zanikającej już, fizycznej formie. Takie, które można wziąć do ręki. Obejrzeć lub wsunąć za okładkę albumu. Oprawić w ramki i powiesić na ścianie. Słuchała muzyki, ale nie takiej jak Kazamiko. Lubiła seks i podobnie jak Kazamiko chciała go łączyć z uczuciem. Miała więc długie okresy wstrzemięźliwości. W wolnej chwili czytała książki. Obie były samotnymi matkami, które radzą sobie w życiu. Kazamiko po rozwodzie. Bea z mężem za granicą... Pomagały sobie przy dzieciach i wspierały się w gorszych momentach. To Bea malowała czasem, i to zupełnie bezinteresownie, Kazamiko przed koncertem, twierdząc, że lepiej i bardziej wyraziście wygląda z makijażem. Oczywiście miała w tym rację. Bea wyprowadzała też jej sunię, aby Kazamiko mogła się czasem urwać na ciut dłużej niż parę godzin. To Bea zapytała ją, gdy Kazamiko opowiedziała jej o

Łańcuchu, czego się boi, uciekając przed poznawaniem fajnych facetów. Różniły się, ale się lubiły. Potrafiły się rozśmieszyć i sprawić, że życie stawało się lżejsze. Bea, podobnie do Kazamiko, była bardzo pogodna. Umiała cieszyć się z drobiazgów. Kazamiko trafiła tym razem jednak na moment totalnej rozsypki Beaty. Jak po wybuchu atomowym. Ona, na co dzień taka radosna, tym razem była cała we łzach. Koszmarny widok ujrzyć kogoś, kogo się lubi, w takim stanie...

– Co się stało? – spytała koleżankę zaskoczona.

– Ma kochankę – zaszlochała.

– Kochankę? Kto? – zapytała Kazamiko, nie rozumiejąc w pierwszym momencie.

– Mój mąż – odparła przez łzy Beata.

– Twój mąż! – wykrzyknęła zdumiona Kazamiko. – Ten co siedzi od tyłu lat za granicą i ciężko zarabia na chleb swój i wasz? – spytała upewniając się.

– Tak, on – potaknęła.

– O kurwa – wymknęło jej się z kobiecych ust. – Skąd wiesz? – zaczęła dopytywać. – Może to plotki? Ludzie czasem chodzą i opowiadają różne takie niestworzone historie. Nie można dawać we wszystko wiary. Pamiętam, jak matka kiedyś opowiadała, że sąsiadka oznajmiła jej, że jak jest w pracy, a ojciec w domu, to przychodzi jakaś kobieta... Matka poradziła jej, by zajęła się swoimi sprawami. Zarąbiście mi się wtedy podobała jej postawa. Odcięcie się od tego i to zaufanie do ojca. Zresztą gdzie ojciec, taki porządny facet, i skoki na bok! W dodatku jak on taki zabujany w matce był. To niechybnie jakaś bzdura musiała być. Może z wami jest podobnie – oświadczyła pełna wiary Kazamiko, niepoprawna optymistka, szukająca niezłomnie tych jaśniejszych miejsc.

– Przyznał się – powiedziała wtedy Beata cichutko, przerywając tak słowotok Kazamiko. – To ciągnie się od dwóch lat. Dasz wiarę? Przez cały ten czas mnie oszukiwał, zwodził, a ja głupia mu wierzyłam. Byłam wierna – załkała ponownie.

Kazamiko spojrzała na nią przejęta. Jej serce ugodzone tą wiadomością wewnątrz już krwawiło. Pokłady jej empatii zostały poruszone do dna. Zamarła struchlała od wagi słów, jakie padły i konsekwencji, jakie z sobą mogły nieść. Wychowywała samotnie córkę. Kreska, którego kochała, pełnił rolę bardziej weekendowego amanta niż ojczyrna dla jej córeczki. Owszem, był jej miłością, jej

odskoczną, ale nie mieszkali razem. Z jej córką najczęściej się mijał w jej drodze do tatusia. Kazamiko wiedziała, jak trudno bywa w pojedynkę...

– A ona z dwójką, w dodatku chłopców – pomyślała, porażona tymi wydarzeniami.

Uciekła na moment wzrokiem przez szybę, w dal. Odpłynęła myślami. Rozpierzchły się ponownie jak stado spłoszonych nagle ptaków. Na podwórku biegały jej dzieci. Ich dzieci. Dzieci, których tak pilnowała i nie puszczała dotąd samych. Przez dzieci się właśnie poznały. Kazamiko po przejściach z pedofilem w dzieciństwie kręciła się przesadnie blisko swojej córki, przezornie nie spuszczać jej z oka. Przesiadywały przy tej samej piaskownicy... Po chwili Kazamiko wróciła do rzeczywistości.

– Niedobrze – wymamrotała do Beaty. – Macie dzieci. Może uda się to naprawić. Siedzi tam sam, tyle czasu. Chwila słabości. Nie chcę go usprawiedliwiać, ale to też wina tej kobiety. Wchodzi w coś takiego, prawdopodobnie wiedząc, że facet ma inną, a z nią dzieci. Jak można budować coś na krzywdzie innych? – spytała, z niekrytym oburzeniem. – Może się jeszcze dogadacie, rozważ to? Kochasz go w ogóle? Rozmawiałś z nim? – zasypała ją gradem pytań.

– Nie wiem, czy go jeszcze kocham, mam mętlik w głowie – zapłakała Bea ponownie. – Wiesz, mówiłam mu, że mamy dzieci i powinniśmy to ratować. Wiesz, co mi odpowiedział? – zapytała ją przez łzy.

– Co? – spytała zaciekawiona Kazamiko.

– Ze ma zobowiązana konkubencie wobec kochanki – oświadczyła dobitnie, bez cienia wstydu i słusznie.

– Co takiego?! – wykrzyknęła Kazamiko, zbulwersowana do granic wytrzymałości. – Wobec kochanki ma zobowiązania, a wobec żony i swoich dzieci ich nie ma? – spytała retorycznie. – Kurde, świat się kończy, to najgłupsza rzecz, jaką słyszałam. Nikt, żaden pisarz by nie wymyślił tak absurdalnej historii. To tylko życie pisze takie pojebane scenariusze. Ty chcesz z nim być? Z takim głupkiem. Może lepiej się zastanów, po co tobie taki związek? Ten facet ma chyba coś z deklek – rzuciła w gniewie Kazamiko. – Zresztą nie wiem, nie znam go, raz go widziałam, jak do was przyjechał – poniosło ją i poleciała w tak ostrą krytykę, z którą już po chwili nie czuła się dobrze... Zaczęła się z niej wycofywać. Nie lubiła wydawać sądów, zwłaszcza jak kogoś

nie znała. Nie lubiła też rad w stylu „rzuć tego gnoja, on nie jest ciębie wart”. Przeżyła boleśnie rozstanie ze swoim mężem, z Kantem. Mimo sugestii znajomych i psycholożki, że ma mu nie dawać kolejnej szansy, dała mu ją. Nie skorzystał. Skończyło się rozstaniem i w końcu orzeczeniem o rozwodzie. Poraniony ochłap czegoś, co kiedyś było jej sercem. Długoletnia samotność. To, co przeżyła i widziała dookoła, zachwiało jej wiarę w jakiś porządek i normalność. Doprowadziło do tego, że oceniła kogoś, kogo nie znała osobiście... Wiedziała, że Beata może się wygadać i wypłakać przy niej, ale sama musi podjąć decyzję, co dalej. Swoim zwyczajem Kazamiko poleciła jej wizytę u psychologa. Wróciła do domu rozbita i zajęła się czymś, by nie rozmyślać nad ludzką podłością, nieodpowiedzialnością i jak to wpłynie na dzieci, które zdążyła polubić. Niewiele mogła pomóc, choć bardzo chciała.

8.

Zadzwoił do niej z pracy.

– Co robisz myszko? – spytał.

Akurat przepisywała sms-y od niego, których ilości nie dawała rady pomieścić jej skrzynka pocztowa w komórce. Zaśmiała się ciut zażenowana, jakby przyłapał ją na czymś niestosownym. Przyznała się jednak.

– Ej tam, kasuj je – oświadczył.

– No coś ty, są piękne – odparła żarliwie.

– Piękny to jest seks z tobą – odparował jej na poczekaniu, kończąc tak temat.

Zaśmiała się, jakby powiedział jej najpiękniejszy komplement pod słońcem.

Podobały mu się jej dłonie.

– A co jakbym miała brzydkie? – spytała go kiedyś.

– Nie wiem? – odparł szczerze.

Nie była od niego lepsza. Też była estetiką. Nie mogłaby się chyba z nim kochać, jakby miał brzydki tyłek lub penisa. Lubiała pełny seks. Lubiała go brać do ust, więc musiał jej się podobać. Musiał ją kręcić i on ją kręcił... Nie był jej pierwszym mężczyzną. Miała dobry seks przed nim, ale to z nim wydawało się jej niczym mistrzostwo świata, a był najstarszy, no i pił o wiele za dużo. Fascynował ją swoją osobowością, twórczością i przy tym był bardzo dobry w te klocki. Był jej płomieniem świecy... Jej zatraceniem.

– Nie chcę innego. Nie chcę gówniarza, który by mnie ruchał przez całą noc. Długo i monotennie. Bez tej finezji którą on ma. Z którym na dodatek nie miałabym zbytnio o czym pogadać po – oświadczyła kiedyś Rysie.

Kreska, pomimo swoich nałogów, zdawał się być idealnie dopasowany do niej. Czasem to co piękne, jest takie ciche... Lubiała seks i prowokowała go dość często. Nie tylko, gdy miała nań przemożną ochotę, choć co tu kryć, często miała. Robiła to jednak również wtedy, gdy czuła, że Kreska się od niej zwyczajnie oddala, gdy traciła poczucie tej wzajemności uczuć, na której jej tak bardzo zależało. Gdy czuła się porzucona, taka niczyja. Gdy nie była pewna gruntu pod

nogami, jego miłości. Gdy pił i odpływał wraz z telewizyjnymi falami, na całe godziny albo usypiał w jego blasku...

Lubiła seks z nim i on też lubił. Kochała się jednak częściej niż potrzebowała, częściej niż on chciał i potrzebował. Seksem potwierdzała istnienie ich związku, jakby bez niego nie istniał.

Seks ma to do siebie, że wymaga od mężczyzny pełni zaangażowania. Nie poleży on sobie raczej jak kłoda. Jest aktywny. Widać jak na dłoni, co czuje i czy mu zależy, a ona chciała to czuć. Potrzebowała to widzieć. Chciała dowodów na istnienie czegoś bardzo osobliwego. Nie interesował ją wszechświat. Odległe galaktyki. Zimne gwiazdy, ani podobno nieziemsko gorące słońce. Zajmowało ją to, co między nimi. Tuliła się do niego, gdy tylko czuła się odrażona, a ponieważ pił i obojętniał na wszystko, często się tak czuła. Koło się zamykało. Seks był ich chlebem powszednim... Kiedyś zaczęli się kochać w wannie. Kreska leżał, relaksując się w ciepłej wodzie, gdy Kazamiko weszła do łazienki.

– Co za chuj – powiedziała z uznaniem, patrząc nieznacznie na jego przyrodzenie i zaczęli się śmiać z dwuznaczności tego sformułowania.

Rozebrała się i bardzo chętnie wcisnęła się do niego. Było im dobrze i jednocześnie trochę ciasno. Nie mogli zrobić tego, na co przyszła im ochota, więc postanowili, że wyjdą i przeniosą się winne bardziej przyjazne miejsce. Wyciągnął korek, zwalniając wodę w wannie. Wyemigrował z łazienki do ich sypialni. Położył się w poprzek łóżka. Czekał na nią, nadal nagi. Ona tym czasem ubrała się cichaczem w czarną bieliznę, pończochy i buty na szpilkach od niego. Zaszła do łazienki, stukając obcasami. Wzięła metalowy, trójramienny świecznik z migoczącymi płomykami palących się wciąż czerwonych świeczek. Weszła do niego, stawiając ładnie nogi, bo przecież wiedziała, że się na nie patrzy, choć może nie w tej chwili. Kiedy szła ku niemu, miała już jednak taki odruch. Jego rozciągnięte ciało w poprzek łóżka czekało... Postawiła świecznik na komodzie. Rozświetliła płomykami świeczek mrok sypialni. Podeszła do łóżka, tylko w bieliźnie i butach, jej pierwszy raz, taki. Pochyliła się nad nim. Pocałowała go w usta, z języczkiem, patrząc mu głęboko w oczy, zjechała niżej i zaczęła go lizać w kroku. Czuła, że nie wyrobi, że zaraz jej tryśnie... wyhamowała więc, zaglądając mu filuternie w oczy. Znowu zaczęła i wyhamowała. Wstał. Jego piękny penis na wysokości jej piersi. Przejechał nim po jej

sterczących sutkach. Tam i z powrotem, wstrząsnął nią dreszcz pożądania. Delikatnie zebrał jej piersi. On między nimi. Wymasował go sobie nimi. Patrzyła, co robi. Myślała, że zwariuje. Jej serce biło jak szalone. Krew pulsowała na podkręconych obrotach, zamknięta ściankami żył. Podsunął go blisko jej ust. Zaczęła robić mu laskę. Drażniła go językiem, całowała chuchając ciepłem, lizała główkę. Delikatnie przejechała przez ten roweczek na nim i wcisnęła się odrobinę w dziurkę na czubku, aż w końcu wzięła go do buzi. Miarowo, rytmicznie. Kochała go, więc jak najgłębiej... Calutkiego. Spojrzała mu w twarz, ciekawa, czy patrzy. Na niego znikającego w jej buzi. Czuła się taka malutka. Klęczała przed nim. Nie było mowy o równości. Była podniecona i jednocześnie trochę speszona, choć to nic złego... Myślała, że skończy, ale nie chciał jeszcze... Rozciągnął ją na łóżku i wjechał w nią twardością swojego członka, tak jak bardzo lubili, od tyłu, potem przekręcił ją na plecy. Wsuwał się i wysuwał, zmieniając rytm i głębokość. Patrząc jej w oczy. Czuła, że zaraz zwinie ją skurcz i tak wyjątkowo długo się trzymała... Wyskoczył tuż przed i trysnął jej na brzuch swoją (zupełnie nie wiedziała, jak to czasem robił) gorącą spermą. Spojrzała na te bladoperłowe strumyczki i jeziorka na swoim brzuchu. Odbijało się w nich światło, a wraz z nim nadzieja. Kazamiko pomyślała wtedy, że być może to nie będzie trwało wiecznie, ale niczego nie będzie żałować. Nawet jeśli coś mu się stanie albo się rozejdą, zostaną jej piękne wspomnienia. Żyła chwilą, bo z nim się inaczej nie dało, a chwila ta była piękna.

– Kochanie, pospieszyłeś się – powiedziała mu miękko, bez cienia wyrzutu.

– Przepraszam – szepnął. – Wyglądałaś tak seksownie, że nie wytrzymałem – dodał.

Nie gniewała się. Poprowadziła jego rękę w miejsce, gdzie chciała, by ją dotknął. Po chwili nadszedł jej orgazm. Chwycił i nie puszczał. Pulsował, falował niczym prawdziwe morskie pływy. Cofał się i wracał, aż wreszcie ustał. Westchnęła rozanielona. Podziękowała. Była po dwóch gwałtach. Znała różnicę.

Było im dobrze ze sobą, ale alkohol coraz bardziej wpływał na ich relacje. Nie mogło być inaczej. Jak był bardzo pijany, to czasem nie kończył... Stawał mu bez problemu przy niej, ale zdarzało się, że nie

dawał rady skończyć. Czasem jego członek mięknął nagle w trakcie stosunku i nie mogła nic z tym zrobić. Akceptowała to początkowo. Z reguły i tak szybko zwijał ją orgazm, więc najwyżej w tej sytuacji on nie kończył. Ona była i tak cudownie zaspokojona, nawet jak on nie trysnął, choć lubiła jaki on kończył, oczywiście że tak. Wiedziała jednak, że będzie to miała rano, jak alkohol z niego zejdzie... Z czasem zaczęła tęsknić, by było bardziej normalnie, by zawsze można było pokochać się tak, jak przyjdzie ochota, np. na jeźdźca... Po alkoholu nie zawsze było to możliwe... Zależało od tego, ile wypił. Ile wpuścił w krwioobieg.

Mimo wszystko starała się nie walczyć z wódką. Czowała się na to zbyt słaba, mała. Wydawało jej się, że w konfrontacji z nią po prostu nie wygra. Bała się, że Kreska pożąda jej bardziej. Z nią było mu dobrze, wygodnie, ale to wódka była mu niezbędna. Wiedziała, że z butelką jest częściej niżli z nią. Do niej często przyjeżdżał zmęczony tym, co robił z wódką, a raczej tym, co ona wyczyniała z nim. To przez nią czasem nie dawał rady skończyć zaczętego seksu... Ich trójkąt zaczął ją irytować i męczyć. Była realistką. Wiedziała, że z nią nie ma szans. Nie dawała już jednak rady... Zaczęła o niej mówić źle. Określiła ją dobitnie mianem „jebanej suki”. Kochała go i zaplątała się w sieci tego uczucia. Czekala czasem na niego cały, tak długi, tydzień. Również na to, by go móc fizycznie poczuć. Pragnęła twardości jego członka, jego spermy na swojej skórze, ich wspólnych, przyspieszonych oddechów. Chciała seksu, wzajemności. Czegoś więcej niż onanizowania się przy boku kochanego mężczyzny. Chciała go czuć. Mocno czuć. Kochać się z nim, a nie przy jego skacowanych zwłokach. Miała swoje małe wizje, ale tamta ciągle się wciniała między nich. Sytuacja nabrzmiewała niebezpiecznie. Przyjechał taki wyczekany i pijany. Jakby tego było mało, w sklepie dokupił flaszkę. Była o to zła. Cięta jak osa. Rzuciła mu gniewne spojrzenia. Ona na co dzień taka subtelna i łagodna. Do tego ją doprowadziła ta druga. Kreska bał się ją dotknąć i słusznie, w tym momencie nie miała ochoty na seks, ani nawet na żadną formę czułości. Zdradzał ją z nią oficjalnie, na jej oczach. Tego było dla niej zbyt wiele.

Wyszedł na balkon zapalić, zostawił Kazamiko samą w pokoju. Zupełnie nagle pomyślała, że jej dąsy nic tu nie zmieniają, że są bez sensu. Wódka trzymała go zbyt mocno w swych szponach. Oddał się jej przed laty, a ona nie rezygnowała. Pomyślała, że taka jest ich

rzeczywistość i że być może mają dla siebie tylko tę chwilę i marnują ją przez jej fochy, które przecież niewiele zmienia. Założyła czarne body i tego samego koloru kozaczki na wysokich obcasach. Rozpuściła włosy. Wrócił i zobaczył ją taką, bezwzględnie prowokującą jego męskość. Bezbłędnie odczytał to zielone światelko, które zapaliła... Poczł jej pragnienie i to, że się już na niego nie dąsa. Przytulił się i wtedy wyczuła, jak pięknie mu stoi. Posłała tam rękę, by sprawdzić, czy to aby nie złudzenie. Dotknęła go dłonią i jej cipka na oczekaniu zwilgotniała. Nie trwało to długo. Szybko zwinął ją skurcz orgazmu. On nie skończył, nie dał rady... Dopiero rano, kiedy zrobili sobie powtórkę, trysnął w jej kierunku plemnikami, opróżniając jądra. Dopiero wtedy, jak zszedł z niego alkohol, jak w końcu ona poszła sobie precz, jak był tylko z nią, bez niej, bez wódki.

Niedługo po tym wieczorze Kreska znowu odpłynął... Tym razem na dobre. Pozornie było między nimi dobrze. Jak dawniej, a nawet jeszcze lepiej. Jednak ciągnęła się za nimi ta historia z Rysą... Każdy związek ma swoje tajemnice. Ich też je miał... Kochali się i ścierali o to, co się wydarzyło, aż oboje mieli tego dość. Wracały do nich duchy przeszłości. Obiecywał o tym nie mówić, ale temat jej zdrady z Rysą wracał do nich jak bumerang. Kreska ranił Kazamiko w atakach zazdrości okrutnymi słowami, w reakcji na które ona najczęściej się obrażała. Przerabiali w kółko ten sam temat, aż Kazamiko rzygała już nim. Myślała, by ostatecznie raz skończyć z tym tematem lub z sobą. Potrzebowała odrobiny spokoju. Obojgu im było z tym ciężko. Nie wiedziała, czy to z tego powodu, czy czegoś co ciągnęło się za nim z wcześniejszego okresu, po raz kolejny odciął się od niej. Wybierał wódkę. Kazamiko, przy całym uczuciu dla Kreski, miała już tego serdecznie dość. Podjęła decyzję. Czekala tylko, by się odezwał, aby mu to zakomunikować... Rozstanie zawisło na włosku. Wydawało się, że to już koniec. Koniec jej toksycznego związku z mężczyzną przesadzającym z piciem i stroniącym od świata, od tego co na zewnątrz. Kazamiko nie myślała, by dać mu kolejną szansę. Nie wierzyła, że Kreska da radę rzucić picie i zapomni o tym, co zaszło między nią a Rysą. .. To było w nim zbyt silne. Pogodziła się z tym. Przyjęła to za pewnik, nie rozmawiała z nim o tym. Zrobiła to na podstawie swoich obserwacji i subiektywnej oceny sytuacji. Dała się

ponieść wartkiemu nurtowi życia, by jak najmniej myśleć. Jej dziecko, pies. Po raz kolejny zerwał z nią kontakt. Nic nowego. Tylko, że teraz ona przestała czekać. Czekala już tylko na to, żeby się odezwał, aby móc oficjalnie z nim zerwać... Póki co, nadrabiała zaległości towarzyskie i koncertowe. Poznawała, jak dawniej, nowych i ciekawych ludzi. Była sama, ale nie martwiło jej to. Odbiła się od dna. Najtrudniej było jej wytrzymać na początku, zwłaszcza bez tego świetnego seksu. Była od niego w pewnym sensie uzależniona. Z czasem jednak przestało jej to doskwierać. Obojętniała. Dni mijały bez niego, a ona trwała. Znowu sama. „Samowystarczalna jak automat” – jak śpiewała Moskwa.

9.

– Rzuciłeś chłanie? – zapytał Kreskę Ogień, gdy się spotkali, a on odmówił piwa.

– Tak – odpowiedział krótko.

– Przez nią, przez tą twoją Kazamiko? – spytał go ironicznie.

– Hm – przytaknął Kreska.

– Poważnie, nie napijesz się? – kusił czarująco Ogień.

– Wypiłem już w życiu dość! – oznajmił Kreska zdecydowanie.

– To przez ten zajebisty, jak mówiłeś, seks z nią? – drażył temat Ogień. – Stary, no nie poznaję ciebie. Uzależniłeś się od dupy. Seks seksem. Picie piciem. Przyjaźń przyjaźnią. Sam mówiłeś, że przy jednej dziurze nawet kot zdechnie – ciągnął dalej, przełamując jego milczenie.

– Chodziła wcześniej z paroma facetami – zaczął Kreska . – Z jednym wyjątkiem wszyscy byli punkami. Wszyscy byli, z tego co mówiła, bardzo dobrzy w te klocki. Jednak to ze mną, według tego co mi komunikowała i co czułem, Kochając się z nią, nie równało się z niczym, czego doświadczyła wcześniej ... Mi też nie było z nikim tak dobrze, a wiesz, że z nie jednego pieca chleb jadłem... Kochaliśmy się, a ona jęczała dochodząc, drżąc i szepcząc, jak bardzo uwielbia go czuć w sobie. Sprawiała, że pragnąłem nie tylko tego by w niej być, ale również tego jej szeptu... Jej słów. Barwy jej głosu, w tym momencie. Gorąca jej ciała. Wypieków na policzkach. Przyspieszonego oddechu. Widoku jej odrobinę powiększonych piersi. Jej zapachu... Wyrażała, bez cienia skrępowania, swój zachwyt nad pięknem mojego ptaszora i tyłka. Kochaliśmy się, a jej oczy błyszczały jak najjaśniejsze gwiazdy na firmamencie. Grzeszyliśmy, a ona uśmiechała się do mnie całą sobą. Szczęście wydostawało się z niej wszystkimi otworami. Promieniało. Cipka przypominała wilgotne, wciągające moczary. Umoczyłem go w niej. Pieprzyliśmy się, a ona zaciskała mięśnie swojej pochwy, bym czuł to lepiej, a kiedy brała go do ust, to całutkiego. Od czubka aż po nasadę. Całowała i lizała go subtelnie lub szybko, zachłannie. Drażniła koniuszek lub brała go całego. Ssała, jakby chciała go wessać, oddzielić od mojego podbrzusza... Pieprzyliśmy się nieśpiesznie, wyrafinowanie lub gwałtownie, na przyspieszonych oddechach. Za każdym razem inaczej. Wyobraź sobie – kontynuował Kreska – że kochasz kobietę,

nie tylko, że z nią sypiasz. Wyobraź sobie, że jest ci z nią po prostu dobrze, że lubisz z nią spędzać czas, że wyjątkowo cię nie nudzi, no owszem wkurza cię czasem, ale umiarkowanie, a do tego masz z nią zajebisty seks. Wyobraź sobie więc, jaka się tworzy między wami i sytuację, że to się nagle rozwala, bo przesadzasz z alkoholem. Ona nie walczy z tym. Jedyne patrzy smutno... a ty udajesz, że nie wiesz, w czym rzecz, by perfidnie móc to robić dalej. Być z nią i upijać się jak dawniej. Trzymać dwie sroki za ogon... Wyobraź sobie, że masz kłopoty, kolejna sprawa w sądzie i masz wszystkiego dość. Ciągnie się za tobą ogon przeszłości, a ona oczekuje informacji, jak ci poszło. Drepta jak po rozżarzonych węglach, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Wydzwania, bo zwyczajnie martwi się o ciebie. Zbierasz myśli i nie odbierasz od niej telefonów. Masz zamiar zadzwonić, ale na spokojnie, w nocy, jak wszystko się w tobie ułoży. Nim to następuje, dostajesz sms-a, żebyś spierdalał i pierdolił się sam, w dodatku po angielsku. Taka nowa moda i ładniej brzmi. Jesteś wzburzony, jak mogła. Nigdy jej nie ubliżyłeś. Sypiasz z nią bez ślubu, masz ją fizycznieomalże na wszelkie możliwe sposoby, ale szanujesz ją, więc dlaczego ona tak do ciebie? Nie rozumiesz tego. Zamykasz się w sobie urażony tą sytuacją. Wódka przynosi szybko ukojenie, obojętniejesz. Dzięki niej nie boli tak bardzo. Dwa tygodnie nie piszesz, nie dzwonisz, nie odbierasz od niej telefonów. Potem coś w tobie pęka. Cholernie za nią tęsknisz. Za jej głosem, ciepłem jej ciała, dotykiem jej dłoni, języka, za seksem, za tym, jak robiła ci laskę. Łamiesz się i wysyłasz sms-a. Cisza. Dzwonisz. Nie odbiera, a zawsze odbierała... Jest weekend. Jej wolny czas. Nie ma jej w domu. Sprawdziłeś. Jej komórka uparcie milczy, a ty od razu przypominasz sobie, że kręcą się koło niej faceci, że próbują ją czasem zwyczajnie wyrwać. Nigdzie z nią nie chodziłeś, bo wolałeś chlać w domu, więc wydaje się im, że jest wolna, do wzięcia. Nie wiesz, gdzie jest? Co robi i być może z kim? Wkręcają się tobie w mózg różne chore wizje. Pierdoli się w nich z jakimś chujem. Zwijają skurcz orgazmu. Ma tą swoją cholerną gęsią skórę, nie z tobą jednak, a z kimś innym. To fizycznie boli. Nie możesz spać. Prawie chodzisz po ścianach. W łóżku zwijas się i skowyczesz jak zranione zwierzę. Straciłeś ją. Czy to możliwe? – myślisz. – Przecież tak ciebie kochała. Zdawała się tolerować to, jak żyjesz, ile pijesz, rozumieć DLACZEGO. Przecież czułeś jej miłość każdą komórką swojego ciała. Czytałeś jej swoje wiersze. Odkrywałeś

swoje wnętrze. Po dwóch dniach tego obłądu dzwonisz do niej nocą z zastrzeżonego numeru. Odbiera i rozmawiacie prawie dwie godziny. Ma zmieniony, schrypnięty głos. Mówi tobie, że to koniec. Nie chce dać ci szansy. Żadnej jebanej, małej szansy. Jest uparta jak bulterier, rasa psa, z którym mieszka. Mówi ci, że czuła się jak rzecz, że brałaś ją gdy potrzebowałeś i rzucałaś potem w ką, jak misia z naderwanym uchem... Niewiarygodne, jak kobiety odbierają różne rzeczy! Rozmowa nic nie daje. Jest nieugięta, jak nie ona. Na drugi dzień przyjeżdżasz osobiście. Jest środek tygodnia, ale masz ciśnienie. Nie możesz czekać do weekendu, nie dożyłbyś go. Rozmawiacie parę godzin, bez skutku. Szmacisz się, prosząc o jedną szansę. Nie chce jej dać. Mówi, że cię kocha i nie chce z tobą być. Jakie to pojebane – coś w tobie krzyczy. W dodatku poznała twójego byłego kumpla, Garnka, i jest pod wrażeniem, jaki to niby jest fajny, ciekawy, zajebisty. Wkurwia cię to tak, że bardziej już nie można, ale nie odpuszczasz. Chuj z Garnkiem, najważniejsze, aby do ciebie wróciła, aby nie zostawiła cię. Prosisz raz za razem. Tłumaczysz, co się z tobą działo. Bierzesz winę na siebie. W końcu ulega... Ze zmęczenia prawie zasypia przy kuchennym stole. Bierzesz ją na ręce. Waży jakieś 50 kilo, tyle co worek ziemniaków, ale wartość całkiem inna. Ma ciało, osobowość, swój niepowtarzalny mózg. Nie ma takiej drugiej wariatki w tym wszechświecie. To pewne – oświadczył Kreska, rozgorączkowany.

Ogień milczał, przypatrując się przyjacielowi. Naprawdę się niepokoił. Przez kobiety Kreska miał wiecznie kłopoty. Przez pierwszą, którą pokochał, bił się i miał otwarte złamanie nosa. Tydzień leżał w szpitalu. Przez drugą stracił mieszkanie i stał się na parę lat bezdomnym. Przez trzecią się powiesił, na szczęście ktoś zauważył i zdążyli go odciąć... To była tylko kwestia czasu, kiedy i co się stanie tym razem. Przynajmniej tak się Ogniewi wydawało.

– I co dalej, jak się to skończyło? – zapytał Ogień, choć nie bardzo miał ochotę wysłuchiwać o niej.

– Zaniósłem ją na kanapę. Była jej zimno. Przykryłem ją kapą. Przytuliłem się do uciekającego ciepła jej ciała. Czulem się jak syn marnotrawny. Powróciłem. Czulem, jak narasta we mnie pożądanie. Moje ciało pamiętało zbyt dobrze to z nią. Chciało tego. Kutas stanął mi od tych wrażeń. Powoli, acz zdecydowanie, rozebrałem ją. Jej ciało było bezwładne zmęczeniem. Nie protestowała, ale nie pomagała mi też. Szło jak po grudzie, niezdarnie, długo. On nabrzmiały, twardy,

spragniony seksu, moje obolałe jajka. Nie poddawałem się jednak, zmierzałem do celu... Dopiąłem swego i w końcu leżała naga. Połyskiwała w świetle księżyca bladością skóry. Jej drobne ciało, małe piersi, rozpuszczone rude włosy. Zrzuciłem szybko ubranie. Wtuliłem się w nią. Popieściłem trochę, bo wypadalo i wszedłem w nią złąkniony ciepła i wilgoci jej cipki. Posuwałem ją z premedytacją, bardzo długo. Nie chciałem szybko kończyć. Ona na granicy realności, rozespiane oczy. Pierwszy raz nie robiła nic. Leżała pode mną jak dmuchana lalka, ubezwłasnowolniona własnym zmęczeniem. Podniecało mnie to, nawet z nią taką bierną. Przyzwalającą, ale bez cienia inicjatywy. Chciałem, żeby było jej zajebicie dobrze. Posuwałem ją płytkimi, szybkimi ruchami, ocierając się bardziej główką penisa o wejście do jej cipki, o jej łechtaczkę, niż penetrując ją. Po takiej serii wjeżdżałem w nią głębokimi, wolniejszymi ruchami. Wierciłem się nim w niej. Jedną dłonią drażniłem jej piersi, drugą łono i brzuch. W końcu wyskoczyłem z niej i trysnąłem. Moja sperma na jej skórze, jej zapach w powietrzu. Była moja. Oddała mi się. Zaznaczyłem teren. Była znowu moja i należała do mojego kutasa... Był w niej, jak dawniej. Ująłem go w palce, przesunąłem się bliżej jej twarzy i obrysowałem nim piersi. Pocałowałem jej usta. Nie oddała pocałunku... Następnej nocy ponownie do niej przyjechałem, choć weekend się jeszcze nie zaczął. Przyjechałem, aby być z nią. Zrobiliśmy powtórkę. To był najlepszy seks w moim życiu. Ona dzika, szalona, nieprzewidywalna, aktywna. Namiętnie całująca mnie, gdzie popadnie. Taka spragniona. Taka kochająca. Rozpalająca mnie swym dotykiem, spojrzeniem, słowami. Najczęściej na mnie. Tańcząca z oddaniem swój godowy taniec na nim. Wyprężona niczym struna. Z falującymi pięknie piersiami. Sterczącymi suteczkami. Czasem pode mną. Czasem wypinająca ku mnie ten swój filigranowy tyłeczek. Zrozumiałem, że wróciła do mnie. Porzuciła rolę kłody i to było wspaniałe. Kochaliśmy się raz za razem, nie mogąc się sobą nasycić. Noc zdawała się nie mieć końca.

Zamilkł na moment.

– Zależy mi na tym. Nie mogę chlać, jeśli chcę ją zatrzymać. Chlałem latami. Odkąd sięgam pamięcią. Musiałem jednak wybrać. Wódka czy ona... Kobiety nie chcą trójkątów. Chcą wyłączności. Ona z pewnością jej chce – zakończył dobitnie Kreska swój prawie monolog.

– Okey, rozumiem – rzucił Ogień.

– Zrozum stary, tego było za wiele. Nasz związek przez to kulał. Moje picie, jej koncerty. Nasze poranienie przez nieudane związki – podsumował Kreska stan rzeczy, choć Ogień już o nic nie dopytywał.

Posiedzieli jeszcze trochę, rozmawiając o dawno nie widzianych znajomych i rozeszli się każdy w swoją stronę.

– Ile miałeś kobiet? – spytała Kreskę Kazamiko, niedługo potem, gdy sprawy między nimi wróciły już na właściwy, dobry tor.

– 50 – odparł jej bez zastanawiania się.

– Co? Ile? – wykrzyknęła zdumiona. – Pytam ciebie, a ty rzucasz mi liczbę, mówisz tak po prostu 50, jakby sprawa dotyczyła kilogramów zakupionych na obiad ziemniaków. Masz jakąś listę? Zapisujesz sobie i odhaczasz każdą kolejną? Mnie też już ująłeś? – kipiała oburzeniem, pytając natarczywie i patrząc na niego teraz już z jawną nutą odrazy.

– No nie, gdybym się zastanowił, to może być więcej, ale nie chcę wnikać – przyznał beznamiętnie.

– Rany, ta ilość mnie przeraża – stwierdziła Kazamiko po chwili.

– Nie miałam pojęcia, że było ich aż tyle. Mówiłeś o paru, no ale 50, a parę, to przyznasz jest różnica – kontynuowała zdruzgotana tą prawdą, która nagle ujrzała światło dzienne.

Temat ją zelektryzował.

– No wiesz, ty też masz pewne doświadczenia, nie byłem twoim pierwszym – wtrącił już ciut zirytowany tym nagłym atakiem w odwecie za zwykłą szczerłość. – Ludzie chcą prawdy, zapominając, że, jak powiedział Picasso, „jeśli chcesz prawdy i tylko prawdy, nic nie będzie tobie oszczędzone” – pomyślał cierpko, patrząc na Kazamiko i to jak przeżywa jego słowa.

– Zgoda, nie jesteś pierwszy, ale nie było w moim życiu tylu facetów – odparła, wciąż kipiąca od emocji. – Wszystkich pamiętam i miło wspominam – dodała, bez potrzeby, rozjuszając tym Kreskę.

– Nie mów mi nic o rozwiązłości – wycedził ostro.

– Powiedziałam o Rysie i teraz będziesz ciągle mi to wypominał? – warknęła poirytowana.

– No tak, mogłaś nie powiedzieć i wtedy dowiedziałbym się od kogoś, jako ostatni – rzucił wściekły.

– Jeśli nie potrafisz się z tym pogodzić, to rozstańmy się, bo rzygam już tym tematem – odpyskowała mu momentalnie Kazamiko.

– Policzę się z nim, jak go spotkam – wykrzyczał w złości Kreska.

– Trzeba było nie chlać. Jak się ma coś cennego, to się to pilnuje, nie rzuca się ot tak, bo ktoś inny może się po to schylić i przypadnie – rzuciła mu ze złością.

Zamilkł. Nie chciał tego. Burzy, która właśnie się rozkręcała. Kochał ją. To jej drobne ciało. Wiedział o tym nazbyt dobrze.

– Nie kłóćmy się – poprosił.

Kazamiko długo nie mogła się uspokoić, aż w końcu przetłumaczyła sobie, że widocznie musiało być ich aż tyle, by doszedł w tym do takiego mistrzowskiego, jej zdaniem, poziomu i miał porównanie, jak jest mu teraz z nią... by nauczył się to cenić. A trzeba przyznać, że Kreska od samego początku nie ukrywał, że jest mu z nią bardzo dobrze w łóżku. Czepiał się różnych szczegółików, seks w tej krytyce konsekwentnie omijając.

– Wow – powiedział raz w słuchawkę jej telefonu, rozpoczynając rozmowę z nią, gdzieś na początku ich związku.

– Co wow? – spytała wprost, nie bardzo rozumiejąc.

– To było niesamowite, cudowny seks – trajkotał jak najęty, jak nastolatek, który dopiero co odkrył magię seksu, a nie dojrzały, doświadczony mężczyzna.

– Hm – odparła nader lakonicznie. – Seks jak seks – pomyślała sobie. – Dobry, ale bez przesady. To tylko seks, żeby aż tak to gloryfikować? – nie mieściło jej się to w głowie.

Nie podjęła tego tematu. Dla niej był on już historią. Chwilą, która choć piękna, przebrzmiała. Było południe, od ranka oddzieliło ją już parę godzin, ustępując miejsca nowemu. Nie dało się tego cofnąć.

To szczególne uwielbienie dla seksu, które odkryła z nim, nie towarzyszyło Kazamiko od samego początku ich związku. Zrodziło się z czasem, z każdym kolejnym skurczem jej macicy, jękiem rozkoszy z nim. Dopiero z czasem zwariowała i ona na tym punkcie. Uzależniła się od tego, ale to nie przyszło od razu, pojawiała się stopniowo. U Kreski było natomiast od początku. Wyznał wtedy, gdzieś u zarania ich bycia razem, że tak dobrze, było mu tylko z dwoma kobietami przed nią. Zainteresowało ją to. Nie obchodziły ją wcześniej takie sprawy. Seksualna przeszłość mężczyzny, z którym się łączy. To było tak, jakby

wraz z nią nastawała nowa era. I jak mawiała jej matka „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”. Nie widziała potrzeby grzebać się w tym, co było. Skupiała się na teraźniejszości. Na tym, jak jej jest z konkretnym mężczyzną. Jednak z nim wszystko było inaczej. Ciekawił ją bardziej. Wnikała w niego głębiej, intymniej. Dlatego spytała... Nie obchodziły ją te wszystkie bezimienne kobiety z którymi był. Spotykał się. Sypiał. W których zostawiał swoje nasienie. Interesowały ją tylko te dwie. Te, które przyrównał do niej. Kazamiko zamyśliła się, marszcząc swoje czołko. Wiedziała, że jako młody chłopak mieszkał z prostytutką...

– To musiała być jedna z nich – pomyślała.

Strzał okazał się być celny. Kim była jednak ta druga kobieta? Nie miała pojęcia. Rozpaliła ją ciekawość. Spytała Kreskę, ale zbył ją, nie chcąc się zagłębiać w ten temat. Czekala, by za jakiś czas zapytać znowu. Wrócić do tematu, który ją nurtował. Nie zdążyła tego zrobić. Po kilkunastu miesiącach to samo przyszło, nagle jak objawienie.

– Maria, z nią tobie było tak dobrze w łóżku, prawda ? – prawie krzyknęła.

– Tak – przytaknął cichutko.

Odplynęła myślami do innej, obcej sobie krainy. Na łąki i pagórki, po których nie chodziła. Do niej. Nie znała jej osobiście, a jednak znała. Opowiadał czasem o niej. Rzucał strzępy słów, które czepiały się siebie nawzajem. Składały się w pojedyncze zdania. Z czasem powstawał z nich w jej głowie obraz kobiety, którą tak bardzo Kreska kiedyś kochał, przez którą się wieszał... Widziała jej zdjęcia, jej akty. Miała ładny, duży, pełny biust. Czarne włosy. Była sporo młodsza, zresztą z wiekiem, jakiego Kazamiko dożyła, to akurat nie było trudne. Miała wszystko, czego jej było brak. Do tego jeszcze ten piękny charakter pisma, stojący w sprzeczności z jej nerwowymi gryzmołami. Też kochała psy i interesowała się fotografią. Ale była dużo wcześniej. Poczula palące

uczucie zazdrości. A ponieważ było jej dotąd to uczucie obce, zdziwiła się siłą ognia, jaki w niej buchnął i zaczął ją od wewnątrz trawić. Wiedziała o jej istnieniu i że kochał ją przed nią. Teraz do tej i tak niemałej wiedzy dodatkowo doszło to, że było mu z nią cudownie dobrze w łóżku. W jej duszy nie mogła nie zapłonąć zazdrość. Inna kobieta miała go przed nią. Spacerowała z nim za rękę, ulicami magicznego Sopotu. Pieściła go. Dotykała. Całowała. Lizała. Brała go

do ust i wpuszczała do swojej dziurki. Przytulała się do niego. Wkładała dłoń w kieszeń spodni, wyczuwając jego kształtne pośladki, a w zaciszu domu, być może również z przodu... Wyobraźnia podsuwała jej coraz to nowe detale, szczegóły. Nie szczędziła jej niczego. Nie mogła tego znieść. Ich związek trwał pięć lat. Bardzo długo. Ile to nocy, dni? Wspólnych stosunków. Chwil uniesień, rozmów do rana. Ile bliskości. Pięć lat to nie byle co.

– Musiała go kochać – dotarło do niej boleśnie. – W tym była wzajemność – uświadomiła sobie.

Zobaczyła to tak dokładnie, jak chirurg widzi serce po nacięciu klatki piersiowej pacjenta. Poczowała ich miłość.

– Piłeś, będąc z nią? – zapytała bezlitośnie ostro, jak śledczy w trakcie przesłuchania.

– Tak, ciągnęła się za mną cała masa problemów – odparł usprawiedliwiająco.

– Gdyby nie alkohol, ona by nie odeszła. Bylibyście wciąż razem, a między nami do niczego by nie doszło, bo ty nie byłbyś wolny – oznajmiła Kazamiko.

– Chyba tak – odpowiedział Kreska po chwili. – Nigdy o tym tak nie myślałem, ale pewnie bylibyśmy nadal, gdyby nie to moje picie – dodał brutalnie szczerze. – Bardzo ją kochałem i chciałem się wyhuścić, jak odeszła. Jak puściła się z innym, gdy się nachlałem. Zrobiła to na moich oczach, lecz nie widziały tego, aż do tego momentu, gdy dochodziła z nim w sobie, gdy zbudziłem się z mego snu, trafiony złym przeczuciem. .. I zobaczyłem ich razem. Na dywanie, nieopodal fotela, na którym się zdrzemnąłem – wyszeptał. – Wchodził w nią od tyłu, w jej wygięty tyłek, w tą jej zapewne mokrą szparkę, bo zawsze była właśnie taka. Wilgotna, gotowa, spragniona. Rznął ją, a ona jęczała, zupełnie tak jak ze mną – dopełnił obrazu minionych wydarzeń.

Kazamiko czuła, że to wspomnienie nadal go rani, ale brnęła dalej.

– Co zrobiłeś? – spytała.

– Wściekłem się. Rozwaliłem mu głowę – powiedział i zamilkł.

– Spójrz z nami byłoby podobnie. Nasz związek mało się nie rozpadł przez twoje chłanie, twoje zapominanie się w alkoholu. A ja ciebie kocham i uwielbiam to z tobą... No wiesz, kochać się z tobą, na wszelkie możliwe sposoby... Mimo to, też chciałam odejść. Ona

musiała przeżywać to podobnie – oświadczyła, wczuwając się w to, co się musiało dziać w duszy innej kobiety. Kobiety, która była przed nią. Zaległa cisza. Przytuliła się do niego nagością swojej skóry. Otarła się o niego i zaczęła go do seksu tak, jak umiała najlepiej. Chciała poczucia bliskości. Podziałało. Po raz kolejny wspięli się na szczyt. Byli charakterni i pogmatwani zarazem, ale dobrze było im ze sobą.

10.

Czas przeciekał im przez palce, jak woda złapana w zwiniętą piąstkę.

– Liczy się to, co teraz, ulotne wspomnienia i niepewna przyszłość. Tak czy siak przemijamy... i w tym procesie mamy tylko siebie, choć chyba niezbyt do siebie pasujemy – pomyślała Kazamiko nostalgicznie.

Leżała półnaga w łóżku, dopiero co obudzona. Gładziła się po gołym brzuszku i myślała o nim. Myślała o nim dziwnie źle. Rzucił picie i zamieszkali w końcu razem, ale nadal jej w nim coś nie pasowało. Nie był wegetarianinem. Nie przepadał też, z małymi wyjątkami, za ludźmi. Przerobiłaby go na swoją modłę, ale się nie dał... Twarda sztuka z niego. Szary zimowy poranek wdzierał się właśnie przez szparę w nieopuszczonej do końca roletcie. Zadzwonila komórka. Na wyświetlaczu pojawiła się jego ksywka. Odebrała.

– Cześć kochanie, co robisz? – spytał stęskniony

– Leżę w łóżku – odparła zgodnie z prawdą.

– Az kim? – spytał głupkowato.

Pełzający płomyk jego zazdrości. Jej ciągotki, by dorzucić dREW do tego ognia, jak sam się o to prosi...

– Az kim byś chciał? – spytała prowokacyjnie.

– No jak to z kim, ze mną!! – powiedział głośno.

– Hm – wymruczała leżąc prawie naga, sama w ciepłym łóżku i błędząc dłonią po ciele.

– Co masz na sobie? – zainteresował się.

– Prawie nic – szepnęła uwodzicielsko.

Pociągnął temat. Dotykała go i rozbierała na części pierwsze słowami.

– A jak twój adorator? – zaatakował zaraz potem pytaniem.

– Który? – spytała niewinnym głosikiem, przypominając sobie niedawno obejrzany film o Puszkynie, który miał piękną żonę i przez nią szalał z zazdrości, klócił się, pojedynkował, zginął.

Puszkina zachowywał się momentami podobnie do Kreski i Kazamiko, oglądając film, miała czasami jego przed oczami.

Przekomarzała się trochę z Kreską. Kochała go, ale byli burzliwą parą. Żyli z piętnem zdrady, choć ona tak tego nie nazywała...

11.

– Polska się zmienia – oświadczyła na poły filozoficznie Kazamiko. – Nabiera nowych barw, smaków, zapachów. Na rynek wchodzi zagraniczne sieci banków, fast-foodów, supermarketów. Bilbordy, neony, krzykliwe reklamy, podnawiane fasady domów. Intensywne, wspomagane chemicznymi nawozami rolnictwo. Przemysłowy, okrutny tucz zwierząt przeznaczonych na mięso. Wytypowanych przez preferencje kulinarne na świetnie nadające się do zjedzenia. A jednak coś zostaje. Jakiś nasz polski akcent, smaczek, duch. Coś, co się nie zmienia, zwłaszcza w pewnych dzielnicach. Opróżnione flaszki w bramach, upici mężczyźni pod płotem. I samotność, która jest pewnie, tak samo, jeśli nie bardziej, dotkliwa jak kiedyś.

Siedzieli z Kreską i Cieniem – byłym chłopakiem Kazamiko, przy kuchennym stole w podnajmowanym nadal mieszkaniu Kreski na gdańskiej starówce, popijali piwo. Z okna rozpościerał się widok na małe, ciemne podwórko. Wciśnięte między wysokie, szare mury wiekowej zapewne niegdyś pięknej kamienicy. Dziś podupadłej niczym stara, wyeksploatowana prostytutka. Z odpadającym miejscami tynkiem. Z pozostałością misternie kutych balkonów i balustrad. Z ozdobnie rzeźbionymi drzwiami i powyrywanych na złom rynnami. Bo za coś trzeba pić... Miejscami zastąpiono te rynnowe ubytki zwykłymi, plastikowymi kawałkami rur pcv. Tam, gdzie tego nie zrobiono, woda sączyła się wprost po murze, niszcząc go i barwiąc na zgniło-zielono. Opustoszały placyk z mizernymi krzaczkami. Bez żadnych bawiących się dzieci. Okolica zamieszkała była głównie przez staruszków. Wnukowie w pogoni za lepszym bytem powyjeżdżali za granicę. Część w więzieniu odsiadywała wyroki. Dzielnica miała swoją historię, swoją renomę, swoje piętno. Kazamiko mogła tylko przypuszczać, że ta garstka mieszkających tu dzieci skupiona była w domach, przed monitorami komputerów. Zamykała oczy i widziała w wyobraźni blade twarzyczki, na które zbyt rzadko padają słoneczne promienie, rozświetlone poświatą ekranów. W tej sytuacji na dworze, pod zmurszałym murkiem, wylegiwał się, co oczywiste, tylko wyleniały, pręgowany, szary kot. Nie byli lepsi, tylko skupieni byli na czym

innym. Też byli wewnątrz. Siedzieli w trójkę w kuchni. Jej ściany całe pożółkłe od nikotynowego dymu. Poprzedni lokator sporo palił aż zmarł na raka. Zwolnił miejsce, by mógł zamieszkać tu ktoś nowy. Oczywiście nie na zawsze. Wszystko jest względne, ulotne. Bardzo stary kuchenny zlew i kredens pamiętające bardzo dawne czasy. Wszyscy się tam znali, a jak nie, to szybko się poznawali.

– Siemasz ziomal – usłyszał Kreska pierwszego swojego dnia w tym miejscu.

– Jaki ja jestem dla ciebie ziomal – odpyskował błyskawicznie nieznanemu z dzielnicy obruszony Kreska.

Miał swój charakter. Nie zamierzał się z nikim, jak mawiał otumaniać, ani nawet zapoznawać.

– Uważają ciebie za swego – klarował mu potem sytuację Skowronek, jego przyjaciel mieszkający od dzieciństwa na tej dzielnicy. – Nie zadzieraj z towarzystwem – radził też.

– Pierdolę to. To, że jestem na banicji i muszę mieszkać tu, a nie w Sopocie, który kocham, nie znaczy, że się będę otumaniał z burakiem, który startuje do mnie z tekstem „siemasz ziomal” – skwitował Kreska chłodno.

Kamienica, podobnie jak oni, żyła swoim rytmem. Życie tam miało swój specyficzny wydźwięk, swoją barwę, charakter. Kreska wprowadził się tam ze swoimi na ogół czarno-białymi zdjęciami oprawionymi w kwadratowe ramy, z całą masą negatywów, książek, płyt. Poza tym trochę ubrań. Niewiele miał więcej. Wpuścił do swojego nowego lokum powietrze, bo od razu pootwierał okna. Zdziwieni sąsiedzi w oknach, przypatrywali się, jak się wprowadzał i co wnosił.

– Pewnie myślą, że jestem nienormalny. Zamiast telewizora, mikrofalówki itp. sprzętów rozpakowuję książki, płyty, zdjęcia – domyślał się Kreska.

– Wiesz, oni mają po prostu inne preferencje – skwitowała sytuację Kazamiko.

– Co za piękne słowo, preferencje – roztopił się Kreska. – Żyję już tak długo, ale jeszcze nie słyszałem, by różnice jakie są między ludźmi, zamknąć jednym małym słowem... preferencje.

Kazamiko przychodziła do Kreski, ale lubiła też tam nocować. To pomimo surowych warunków starego budownictwa. Lubiała kłaść się w chłodnej pościeli, czekając aż seks sprawi, że stanie się ciepło, a nawet gorąco. Uwielbiała budzić się i mieć inny niż u siebie widok z okna. To

było jak odskocznia od jej codzienności. Twarzy sąsiadów. Wiecznego pukania młotkiem i majsterkowania sąsiada z góry. Stukotu pazurków ich psa Wilczusia zamieszkującego czwarte piętro bloku z płyty. Od dobijającej się wszelkimi kanałami rzeczywistości. Kreska nie miał tam internetu, kablówki, telefonu. Odpoczywała więc od maili, gg, rozlicznych telefonów. Dalej od cywilizacji, bliżej niego. Mieszkał w dwóch pokojach, podobnie jak ona, a jednak wszystko było tam inne. Mebłościanka z czasów Gierka, kaflowy piec jeszcze starszy. Rzeczy, które nazbierał dziadek (poprzedni lokator) w czasie swojego długiego życia. Kolekcja białych guzików, w ilości pięciu tysięcy sztuk minus pięć, o czym informowała dokładnie odręcznie zapisana kartka, wsunięta do torebki z guzikami Magiczna kolekcja kogoś, kogo już nie ma i jedyne co po nim zostało, to te rzeczy i wnuk żyjący na bakier z prawem. Kreska czasem ostrożnie zaglądał do szafy, by odkryć starą temperówkę czy archaiczny magnetofon. Uwielbiał stare rzeczy. Rzeczy ze swoją historią. Podziwiał je i z szacunkiem odkładał na miejsce. Siedzieli z Cieniem i Kazamiko właśnie u Kreski, w mieszkanku po dziadku.

Cień zauważył, choć żaden z nich tego nie chciał, jak Kreska ukradkiem spogląda na Kazamiko. W ten specyficznym zabarwionym erotyzmem sposób. Jak omiatają wzrokiem, rozbiera i dotyka w milczeniu, choć póki co, realnie nie kiwnął nawet palcem. Spostrzegł to i poczuł palące uczucie zazdrości. Zgasił je w sobie, by nie zrobić sceny, która byłaby zupełnie nie na miejscu. Nie byli już razem od dłuższego czasu. Rozstali się i wtedy poznała Kreskę. Sam ją zresztą wyciągał tamtego wieczoru do Sptiffu... Ich związek był już historią. To, co zostało na dnie to pamięć wspólnych zbliżeń. Nie miał żadnych praw do jej ciała, tego co z nim robi. Komu i jak często się oddaje, a jednak jakiś niedogaszony kawałek ranił go od środka.

– Potrzeba czasu – pomyślał. – Więcej czasu.

Tym czasem odwrócił wzrok i skoncentrował go na zgromadzonych na półkach książkach. Dostrzegł tu niezwykle ład. Wszystko uporządkowane tematycznie, a nawet jakby pod kątem wyglądu samych książek, choć może tylko mu się zdawało. Do tego równiuseńko poukładane kompaktki.

– Jest taką bałaganiarą, czy ułoży jej się z takim pedantem? – bił się z własnymi myślami. – Zresztą może to nieistotne, nam – choć

byliśmy w tym podobni – i tak nie wyszło razem. Może ważne są inne sprawy. Jakie? – spytał sam siebie.

Mimo trzydziestki na karku nie był pewny. Rozmawiali, omijając drażliwe tematy, popijając piwo. On zdecydowanie szybciej od nich.

– Zabiję tą kurwę, moją matkę. Ona mnie wykastrowała – wrzasnął nagle, ni z tego ni z owego Cień, w ciele którego rozgościł się już na dobre alkohol.

Spotkali się na mieście i trochę wypili zanim przenieśli się do Kreski, by to kontynuować. Nim Cień wpadł w swego rodzaju trans. Krzyczał i wściekle tupał nogą w podłogę, w tej wiekowej, zabytkowej kamienicy. W starej dzielnicy naznaczonej złą opinią. Walił z całej siły pięścią w lichey kuchenny stół, który omal się nie rozpadł, choć nie takie wydarzenia tu już pewnie przechodził... Potrząsał głową tak, że aż jego dłuższe blond włosy wirowały w powietrzu, porywając odrobinki kurzu z kuchennych zakamarków. Krzyczał. Wypił zbyt wiele... Buntował się. Buntem, z którego niewiele wynikało. Wyściubił głowę spod matczynego skrzydła i ujrzał świat w całej jego barwności i okazałości. Zachwyił go. Jednak nie potrafił na razie wyfrunąć z gniazda i założyć własnego. Uniezależnić się. Matka splątała go niewidzialnymi nićmi. Przyszyła do siebie poczuciem lojalności. Przykleiła super mocnym klejem. Tak jak przykleja się odłamany kawałek czegoś, by wszystko trzymało się kupy. Sprawiała, że mimo trzydziestki na karku nie umiał oddzielić się od niej, jej życia i spraw. Od poczucia, że tylko on jej pozostał, że nie może okazać się świnią jak jego ojciec, który ją zdradził, doprowadzając do końca ich związku. Kolejne rozbite małżeństwo. Cień miotał się w klatce rodzinnego domu. Mimo upływającego czasu był dla matki ciągle dzieckiem. Był nim też w swoich oczach, a powinien być już mężczyzną. Zdawał sobie z tego sprawę, aż nadto dobitnie. To nie było dla niego miłe uczucie. Czuł się słaby i okaleczony. Miał bardzo opiekuńczą matkę, a czuł się poraniony. Niezdolny do samodzielnego życia. Zaciskał mocno zęby, również w nocy. Ścierał je, zgrzytając nimi, aż stało się to problemem. Dusił w sobie to, co naturalne, a co wydawało mu się złe. Był rozdarty między pragnieniem bycia już dorosłym a poczuciem powinności i lękiem, że sobie nie poradzi sam. To wszystko trzymało go w domu, przy matce.

– Nie mam asertywności mojego brata, który się na nią wypiął i ma własne życie i nie jestem takim cholernym egoistą jak mój ojciec, przez to jestem w potrzasku – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Słuchaj Cieniu – wtrąciła Kazamiko. – Jak związek między dwojgiem ludzi się rozpada, to z reguły wina jest choć częściowo po obu stronach... Gdyby twój ojciec był szczęśliwy z twoją matką, to nie szukałby innej... Być może on w ten sposób właśnie uwolnił się od niej, od jej nadopiekuńczości i maniery wtrącania się we wszystko. Poznał inną kobietą i jest z nią szczęśliwy. Rozumiem, że twojej matce jest ciężko, ale takie rzeczy się zdarzają. Nie jest to winą dzieci i nie powinno być ich problemem. Rodzice powinni to rozwiązywać między sobą, bez mieszania nas w swoje sprawy.

– Masz rację Kazamiko – odparł Cień – ale u mnie tak nie jest. Ja jestem zakładnikiem wojny mojej matki z ojcem, jej jeńcem wojennym. Ona ciągle coś ode mnie chce i mam tego dość – skończył uniesionym głosem.

Zapadła cisza nabrzmiała od przemyśleń, którą przerwał Cień kolejnym wybuchem niepohamowanej złości.

– Chce, żebym był artystą. A właśnie, że nie będę, żadnym cholernym artystą. Takiego wała. Pójdę do normalnej pracy, rzygam sztuką – ryknął.

– Masz talent, pięknie rysujesz – napomknęła Kazamiko.

– Gówno prawda, nie będę żadnym artystą – wykrzyczał na całe gardło. Jakby chciał wyrzucić z siebie coś, co zalega i nie może w normalny, spokojny sposób się wydostać.

Zacisnął dłonie w pięści. Znowu oberwało się stołowi. Wyglądał jak w amoku, jak w napadzie szału.

– Czy mam wezwać egzorcystę? – pół żartem, pół serio wtrącił się Kreska, chcąc chyba rozładować coraz bardziej napiętą atmosferę.

Po części udało się. Kazamiko rozpromieniła się wizją egzorcysty. Śmieszyły ją takie historie. Wszyscy byli ateistami, więc mieli do tego specyficzne podejście.

– Nie, spokojnie, przepraszam, poniosło mnie – rzucił szybko Cień. – Wszystko przez tą sukę, nie pozwala mi normalnie żyć. Zrobiła ze mnie swojego maminsynka. Kurwa, mam tego dosyć – załkał, kryjąc twarz w dłoniach. Alkohol krążył w jego żyłach i nie chciał zejść.

– Nie chciałbym być Szewczyk-Dratewka, wujek-dobra rada, ale sądzę, że przesadzasz – rzekł Kreska. – Spójrz, jaką matkę miała

Kazamiko... a teraz gdyby nie ona, leżałaby we własnych gównach – dodał.

– Tak, przepraszam – powiedział ze skruchą w głosie.

Przepraszanie za wszystko Ciebie miał we krwi. Było ono częścią jego natury. Tak został wychowany. Na miłego, grzecznego chłopca. Tylko nikt nie uprzedził go, że nie jest łatwo takim być. Nadmierna uprzejmość nijak ma się do obecnych, dość chamskich czasów i całej reszty.

– Tak, wiem, moja była taka dobra, w przeciwieństwie do waszych – ciągnął dalej, usprawiedliwiając swój, jakoby nieuzasadniony, wybuch gniewu. – Więc dlaczego czuję się tak kurewsko źle? – skończył ponownie krzycząc, bo znów kipiał od emocji.

– Każdy ma swoją matkę i swój z nią krzyż. Swoje problemy przez osobliwe relacje z nią lub ich brak – odezwała się cicho Kazamiko, myśląc o sobie i Kresce.

Jej mama, domowy tyran, parę razy doprowadziła ją na skraj życia i śmierci. Nie otrząsnęła się sama z ciągnącego się za nią dzieciństwa, jakie jej nieumyślnie zafundowała. Poszła w końcu na terapię. Prawie trzy lata w grupie obcych osób. A każda po przejściach w domu. Dzieci alkoholików i ona, przemoc seksualna w dzieciństwie, oschła, zimna matka. Samotność. Jej inicjacja w parku z nieznanym pedofilem. Jej bagaż traum i urazów. Wielki, pusty, ziejący chłodem pokój, towarzyszący jej dorastaniu. Jej edukacja seksualna ze starej nudnej książki z paroma bladymi rysunkami. Narządy rodne kobiety, męskie organy. Jej narastające pragnienie. Onanizowanie się po kryjomu na kanapie. Pod przykryciem z prześcieradła, kapy. Co było pod ręką. Smakowanie zakazanego owocu. Jej wyalienowanie. Uciekanie w wyimaginowany świat marzeń, w książki. Jej pozorna samowystarczalność. Potem muzyka. Jej piękno, moc wyswobodzenia, kojenia bólu istnienia. Pierwsze koncerty. Grupka nieakceptowanych przez matkę znajomych, przyjaciół. Zatajony przed nią chłopak. Jej miłość. Jej poplątanie. Jej radość życia, cieszenie się drobnostkami. Jej myśli samobójcze. Jej emocjonalna huśtawka. Od euforii do doła. Nic pośrodku, między... Jej wieloletni związek z Kantem, pełen zakrętów, podkręconych na maksa emocji. Potem rozstanie, walka o dziecko, o podział dobytku. Samotność, z którą było jej do twarzy, ale od której zaczynała też wariować. Jej związek z Cieniem i Kreską, którego

poznała przez przypadek i zaiskrzyło. Serce znowu mocniej biło, tłumiąc głos rozsądku. Jego blizny na rękach i te na duszy. Matka, która go porzuciła gdy miał 11 lat. Kobiety, z którymi było mu dobrze, by potem to tracić, by bardziej bolało. Gdzie w tym wszystkim jest Cień? Ze sporym, ładnie urządzonej domkiem, z pięknym ogrodem i nadskakującą mamą. Gdy ją zgwałcił mężczyzna, jej matka nie poszła z tym na policję. Nie zabrała ją nawet do psychologa. Zupełnie jakby sprawy nie było. Miała 7 lat i była sama. Weszła w życie. Mogłoby się wydawać, że Cień przesadza. A jednak Kazamiko czuła, że jemu na swój sposób też jest ciężko. Nieszczęśliwa matka zatruwa jadem swoje dziecko. Błędne koło. Wszyscy jesteśmy ofiarami ofiar. Powinniśmy przeciąć koło, odciąć się od tego, co złe, ale łatwiej powiedzieć, trudniej tego dokonać. Wyrwanie się z niego oznacza bowiem odejście od tego, co znamy. Porzucenie klimatu naszego dzieciństwa, który mimo że bolesny jest nam bliski. Znajomy. Czujemy się w nim bezpiecznie. Jak w domowym zaciszu, w kapciach przed telewizorem, z piwem lub lampką wina przed komputerem, z książką w ulubionym fotelu, z ciasteczkami na talerzyku nieopodal... Psychologowie sugerują ludziom, aby wypływali na szerokie wody. Zaczepnęli powietrza pełną piersią. Przepracowali własne problemy i żyli wolni od ograniczeń, ciągnących się za nimi traum. Nie zawsze tego chcemy. Czasem wolimy tkwić w swoim smrodku. W oparach zgnilizny, bo to nasza zgnilizna i nasz smrodek, i nikomu nic do tego. Nie chcemy rozgrzebywać tego, co było. Rozdrapywać strupków ran. Przypominać sobie swojej przeszłości. Żyjemy ulotną chwilą. Dziś. Teraz.

– Co takiego zrobili ci rodzice, że nigdy o nich nie mówisz? – spytała raz Kazamiko Kanta – swojego byłego.

– Moi rodzice są w porządku. Nie chcę ich znać – wyrecytował jednym tchem, jak dobrze wyuczoną formułkę.

Nie było tematu. Pozornie wyrzucił ich z głowy, pamięć o nich zakopując głęboko w sobie. Nie miał żadnych ich zdjęć, ani swoich z dzieciństwa... Oczywiście, to co w nas wpływa na nas. Składamy się z tych wszystkich elementów. Z naszych przeżyć. Z cząstek, nawet tych pozornie wypartych. Naprawdę nie zawsze jednak mamy ochotę się z nimi zmierzyć. Przepracować te swoje traumy. Terapia jest bowiem bolesnym procesem. Nim poczujemy się lepiej, nim uwolnimy się od tego, co się za nami wlecze, jest nam źle. Wolimy nie myśleć o tym, co świadomie lub nie robili nam rodzice lub inni bliscy. Wolimy uciekać

w używki, muzykę, seks, zabawę, pracę. Zajmować sobie czas, by jak najmniej go zostawało na myślenie. Bo myślenie czasami zabija. Prowadzi do autodestrukcji. Kazamiko odpłynęła myślami, lecz po chwili powróciła.

Piwo się skończyło. Wyszli na miasto dokupić alkohol. W sklepie nieopodal natrafili na mężczyznę wielkich gabarytów. Był wprost napakowany rozrośniętymi mięśniami i do tego przeraźliwie wysoki. Kazamiko jak cała trójka drobniutkiej postury stanęła przy nim i w obliczu jego fizyczności, ugięła jeszcze dla lepszego efektu, nogi w kolanach. Złapała swój „film”. Obniżyła się, stając się jeszcze niższą. Poczuli się dzięki temu malutka, jak jakaś mrówka. Tak jak musiał zapewne czuć się Guliwer zagubiony w krainie olbrzymów...

– Stacha mięśnie balerony służyć mają do obrony – rzucił w reakcji na to Kreska, choć pewnie nie powinien.

Kazamiko zanosła się od śmiechu. Nie potrafiła normalnie się śmiać. Jak ją coś rozbawiło, z reguły śmiała się na całego, bardzo głośno. Potrafiła się przy tym popłakać. Mężczyzna o imponującej muskulaturze i zaskakującej wysokości był na ich szczęście nad wyraz spokojny. Nie zareagował, wrócili więc z powrotem do Kreski, do jego poźółkłej kuchni, bez zbędnych przygód. Kontynuowali w niej upajanie się alkoholem i tą szczególną chwilą. Było ciepłe lato. Kreska i Kazamiko, co widać było jak na otwartej dłoni, byli zakochani w sobie po uszy. Widząc to Cień nie poczuł się lepiej. Był tylko coraz bardziej pijany. Coraz bardziej rozdrażniony. Coś w nim narastało.

– Napiszę im co czuję, że mam już tego dość – wycodził przez zęby Cień, wyciągając z kieszeni spodni swoją komórkę.

– Nie rób tego, jesteś pijany, napiszesz głupstwa – skwitowała Kazamiko. – Jak masz coś do nich, to powiedz im, ale jak będziesz trzeźwy – dodała spokojnie.

Nie dotarło to do Cienia. Wystukał swoje żale i posłał w świat. Nie minęła minuta, gdy mimo późnej już pory, rozdzwoniła się jego komórka.

– Tak mamo, mogę rozmawiać. Tak wszystko dobrze – Cień momentalnie spokorniał. W bezpośredniej konfrontacji był jakiś taki malutki. Stał się na powrót posłusznym, skruszonym dzieckiem.

– Kocha go – szepnęła Kazamiko, zaplatając ramiona na szyi Kreski. Ona jego, ja ciebie mój głuptasie – oświadczyła.

Dopili pozostałe piwa, wkrótce po tym jak Cień skończył swoją telekonferencję. Emocje przebrzmiały. Było bardzo późno. Rozdzielili się do spania. Kreska z Kazamiko w pierwszym z dwóch przechodnich pokoi. Cień zaległ na zdezelowanym tapczanie za ścianą, z makatką papieża i krucyfiksem na stoliku, pamiątkach po poprzednim lokatorze. Rano pobudka. Wszyscy na lekkim kacu. Cień na większym, bo i wlał w siebie więcej alkoholu. Znowu spięty, przepraszający za wieczór i swoje „odpały”, jak je nazywał.

– Spoko wyluzuj – rzucił mu Kreska i coś w ten sam deseń dodała Kazamiko.

– Nie wiem, może to dlatego – wtrąciła po chwili – że tyle już przeżyliśmy i widzieliśmy z Kreską. Opatrzyliśmy się z wieloma różnymi sytuacjami i jest w nas jakiś taki cholerny dystans do tego, co robią inni ludzie – próbowała złapać w sieci słów to, co czuli, a nie czuli w związku z tą sytuacją nic szczególnego. Nie szokowała ich, nie oburzała. Stało się, ale czas biegł dalej. Nie uspokoiło to Cienia. Nie zlikwidowało jego poczucia wstydu za wczorajszy wybuch i zażenowania sytuacją. Zaczął się pospiesznie ubierać i bez butów na nogach oświadczył, że będzie już szedł.

– Bez butów? – spytał Kreska trzeźwo.

– A tak, nie wiem, gdzie są – odparł Cień strapiiony.

– W kuchni – wtrąciła Kazamiko.

– W kuchni? – Jak to możliwe – zachnął się Cień.

Kazamiko rozpromieniła się. Spojrzała na Cienia z sympatią.

– Rzuciłeś je wczoraj w kuchni. Leżą sobie przy lodówce – uściśliła.

Cień wcisnął stopy w swoje znoszone, mięciutkie, skórzane buty i tyle go widzieli. Nie chciał, by go odprowadzali, a oni nie nalegali. Pożegnali się w drzwiach. Dzielnica do bezpiecznych nie należała, ale rano było w miarę normalnie, znośnie. Zamiast odprowadzać Cienia, wylądowali więc w łóżku. W czerwonej, satynowej pościeli. Kazamiko spuściła ze smyczy pożądanie. Od razu zawędrowała dłonią do członka Kreski. Ustami do jego ust. Potem przejechała językiem przez jego brzuch i dotarła ustami do penisa. Nawzajem się pragnęli. W nocy, która dopiero co przebrzmiała, tylko się przytulali. Po cichu. Tak by nie robić przykrości, będącemu na banicji za ścianą Cieniowi. Ich ciała łaknęły siebie teraz ze zdwojoną mocą. Nadrabiały zaległości. Zalała

ich fala namiętności i czułości zarazem. Kochali się gwałtownie. Tak jak jedzą dwa wyposzczone zwierzaki. Szybko w nią wszedł.

– Cudownie – wyjęczała w odpowiedzi.

– Mam zostać? – wysapał zdyszany Kreska, który wyjątkowo szybko zmierzał do finału.

Nie odpowiedziała. Nie wiedziała. Wskoczył w ostatnim momencie i trysnął jej swoją gorącą spermą na brzuch. Ogarnęło ją wzruszenie. Po policzku potoczyła się łza. Starła ją zażenowana wierzchem dłoni.

– Twoja sperma, moja łza – nazwała rzeczy po imieniu. – Myślę, że to dobre połączenie – dodała.

Przytulił ją ramieniem, bez zbędnych słów. Uległa temu i wtuliła się w niego.

– Kocham cię, wiesz? – spytała.

– Wiem, myszko – oznajmił czule.

– To coś więcej niż seks – kontynuowała.

– Wiem – potwierdził.

– A wiesz – zaczęła, zmieniając temat – że podobno dziewczynki z całkiem dobrych domów prostytuują się teraz, by mieć kasę na pierdoły. Kiedyś kobiety robiły to, by utrzymać się przy życiu, a nierzadko i swoje rodziny. Teraz spaczone gówniary puszczają się, gdy starzy poskapią im kasy. Robią to, by mieć na lepsze ciuchy. Co za bezsens – westchnęła. – Totalny upadek – nie sądzisz spytała.

– Jak zwykle moralizujesz – odparł.

– Taka jestem – odpowiedziała z czarującym uśmiechem, zamykając temat.

Przytulali się jeszcze odrobinę i popieścili.

– Ja ci ze mną jest w łóżku? – spytała go bez ogródek.

– Z nikim nie było mi tak dobrze – odpowiedział i wiedziała, że mówi szczerze.

– Jakiś czas temu twierdziłeś, że tak dobrze jak ze mną było ci jeszcze z dwoma kobietami. Co się stało, że awansowałam? – zapytała z uśmiechem.

– Doszło uczucie. No nie wiem, po prostu jest jeszcze lepiej niż na początku – oświadczył Kreska.

Już po wszystkim, Kazamiko stanęła przy oknie. Rozsunęła zasłonę, wpuszczając trochę światła i zapatrzyła się po raz ostatni na ciasne podwórko. Po raz ostatni tutaj. Z okna widziała ruiny starych

zakładów mięsnych. Za rogiem i mostem był Gdańsk w wersji dla turystów. Ładnie podświetlony, z licznymi iluminacjami. Z piwnymi ogródkami, ale tu na dzielnicy, w okolicy Łąkowej, czas jakby się zatrzymał.

Tydzień później Kreska musiał zdać mieszkanie. Wnuczek zmarłego dziadka i jednocześnie prawowity najemca mieszkania wyszedł z więzienia, zwanego na dzielnicy „pierdlem”, na przepustkę. Kreska po raz kolejny w życiu, odkąd stracił swoje mieszkanie po babci, musiał spakować rzeczy i iść szukać szczęścia gdzie indziej. Nie dało się mieszkać pod jednym dachem z wiecznie pijanym gościem. To było jasne jak słońce. Kazamiko, choć do strachliwych nie należała, złąkała się już pierwszej nocy, tego jak pijany zaczął dobijać się do w sumie swoich drzwi. Przyłgnęła odruchowo do Kreski swoim drobnym ciałem. Wtulila się mocno w niego. Bała się. Kreska nie chciał jej narażać. Nie chciał też pozbyć się resztki swoich rzeczy, które pijany nie tylko szczęściem chwilowej wolności „ziomal”, spieniężyłby pewnie przy pierwszej lepszej okazji, by mieć na dalsze picie... Skowronek zadeklarował pomoc. Jej kolega Kot też był chętny, ale nie było już potrzeby. Po raz kolejny w życiu Kazamiko uzmysłowiła sobie, że w takich właśnie sytuacjach poznajemy, ile są warte nasze związki z ludźmi. Od razu poczuła się pewniej, bezpieczniej. Wiedziała, że we dwóch ze Skowronkiem dadzą sobie radę, nawet w razie jakiejś bijatyki na dzielnicy. Najbardziej w tym wszystkim bała się o Kreskę. O jego porywczą naturę. Czowała, że w realnej sytuacji nie da rady mu pomóc. Ćwiczyła parę lat różne style walki, ale sportowo... Miała świadomość, że nijak się to ma do prawdziwego dymu, realnej bijatyki. Do konfrontacji z tymi, którzy mają to we krwi. Zaszczepione wraz z powietrzem dzielnicy, w której wzrastali. Z takimi, co to potrafią bez wahania przywalić komuś butelką, dźgnąć drugiego nożem... którzy są szybcy i bywają bezwzględni.

Zgodnie zaczęli pakować jego rzeczy. Jego kompakty, kasety, zdjęcia, książki, ubrania. Podpełzający smutek. Kazamiko patrzyła na Kreskę milcząca. Czowała, jak mu z tym jest. Nie potrzebowała tego definiować słowami. Sama nie znosiła przeprowadzek. Tego całego zamieszania. Do tego stres, jaki przeżywał Kreska, który jak mawiał, stracił jedyne co miał w życiu swojego, swoje mieszkanie. Nie miał powrotu do miejsca, w którym się wychował, które kochał. Był banitą. Tułał się. Delikatna sytuacja. Męski honor. Niezabliźnione rany, jakie

zadaje nam życie, a w jego przypadku własna żona, rodzina. Kazamiko na rozstaniu z Kantem też straciła dom. Łączyły ją z Kreską podobne historie. Wiedziała więc, jak to jest. Różnica była tylko taka, że ona sama tak zdecydowała. Odeszła od męża i zapłaciła cenę swojej wolności. Kreska nie miał wyboru. Zapłacił swoim mieszkaniem za miłość do nieodpowiedniej kobiety, wcale nie chcąc tego.

Pakował się i złościł. Kazamiko starała się mu pomóc bez zbędnych słów. Wypowiadała tylko minimum, by rozbić tą wibrującą potwornie ciszę. Podtrzymać to, co między nimi. Opróżniając lodówkę Kazamiko wyrzuciła leżący w niej od niepamiętnych czasów stary, zjełczały smalec.

– Zeżre go po pijaku i jeszcze się przekreśli. Nie chcę mieć go na sumieniu – westchnęła.

Nawet w takiej sytuacji myślała o innych. W zamrażarce zostawili mu żeberka. Kawał mięsa z kośćcami, wydziabany z jakiegoś zabitego wpierw zwierzaka. Zostawili też mikrofalówkę. Żadne z nich jej nie chciało. Stare martensy lubego. W ferworze wyprowadzki Kreska chciał zostawić też ich pościel. To jednak natychmiast oprotowała gorąco Kazamiko.

– Nie będzie się dupczył ani walił konia w naszej czerwonej pościeli – oznajmiła zdecydowanym tonem. – Pościel zabieramy!

Spojrzał na nią zaskoczony. Była raczej miłą kobietą, ale potrafiła być też uparta. Miała swój charakterek. Razem dotrwali do końca przeprowadzki. Przeszli i przez to. Kreska wyprowadził się ostatecznie z dzielnicy o nie spisanej pewnie historii. Cień, który spędził w niej zaledwie noc, wrócił do mamy. Kreska, któremu zleciał tam ponad rok, zamieszkał już całkiem oficjalnie u Kazamiko. Dzielnica trwała nadal. Nieremontowana, rozkradana. Podupadała. Zasypiała i budziła się. Trwała.

– Zabrałbym cię w każdy zakamarek, o jakim zamarzysz. Kupiłbym ci, co tylko zechcesz – wyznał Kazamiko jakoś niedługo po tym Kreska.

Mieszkali już w końcu razem. Leżała obok, z jego twardym penisem w dłoni. Trzeba przyznać, że pasowali do siebie. Idealnie leżał w jej dłoni, a ona lubiła się nim bawić, sprawiając, że rósł w siłę.

Robiła to nie po raz pierwszy tego wieczoru. Parę godzin wcześniej przyjechał do niej z siatkami w obu dłoniach. Wracając z pracy, wszedł do sklepu i nakupował jej trochę subtelnej bielizny. Wyciągała po kolei i przymierzała koronkowe majteczki, rajstopy z podobającymi mu się wzorami, pończochy, półprzezroczyste koszulki.

– Ciesz się, że nie mam więcej kasy, bo bym ci tu przyjechał ciężarówką, tyle bym tobie nakupował – oświadczył rozradowany jak dziecko.

Cieszył się, jakby to on dostał całą masę prezentów. Widok Kazamiko w pięknej bieliźnie, za którą zapłacił co prawda z własnej kieszeni, był dostateczną nagrodą. Dodawał mu skrzydeł. Wydawało mu się to bezcenne. Od samego początku lubił na nią wydawać pieniądze. Sam sobie odmawiał wielu rzeczy, no poza kompaktami, które zbierał z upodobaniem.

Leżeli w cieple swoich ciał. Pierwszą falę namiętności mieli już za sobą. Słuchali nastrojowego Winstona. Jego muzyka brzmiała jak krople oczyszczającego deszczu spadające delikatnie na ziemię. Spod opuszków swoich palców wydobywał harmonię dźwięków. Miało się wrażenie, że muzyka rozplywa się, przenikając wszystko dookoła. Leżał przy niej i pozwalał, by dotykała go i pieściła, jakby był jej osobistym, wytresowanym zwierzątkiem. Wielbił jej dotyk. Te chwile niewymuszonej bliskości.

„Twój dom jest tam, gdzie kochają cię” – śpiewał Włochaty. Po latach tułaczki czuł, że odnalazł swój dom. Już pierwszej nocy, gdy po ognistym seksie zaczęła delikatnie muskać jego plecy, zrozumiał, że jest osobą, z którą chce zasypiać i przy której chce się budzić. Była w niej delikatność, która go ujęła. Upływający czas tego nie zmienił, a nawet i to, co się stało, kiedy się zapomnieli w picciu, a ona się w tym pogubiła; kiedy się nawzajem poranili. Wydarzenia wirowały wokół nich. Oni ciągle byli razem. Leżeli po tej cudownej chwili upojenia. Rozleniwieni, grzali się ciepłem swych ciał jak dwie jaszczurki na stygnącym pod wieczór gładzie. Uniosła się na łokciu i zaczęła podziwiać jego ciało. Oglądać je, tak na spokojnie, bez zaślepiającego ją tym razem pożądania. Dotknęła jego blizny na ramieniu. Była lekko wklęsła. Wyglądała niewinnie, jak pęknięcie w zbyt dojrzałym pomidorze. Przyjrzała się również jednej ze sznyt na przedramieniu. Ta

z kolei była wypukła i różowa. Podobna do tych blizn, jakie Kazamiko ujrzała na rękach Kamili – swojej dużo młodszej wege znajomej, tuż po tym jak matka, pomimo jej niepełnoletności, wyrzuciła ją z domu... Ten widok nią wstrząsnął. Prawie się wtedy popłakała. Chciała wyjąć komórkę i po prostu zrobić zdjęcie jej poranionych rąk. Pohamowała się, bo to by było zbyt traumatyczne. Nie robiła na niej wrażenia sylwetka ukrzyżowanego Chrystusa. Poruszyły ją za to sznyty Kamili, i to do głębi. Nie rozumiała, czemu niektóre matki rodzą dzieci, ale nie naznaczają ich niezbędną im do życia miłością... Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

– Czemu ta jest taka wypukła, czemu różni się od tamtej? – spytała Kreskę jak dziecko, które widzi coś po raz pierwszy.

– Była głębsza – powiedział smutno.

Zamilkła.

– Wiesz, złapał mnie kiedyś za szyję – wyznała.

– Kto? Kant? – wykrzyknął zdumiony i jednocześnie wzburzony Kreska.

– Tak Kant, a któżby inny – burknęła niemiło. – W sumie zasłużyłam sobie – dodała po chwili już łagodniej.

– A co, zupa była za słona? – rzucił jej Kreska retorycznym pytaniem.

– Źle zasłonięta zasłona – uzupełniła Kazamiko, śmiejąc się.

Pół nocy słuchali płytki „Debiut” Czesława, z tekstami napisanymi przez internautów.

– Klóciliśmy się. Kazałam mu wyjść z mojego pokoju. Nie chciał. Uderzyłam go i nie wytrzymał... Po części go sprowokowałam. To była naprawdę chora sytuacja. Cieszę się, że się rozstaliśmy. Zwłaszcza, że Młoda na to patrzyła.

– Nie wiem, jak mógł pozwolić ci odejść – zamyślił się Kreska. – Miał taki skarb i stracił. Głupek. Ale przynajmniej ja zyskałem. Mam ciebie – oświadczył niemalże uroczyście, z namaszczeniem.

– Trafiło ci się jak ślepej kurze ziarnko – skwitowała zadziornie jego przemyślenia. – Wygrałeś los na loterii życia – dodała i rozpromieniła się szczęściem, co przyszło nieoczekiwane i rozkwitło tak po prostu, żeby trwać. Przynajmniej tak się jej zdawało. – Wiesz, jak od niego odeszłam, ten ostatni raz, a on to zaakceptował i nie zrobił nic byśmy się ponownie zesłi, to pomyślałam, że traci coś bezcennego. Mnie. Tak cudownie, niepowtarzalnie porąbaną Kazamiko. Tuż przed

rozwozem zadzwonił, czy na pewno tego chcę. Długo rozmawialiśmy i zakopaliśmy na moment wojenne to-pory. Westchnął na koniec i powiedział, że da mi rozwód, bo widzi, jak to mnie niszczy, że już się tak nie uśmiecham jak dawniej i takie tam. A ja mu na to ze smutkiem:

– Kto ciebie będzie teraz kochał? – wyobrażasz sobie to! Wydawało mi się, że nikt nigdy go tak nie pokocha, że to jest fizycznie niemożliwe...

Przytulił się do niej bez zbędnych słów, gubiąc się na moment, w odmęcie szarości jej oczu. Dobrze było im razem. Mieli sporo swoich spraw. Resztę dzielili ze sobą.

Oglądał końcówkę filmu, gdy przebudziła się i zaczęła się do niego łagodnie tulić...

– Zrobię to tak wolno, byś zdążył sobie obejrzeć film do końca – wyszeptała mu do ucha.

Wstrząsnął nim dreszcz. To „tak wolno” zabrzmiało w jej ustach niczym zapowiedź jakiejś seksualnej tortury. Wyobraził sobie, jak go rozbudza, doprowadza na szczyt i nie pozwala skończyć, trzymając go tak długo w stanie gotowości, że aż przepalają mu się obwody... Niekończąca się gra wstępna. Dwa słowa i opuszki jej palców, błędzące początkowo po jego udach, zelektryzowały go całego. Dostał gęsiej skórki, mimo że przeniosła się z dłońmi na jego plecy, czyli dalej od jego penisa, i sunęła po nich rzeczywiście wolno, tak jak zapowiedziała. Jej złączone palce były niczym drobny, ostrożnie przemierzający krainę traw wąż. W rzeczy samej bardziej ocierały się o jego plecy, niż dotykały ich. Po chwili zajęła się torsem, językiem drażniąc sutki, zjechała na brzuch.

– Rzuciłeś palenie i tyjesz – westchnęła. – Na szczęście twój ptaszek się gimnastykuje, to zostanie bez zmian – zażartowała, zjeżdżając dłońmi na jego pachwiny.

W końcu położyła dłoń i na nim. Na członku. Zaczęła go pieścić, włączając w to jądra, by nie czuły się osamotnione. Delikatnie jakby rzeczywiście nie chciała tego jeszcze. Jakby dawała mu czas na skończenie filmu. Zdecydował inaczej. Pilotem zgasił ekran telewizora. Ściągnął slipki, wystawiając się cały na pastwę jej rąk, języka, drażniących twardością sutek. Polizała swój palec. Z początku tylko końcówkę, za to szybkimi ruchami języka, by po chwili wpuścić

go do buzi. Najpierw nieznacznie, potem całego. Ssała go, mocno wczuwając się w to, nim spojrzała dziko w jego oczy i uspokoiła się na chwilę, zwolniła tempo. Zamknął oczy.

– Może sobie siądę na niego – powiedziała wtedy, jakby wybierała drinka w barze, jedną z wielu możliwości.

Otworzył oczy i spojrzał na nią z zaciekawionym. Jak mówiła, tak zrobiła. Siadła na nim i pogalopowała w nieznane. Szybko, mocno.

– Uwielbiam go czuć w sobie – zajęczała już po chwili.

Nie odpowiedział.

– Jesteś najlepszy, mój wyjątkowy mężczyzna. Chcę jeszcze. Dasz radę? – sapiała prosząco.

– Dam – wydyszał w odpowiedzi.

Czuła, że jest już bliski wytrysku, ale wiedziała, że umie go opóźnić. Nie wahała się o to prosić, gdy było jej tak cudownie, że chciała, by ta chwila jeszcze trwała, nie kończyła się zbyt szybko. Gdy było trzeba, wówczas prosiła, skamlała o więcej, dłużej, czasem mocniej lub inaczej.

– Możesz kończyć – szepnęła tuż po tym, gdy przez jej ciało przetoczył się dreszcz orgazmu. Zrobiłaby to tuż przed, bo wiedziała jak uwielbia dochodzić wraz z nią, lecz fizycznie nie dałaby rady powiedzieć w tym momencie cokolwiek. Życie.

Pewnego dnia Kreska wpadł po pracy, szybciej niż zwykle. Kazamiko rzuciła mu się na szyję ucieszona.

– Szaleję za tobą – zamruczała.

– Idźmy na całość. Kochajmy się bez prezerwatyw. Skaczmy na bungee, bez bungee – wyszeptał jej w uszko w rewanżu. Zaśmiała się tym spontanicznym śmiechem, który tak w niej kochał.

– Przecież i tak kochamy się bez prezerwatyw – przypomniała mu po chwili, kiedy już się uspokoiła.

Parę gorących buziaków tym razem załatwiło sprawę...

– An napisała – oświadczyła Kazamiko, jak tylko wyplątała się już z objęć Kreski.

– Tak? – zaciekawił się i to nawet bardzo.

jej koleżanka An była, jak na zodiakalnego wodnika przystało, ciekawym indywiduum. Szalenie elokwentna i odczytana. Mądra. Piękna takim typem niepowtarzalnej urody, jakby z domieszką jakiejś krwi

orientalnej. Wysoka, zgrabna, długie, proste, ciemne włosy. Duże oczy. Spory biust, który przy jej szczupłej sylwetce robił wrażenie. Kreska jak tylko ją zobaczył od razu zapragnął zrobić jej jakieś zdjęcia w ciekawej scenerii.

– Zrobiłbym ci fajne zdjęcia, jak się oczywiście zgodzisz, na przykład gdzieś na plaży albo w parku obok was. Wiesz, drzewa, spadające liście, prześwitujące światełko – zagał przy pierwszej okazji bez owijania w bawełnę.

– Ja muszę się zgodzić – zagrzemiał w reakcji na to, z udawaną surowością Kot – mężczyzna An.

– O – wtrąciła się Kazamiko jako druga połówka. – Zdjęcia na plaży. Całkiem nieźle – dodała lodowato. – Mi zaproponował pierwszą sesję dopiero po paru miesiącach chodzenia i sypiania ze mną. I to w kostnicy! – oświadczyła wszem i wobec.

Zaakcentowała to tak mocno, że Kreska zapomniał na moment o oddychaniu.

– Ostatecznie zrobił mi parę fotek w ruinach zakładów mięsnych – ciągnęła dalej Kazamiko przez nikogo nie powstrzymywana. – Czy mam rozumieć, że z moim wiekiem kwalifikuję się jedynie na fotki w kostnicy lub w ruinach? – spytała kąśliwie.

An z Kotem zamarli w przeczuciu jakiejś straszliwej, nadchodzącej właśnie rodzinnej awantury. Wszczynanie kłótni niby nie leżało w naturze Kazamiko. Jednak urażona kobieca duma jest siłą, która potrafi niejedno... Poza tym na starość zdarza się, że kobietom ewidentnie odbija, a Kazamiko wspominała coś o uderzeniach gorąca, więc niczego nie można było być pewnym. Na szczęście już po chwili, zdającej się co prawda ciągnąć w nieskończoność, Kazamiko roześmiała się radośnie, rozbawiona swoim spostrzeżeniem i wrażeniem jakie zrobiło. Rozładowała nagle zgęstniałą atmosferę. Wiedziała, że Kreska ją kocha. Rzucił dla niej codzienne picie i papierosy, tylko mięsa nie dał rady, no ale nie można mieć wszystkiego. Byli na dobrej drodze i tylko to się liczyło. Kazamiko miała poczucie własnej wartości. Nie uważała się za gwiazdę, ale nie była zakompleksiona. Wiedziała, jaka jest, że jak każdy ma zalety i wady. Czowała się dobrze sama z sobą. Nie wkręcała sobie żadnych głupot. Ufała Kresce i rozumiała jego artystyczne wizje i również to, że potrzebuje modelek młodszych i piękniejszych od niej. Wszystko wróciło do równowagi i mogli pośmiać się wspólnie.

Rozmawiali swobodnie, gdy nagle Kazamiko wtrąciła coś o swoim byłym. Kreska tego nie zdzierzył.

– Ciągle ten Kant – fuknął. – Wkurza mnie to! Czuję się czasem, jakby tu z nami mieszkał. Kaz byłaby chora, jakby o nim nie wspomniała – rzucił oskarżycielskim tonem.

– Chłopie, zmarnował jej dwadzieścia lat życia, to co się dziwisz – wtrąciła An.

– Jakie dwadzieścia, jakie zmarnował! – zapowietrzyła się, słysząc to Kazamiko.

Była jak ten wigilijny karp wyciągnięty nagle z baseniku z wodą. Otworzyła nawet w podobny sposób usta i dokładnie tak jak ryby nie popłynął z nich żaden dźwięk... Dosłownie oniemiała na moment. Spojrzała na Kreskę w ciszy, jaka nastąpiła.

– Podejdz do tego tak – zaczęła po chwili, patrząc wciąż na Kreskę i cedząc powoli, wyraźnie, swoje słowa. – Być może za jakiś czas nasz związek też się rozpadnie i stanie się historią. Wtedy to ty będziesz moim byłym facetem, a ponieważ jestem jaka jestem, są szanse, że nie będę na ciebie złorzeczyć jak większość kobiet na swoich byłych... Tak jak obecnie na ogół oszczędzam Kanta.

– Niedawno zadzwonił – pociągnął jednak Kreska temat dalej, nie bacząc na jej słowa. – Kaz odebrała, a on głosem jak Ojciec Dyrektor oświadczył, że zepsuł mu się samochód i przyjedzie wieczorem się przekimać i by przygotowała mu czystą pościel...

An i Kot, którzy znali Kanta z dawnych lat, spojrzeli po sobie rozbawieni.

– No kochałam go i staram się być w porządku – bąknęła niewyraźnie Kazamiko.

– Najlepsza jest historia z karteczką – ciągnął dalej wyraźnie nakręcony Kreska.

– Oj przestań, nie wywlekaj tego – syknęła Kazamiko ostrzegawczo.

– Ależ nie, karteczka jest the best – nie odpuszczał Kreska. – Niedawno robiliśmy spore porządki i Kaz znalazła to – oświadczył, wyciągając z notesu małą, podniszczoną karteluszkę.

– Kochanie – Kreska zaczął czytać słodkim głosikiem, a Kazamiko splonęła najprawdziwszym rumieńcem. – Zupa z mięsem, tym co na talerzu. Ziemniaki ugotuj, kotlety usmaż. Acha, piwo chłodzi się w lodówce, to na deser, pa kochany – skończył czytanie. – I tak

wiecie sobie myślę, kurwa czemu ja tak nie mam – zawiesił głos niepokojąco. – Kiełbasę jak mam ochotę, to muszę jeść pod sklepem. Żule piją tam tanie wina, a ja ukradkiem wpierdalam parówki – stwierdził, a Kazamiko zaczęła zastanawiać się, czy to prawda, czy żart z tymi parówkami pod sklepem.

– A jak wypijesz więcej niż jedno piwo, to wysłuchujesz, że chyba masz problem z alkoholem i może pójdziesz na terapię – ubawiony Kot przyszedł mu z odsieczą.

Kazamiko udawała, że się dąsa, ale długo nie dała rady. Roześmiała się serdecznie.

– No co, kochałam go – powtórzyła, jakby to tłumaczyło wszystko. – I kiedyś jadłam mięso – dodała.

– Jest jej byłym mężem, a ma klucze do mieszkania – zagrmiał Kreska, nie odpuszczając tematu.

Mężczyzna w nim wkurzał się na zastaną sytuację. Oczekiwał zmian.

– Może i ma rację – pomyślała Kazamiko. – Może trzeba z tym skończyć.

Odsunęła to jednak po swojemu, na późniejszy termin.

– Wpada sobie, kiedy chce – ciągnął tym czasem Kreska. – Niedawno przyszedł po Młodą. Akurat obrabiałem zdjęcia w kompie, Kaz leżała w łóżku i czytała, Młoda schowała się za fotelem. Szukając jej, zabłądził rękoma na kołdrę i pomacał Kaz. Nie chciałem przy Młodej nic mówić i ugryzłem się w język, bo zapytałbym go, czy ma za ciasne zęby... Stary – powiedział, zwracając się do Kota jako mężczyzny – no wyobraź sobie sytuację, że jesteś z kobietą, a jej były ją przy tobie maca przez kołdrę... Nie mam nic do niego, szanuję to, że tak się Młodą interesuje, zabiera do kina, bierze na wakacje, no ale momentami zachowuje się, jakby miał zryty beret.

Kot i An zaśmiali się równocześnie. Kazamiko trochę się naburmuszyła. Nie lubiła, jak mówił źle o Kancie.

– To chyba nie przez to Radio Maryja? – zażartował Kot. – A on naprawdę tego słucha, czy tylko tak mówił, by wkurzyć Kaz? – spytał zadowolony Kot.

– Słucha, bo zapytałam go o coś i się orientował w temacie – oznajmiła Kazamiko.

– To smutne – wtrącił Kreska. – Jak koleś, który słucha porządnej muzy, latami zbiera płyty, ma swoją pasję, nagle oświadcza, że już nie

będzie słuchał muzyki, chce spalić kasety, analogi, kompakty. Jak czyści dom z książek, aby mu nie zaśmiecały wnętrza – skończył.

Wszyscy się zasępiłi.

– Nie smućmy się – wtrąciła Kaz. – On decyduje o swoim życiu, widocznie już nie potrzebuje muzyki, gorzej, że słucha Rydzyka, ale może mu minie – skończyła jak zwykle optymistycznie Kaz.

– Podobnie jest z Cieniem – uznał Kreska. – Nie chodzą już ze sobą, a ciągle do siebie dzwonią, mailują, pełno jego prac w domu.

– Nie jesteśmy ze sobą, ale przyjaźnimy się – oświadczyła spokojnie Kazamiko.

– Pierwsze słyszę, żeby przyjaźnić się ze swoim byłym – burknął Kreska.

– A w ogóle co u niego? – spytał Kot, korzystając z okazji.

– Całkiem dobrze – odparła Kazamiko. – Rozkręcił się z portretami. Zaczął robić ze zdjęć wysyłanych przez net. Teraz ma klientów cały rok i nie jest tak uzależniony od streetu i, co za tym idzie, od sezonu.

– To jak ci się układa z Kantem? – spytał Kreskę Kot, wracając do poprzedniego tematu.

– Nie no, ogólnie póki co, to dobrze.

– Ale lubisz go wkurzać czasem, przyznaj się – zaśmiała się Kazamiko – Nie udawaj, że nie.

– No, co fakt, to fakt – wyznał Kreska jak na spowiedzi. – Kupiłem ostatnio arbuza i jak wpadł po nią z tym swoim „córko, pospiesz się, nie mam czasu” – powiedział Kreska, naśladując ton głosu Kanta. – Zawołałem do niej z kuchni, czy może przyjść.

– Tak wujku – odpowiedziała i przybiegła, a wtedy dałem jej kawałek na talerzyku...

– Tato, muszę zjeść arbuza – zawołała do niego z kuchni – a jemu gul skoczył, no ale co miał robić, poczekał.

– Niedawno byliśmy w sklepie i Młoda wypatrzyła sukieneczkę, z czarnego tiulu, obszytą cekinkami w tym samym kolorze – wtrąciła Kaz. – Przymierzyła ją i wyszła zza kotary, a mi szczena opadła. Wyglądała w niej bosko, jak mała księżniczka. Wieczorem przyjechał Kant i wtedy jemu opadła szczena, jak tylko ją zobaczył w tej sukieneczce.

– Piękna sukienka! – zawołał.

– Wujek mi kupił – poinformowała go na poczekaniu Młoda.

Od razu spojrział krytyczniej.

– Za mała!!! – oświadczył już po chwili.

Wybuchli gromkim śmiechem.

– Rozpuszczają trochę, ale przeczytałam gdzieś, że ojciec powinien rozpieszczać córkę, bo to buduje jej pewność siebie i sprawia, że nie szuka potem potwierdzenia w łóżkach innych mężczyzn. Po prostu zna swoją wartość. Ceni się i jeśli sypia z kimś, to dlatego, że tego chce – oświadczyła Kazamiko, kończąc temat.

Lubili siebie i swoje towarzystwo. Kot był prześmiewcą, na podobną do Kreski skalę. Bardzo inteligentny, oczytany. Dobrali się z An. Nie była jedną z tych osób, które, jak sama mawiała, rozpoczynają rozmowę od .. .yyy, a potem jest tylko gorzej. Rozmowa z nią była zajmującym zajęciem. Była niczym uczta dla łasucha. Superseks dla erotomana. Wciągający film dla kinomaniaka. Była niezmiennie czystą przyjemnością. Bo nie tylko nie była o niczym, ale ubrana była w piękne formy. Kreska esteta, był pełen podziwu dla zasobu słów, którymi An się posługiwała. Rozmawiając z nią rozkoszował się słowami. Jej i tymi swoimi. Rodzącymi się prosto, bez bólu, w interakcji na jej słowa. Zachwycał się ich wzajemnym oddziaływaniem na siebie. Zdawała się prowadzić go w rozmowie, w co rusz ciekawsze rejony. Słowa wypływały z niej tak naturalnie. Rozgaszczały się w nim i dookoła. Stwarzały klimat. Zatracał się w dyskusji z nią. I nagle te jej wtrącenia, w reakcji na coś.

– Coś ty, nie pierdol, poważnie? – jak z innej planety.

Ale w jej ustach to brzmiało... Nie było zwykłym przerywnikiem. Było przemyślane. Było po coś. Jak wulgaryzmy w starych tekstach Kazika.

An i jej mężczyzna Kot stanowili świetną parę. Kreska od razu zapalał do nich uczuciem wielkiej, niekłamanej sympatii. Dlatego zaciekał się, co też An napisała.

– Nie powinnam tego robić, bo choć mail to internetowy, ale jednak list. Adresowany do konkretnej osoby. Jednak w tym nie ma akurat nic osobistego, a jest czadowy, więc podzielę się nim z tobą. Myślę, że An się nie obrazi – skwitowała Kazamiko i przeczytała mu maila, o tym, co An sądzi o Chylińskiej, jako niewierząca ochrzciła dziecko, aby miało ponoć lepiej w życiu.

– Fajnych masz znajomych – rozmarzył się Kreska, który poznał już Pitera i Madzika, jej wege znajomych, podobnie do niej

kochających psy, Beatę – koleżankę z bloku obok i teraz An i Kota. – Zresztą niczego innego bym się nie spodziewał – dodał. – Wychodzę z założenia, że skoro moja kobieta jest inteligentna, to ludzie z którymi się zadaje też są na poziomie – skończył optymistycznie.

– Och poczekaj, aż poznasz Pitbulicę – zachnęła się Kazamiko.

– Kogo? – zapytał w najwyższym stopniu zaintrygowany.

– Pitbulicę – odparła Kazamiko. – Moi znajomi tak ją ochrzczili – dodała, uchylając rąbka tajemnicy. – Kobieta mojego znajomego z dawnych lat, którą poznał w necie. Żenada. Szłam do Piotra w odwiedziny i by ją poznać, ze słowami An w głowie, która uznała, że nie jest zbyt urodziwa, ale przynajmniej jest sympatyczna. Podobno taka była na początku, gdy ją An poznała. I gdyby była choć sympatyczna, jak się zdawało An, to byłoby już coś, ale niestety raczej nie jest, przynajmniej mnie nie było dane się o tym przekonać. Kolejny facet, który dał się złapać w sieć pozorów, a ta rozsypała się jak tylko Pitbulica się do niego wprowadziła. Jak to się mówi, wyszło szydło z worka.

Drzwi otworzył mi Piotr i jak zwykle uczynnie podreptał do kuchni, wstawić wodę na herbatę, zostawiając mnie samą w przedpokoju jego malutkiego mieszkanca. Skierowałam kroki do pokoju. Stałam w progu. W kącie, przy kompie, siedziało roztyte babsko. W spłowiałym, niemiłosiernie powyciąganym swetrze. Wiesz, że nie mam nic do otyłych. Uważam wręcz, że to nie fair naigrywać się z kogoś z powodu jego nadwagi. Zresztą sam widziałeś, że Kot też jest przy sobie i lubimy się. Jego siostra też jest otyła, ale jest miła, piecze super ciasta i jakoś tak się ubierze, że wygląda nawet fajnie, mimo swojej tuszy. Kobieta Piotra wydała mi się jednak jakimś monstrum, choć może przesadzam. Po prostu zaskoczyło mnie, że jest aż tak brzydka. Ten obraz wrył się we mnie. Wwiercił bezlitośnie. Do tej pory uważałam, że nie ma brzydkich kobiet, że są tylko zaniedbane. W tym momencie zrozumiałam jednak, że byłam w błędzie. Dostrzegłam jak los sobie okrutnie pogrywa z niektórymi z nas... Na szczęście jest fajna, a ostatecznie uroda, to nie wszystko – przeleciało mi przez głowę. Stałam w tych drzwiach, trochę jak porażona. Ona odwróciła się na moment, ale tak nieznacznie. Zmierzyła mnie zimnym, gadzim wzrokiem i wróciła do klikania w necie nim zdążyłam rzucić cześć, czy coś w tym stylu. Ona zresztą też nic nie wydukała pod moim adresem. Stałam więc jak taka przysłowiowa idiotka, w tych drzwiach pokoju

Piotra. Nie wiedząc, zostać w nich czy wejść. Nigdy nikt tak nie zareagował na mój widok. Z taką przesywającą obojętnością. Przyszłam do nich w gości, a ona mnie totalnie olała. Potraktowała jak nic nie ważny szczegół. To, co było w necie, było dla niej istotniejsze. Wirtualny świat połączył się z nią, zassał ją w swoje czeluście. O rany, wcale nie jest sympatyczna – coś we mnie zaskomlało. – Ale się władował – pomyślałam automatycznie. Szkoda mi się go zrobiło, bo zawsze go lubiłam. Piotr zagarnął mnie po chwili, która wydawała mi się wiecznością, idąc z zaparzoną herbatą. Posiedzieliśmy sobie, rozmawiając tak trochę niezgrabnie w obliczu jej pleców. Zmyłam się szybko i prawdę mówiąc nigdy już nie odwiedziłam go w domu... Owszem byłam na ich ślubie, który jawił mi się bardziej jako pogrzeb. Wydawało mi się, że wypada. Kot nie poszedł.

– Czemu? – zapytał Kreska, zaintrygowany.

– Powiedział, że nie wiedział, co miałby mu powiedzieć już po ceremonii zaślubin... Pogratulować mu, mówiąc „stary dobrze wybrałeś”... To byłaby dla niego zbyt wielka hipokryzja. Uważał, że się wjechał i w związku z tym zbojkotował uroczystość. Był tak zdruzgotany tym, że nawet się nie roześmiał opowiadając mi o tym, a wiesz jakim jest prześmiewcą.

– No to musiało być rzeczywiście mocne – uznał Kreska.

– W sumie ślub był ładny. W przeciwieństwie do panny młodej. Ksiądz fajnie mówił, a potem zaśpiewał przepięknie chór. Miałam wrażenie, że to śpiewały nie kobiety, a anioły. I ta akustyka... Jeśli o to chodzi, ślub kościelny ma niewątpliwą przewagę nad tym cywilnym. Potrafi wywołać większe wrażenie. Poruszyć jakieś struny wewnątrz. *** Czas płynął. Spotykali się mimo tego, co razem przeszli i siłą rzeczy zaczęli poznawać ludzi dla drugiej strony bliskich. Z jego strony pierwszy był Ogień. Jakoś, z wiadomych powodów, nie poczuł do Kazamiko sympatii. Był jej niechętny jeszcze przed pierwszym spotkaniem. Uprzedzony, choć nie miał żadnego powodu. Była kobietą jego przyjaciela. To wystarczyło. Zorientował się, że Kreska zakochał się w niej i zważywszy na jego pecha do kobiet, był pewien, że to nie wróży nic dobrego.

– Czy wiesz, jakim jest zajebistym facetem? – zapytał ją brutalnie szczerze przy tym pierwszym spotkaniu, kiedy tylko na moment zostali sami.

– Wiem – odparła Kazamiko łagodnie.

– Kochasz go w ogóle? – spytał ją ostro jak na policyjnym przesłuchaniu, w czasie gdy Kreska zraszał pisuar w toalecie.

To było nieprzyjemne. Brakowało tylko światła skierowanego prosto w oczy. Kazamiko nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się jedynie blado. Troszczył się o niego, to oczywiste i to akurat było fajne. Dlatego traktował ją z tym daleko posuniętym dystansem i niechęcią. Rozumiała to i przez sam ten fakt nawet poczuła cień sympatii. Wiedziała, jak ważny jest Ogień dla Kreski i jak bardzo zależy mu na tym, aby się polubili. Jednak nic na siłę. Kazamiko nie zamierzała podlizywać się. Poza tym za wcześnie było na deklaracje tego typu. Kazamiko nie nazywała początkowo tego, co między nią a Kreską, miłością. Mówiła bardzo ogólne, że chodzą ze sobą... Nie była uprzedzona do Ognia, ale on do niej tak.

Następny w kolejce z jego strony był Żarówka. Wpadli do niego w wolnej chwili. Żarowa mieszkał pięknie. W starej kamienicy w Sopocie. Z wielkim kaflowym piecem, który został jako pamiątka dawnych czasów. Widok z jego okien nie kaleczył wzroku żadnym architektonicznym koszmarkiem. Dokoła same stare wille. Dużo zieleni i ten powiew od morza... Bezcenne. Żarowa, stary załogant, puścił jej punka i cieszył się tym razem z nią.

– Nie słucha chyba już tego na co dzień – pomyślała Kazamiko. – Tak się reaguje, gdy po długiej przerwie człowiek się dorwie do starych kaset, gdy znowu posłucha tego, co kiedyś kochał. W sumie to nic złego, naturalna kolej rzeczy – uznała. – Zdarza się. Stara załoga pomału sypie się.

U Żarowy było całkiem miło. Kazamiko polubiła go.

– Czy wszystko macie? – spytał ich troskliwie Żarówka, gdy stali przy progu, szykując się już do wyjścia.

– Wszystko co najważniejsze mamy. Mamy siebie – odparła Kazamiko ciepło.

Kreska się rozpromienił. Stali, trzymając się za ręce. Żarowa nie miał już nic do dodania, bo i co można by powiedzieć w obliczu takiego zakochania. Tak silnej wzajemnej fascynacji...

Skowronki, kolejni znajomi Kreski, mieszkali w starej dzielnicy Gdańska, w której przez czas pewien zaczepił się i Kreska. W pokoiku z aneksem sypialnym. Ściany w tego typu miejscach wydają się przesycone historią. Kazamiko, podobnie jak Kreska, kochała takie klimaty. Lepiej, tak bardziej u siebie, czuła się w starej, nadgryzionej

trochę zębem czasu kamienicy. Odrzucały ją nowo wybudowane, ekskluzywne i najczęściej ogrodzone osiedla nowobogackich. Trzeba przyznać, że Skowronki niesamowicie funkcjonalnie urządzili swój mały świat. Wszystko tam było na miejscu. Bez zbędnego bałaganu i balastu niepotrzebnych ubrań. Żona Skowronka raz w roku robiła selekcję. Wyciągała z szafy wszystkie ubrania i rzeczy, których nie założyła ani razu przez ten cały rok, po prostu się wyzbywała. Twierdziła, że jeśli ich nie założyła ani razu w ciągu roku, to marne są szanse, że ubierze je w kolejnym. Książki, płyty, zdjęcia dokumentujące przeszłość i nawet starutki, drewniany dziadek do orzechów, miały tam swoje miejsce. Są mieszkania które mają klimat. Swój, jakby powiedział Kreska, feeling. Ich miało z pewnością. Już od progu wciągało swoją przytulnością. Zasysało gościa, by się rozsiadł w wygodnym fotelu. Przy ławie z litego dębowego drewna. Dwójka dzieci, pies, dwa koty i rybki, dopełniały kompletu. Gdy stracili serce do rybek, poszukali im nowy dom. Dom starców chętnie przyjął akwarium, wraz z ich mieszkańcami. Kazamiko od razu ich polubiła.

Ogólnie zaczęli bywać więcej w towarzystwie odkąd Kreska przystopował z piciem... zaczęli pojawiać się to tu, to tam. Kazamiko to uszczęśliwiało. Najwięcej jednak czasu spędzali nadal ze sobą. Gdy Młoda, jej córka, szła spać albo była u taty, Ignęli do siebie bez zahamowań...

Niezmiennie uwielbiali leżeć nago przy sobie. Był to jeden z takich momentów. Kreska polizał ją tam, korzystając ze sposobności. Tam, to znaczy tuż przy dziurce. Wsunął się w nią językiem i zawibrował.

– Cudownie – zajęczała ona w reakcji na to.

Zaczął ją drażnić. Uciekła mu cipką, by wcisnąć się swoim językiem pod jego. Poszukała dłonią penisa. Nie chciała być mu dłużna. Lubiła wzajemność. Delikatnie masowała go, czując pod palcami, jak napływa do niego krew sprawiając, że robi się twardy.

– Jestem z tobą, więc mogę cię tam dotykać, kiedy zapragnę. Mam licencję – oświadczyła pogodnie.

– I wyłączość – dodał on.

– No tak i wyłączość. Zawsze powiesz coś takiego, o czym nie pomyśle – przyznała z podziwem.

Objęła go dłonią przy górze, delikatnie zacisnęła ją na nim i zsunęła w dół, eksponując nabrzmiałą już główkę. Potem pojechała w

górze. Skórka ponownie nasunęła się. Skupiła się przez moment na rytmicznych ruchach. Góra dół. Po czym uciekła z dłonią i patrząc mu w oczy zaczęła perwersyjnie lizać palce. Znow go ujęła, tym razem wilgotną dłonią. Zwinęła ją, zostawiając w niej otwór. Wpuściła do niego najpierw jego główkę, potem całą resztę. Powoli musiał się rozpychać, jak w bardzo ciasnej dziurce. Odnalazła jego usta. Lubiła te pełne namiętności pocałunki. Dłonią poszukał jej świeżo wylizanej i rozgrzanej już cipki. Była niesamowicie mokra, zachwycił się tym.

– Dla ciebie – wyszeptała.

Wszedł w nią niecierpliwie. Rytmiczne, głębokie ruchy, które po chwili zastąpiła seria płyciutkich. Po nich znowu wjechał w nią calutki i zaczął wiercić się w niej, rozpychać. Odwzajemniła to. Nie zamarła pod nim w bezruchu.

– Uwielbiam być w tobie – wyszeptał.

– Wiem – odpowiedziała.

Było jej bardzo dobrze, chciała by jemu było równie cudownie. Zacisnęła więc na nim po raz kolejny, mięśnie pochwy, tak mocno, jak tylko dała radę. Wstrząsnął nim dreszcz.

– Kocham cię – zajęczał.

– Wiem – odpowiedziała ponownie.

– Skąd? – spytał rozpalony.

– Takie rzeczy się wie – odparła wprost.

12.

Poznali się w bibliotece. Był grubo po trzydziestce. Lata mu umykały, a czas leciał w pojedynkę. Nie był zbyt przystojny ani wygadany. Był za to niesamowicie odczytany. Miał autentycznego bzika na punkcie książek. Miał też to, co każdy mężczyzna mieć powinien. To małe, niewytresowane zwierzątko, z lubiącą ocieranie główką, dwa jądra oraz małe mieszkanko po babci, w starej kamienicy w Gdańsku. Ona była kobietą sprawiającą naprawdę miłe wrażenie. Taką, co wbiła się w lata i szukała kogoś, by z nim być. Przerwać samotność i konieczność odpowiadania na idiotyczne pytania rodziny, czy już kogoś ma? Pracowała w bibliotece. Połączyły ich książki. Jednak, jak się szybko okazało, miłość do literatury była akurat w tym przypadku bardzo jednostronna...

Świat roi się od ludzi nienawidzących swojej pracy i często się wręcz do niej nie nadających. Od przedszkolank, które nie cierpią trudnego do stłumienia wulkanu energii dzieciaków, swoich podopiecznych. Nauczycielek, które nie lubią rozbudzonej ciekawości uczniów, ich wiecznych pytań o wszystko, absorbowania uwagi. Od ekspedientek oraz urzędników nieznoszących pracy z ludźmi, ich wiecznego marudzenia, zrzędzenia, zawracania głowy. Zdarzają się też, jak się okazało, bibliotekarki, które wypożyczają książki, lecz same ich nie czytają. Była niczym wegetarianka, pracująca w sklepie mięsny.

Niedługi czas po ślubie wydało się, że drażni ją fakt, iż on ciągle czyta, marnując tak cenny czas. Jak każda kobieta z krwi i kości, przystąpiła do żmudnej pracy, mającej na celu zmienienie swojego mężczyzny i przystosowanie go do normalnego życia. Jak większość z nich poniosła klęskę. Zaniedbała się, roztyła i przestała być miła.

– Ty wałkoniu, nierobie – wykrzykiwała coraz głośniej, coraz to nowe epitety, dając upust swej złości, graniczącej czasem z jawną nienawiścią.

Piekło awantur doprowadziło do tego, że zabunkrował się w piwnicy. Zrobił sobie tam całkiem przytulną, jak się okazało kanciapę. Regalik z książkami, biurko z lampką do czytania. Nie mógł już oficjalnie robić tego, co kochał. W świetle dnia. Był żonatym mężczyzną. Poślubił kobietę, która zmieniła się w wiedźmę i odmieniła

jego spokojne, uporządkowane dotąd życie. Czytaniu książek oddawał się więc teraz w mroku piwnicy. W oazie jej zdawałoby się nienaruszalnego spokoju. To był jego underground.

– Opowiedz mi o Jasiu, wiesz, tym gościu, co w piwnicy czyta książki – poprosiła Kazamiko nagle Kreskę.

– Kiedyś poszedłem z Ogniem odwiedzić Jasia, w tej jego osławionej już piwnicznej izbie – zaczął Kreska swą opowieść. – Zakupiliśmy flaszkę, bo jak wiesz od alkoholu nie stroniliśmy. Zresztą wydawało nam się, że tak należy, idąc w gości. Do piwnicy co prawda, ale jednak w gości. Przypomniał mi się tekst kumpla sprzed lat, którego spotkałem kiedyś zimą na ulicy w Sopocie. Był biedny. Bez własnego kąta i jednocześnie bogaty. Miał plecak tanich win. Życie wydawało mu się piękne. Ucieszony ze spotkania, zaproponował, żeby się wspólnie napić. Na moje pytanie gdzie, odparł:

– Jak to gdzie? Z kulturą, na klatce.

– Lata minęły – ciągnął Kreska. – Nie byłem już główniarzem i szedłem w odwiedziny do piwnicy... Poczuję się trochę, jakby czas się cofnął. Dziwnie mi było z tym. W dodatku gdy przechodziliśmy przez podwórko, zostaliśmy przywrażeni przez lustrującą świat z pozycji okna małżonkę Jasia. Grzała dupę w domu, podczas gdy Jasiu siedział w piwnicy. To cholernie szczeniackie – pomyślałem sobie, ale podązałem bez słowa za Ogniem, zdawało mi się, że wie co robi. Zdążyliśmy wejść do piwnicy. Usiedliśmy, a po chwili niezbędnej na narzucenie czegoś na siebie, usłyszeliśmy charakterystyczny tupot nóg po schodach. Kobieta Jasia zbiegła po nich i rozwścieczona wpadła do piwnicy. Wymierzyła potężnego kopniaka w drzwi. Puściły bezradne w zetknięciu z jej niewyobrażalną wprost siłą. W drzwiach ukazała się postać kobiety ogromnych gabarytów. Takiej, o której dobrze wychowani ludzie mówią, starając się nikogo nie urazić, że jest po prostu dobrze odkarmiona. Wyglądem przypominała dzikie zwierzę. Zaniedbane strąki przetłuszczonych włosów, mysiego koloru, bez śladu farby oferującej odmianę. Na nosie źle dobrane do twarzy, tanie okulary. Wieśniacko ubrana, w dodatku, w stare powyciągane ciuchy. Bardzo roztyta. Odór taniego dezodorantu był w komplecie z nią.

– Wiesz struchlałem – wyznał Kreska.

Struchlał, choć do łekliwych bynajmniej nie należał. Napierdalał się w swej barwnej przeszłości ze skinami, żułami, a nawet z Arabami, w obronie jednej dziwki. W tej sytuacji jednak zamarł, nie wiedząc co

dalej. Owszem, słyszał to i owo o losie kuzyna swojego kumpla i o jego kobiecie. Powinien być przygotowany, ale nie był. I przyszło mu się z tym zmierzyć twarzą w twarz. W tej przyciasnej piwnicy. Byli niczym trzy cwane szczury, co to myślały, że znalazły sobie azyl. Ślubna Jasia z wyglądu przypominała bardziej spasionego kocura, wciąż dysponującego jednak pazurami i ostrymi zębiskami. Zdawało się, że może wszystko, nawet rozszarpać ich na kawałki – wyobraziła sobie tę sytuację Kazamiko, która popuściła już wodze wyobraźni.

– Jasiu zaniemówił, choć miał ją przecież na co dzień... Zdruzgotał go chyba fakt, że zamek w drzwiach nie podołał. Nie stawiał należytego oporu. I oto teraz stał postawiony w stan konfrontacji ze swoją rozwścieczoną żoną. Winny. Bez orzekania o winie, bo choć niedoczytana książka leżała na biurku, zamiast układać się w dłoni, to w jej zastępstwie tkwiła tam szklanka. Fłaszka wódki stała bezwstydnie na biurku. Dumnie, hardo, niczym rozkraczona kurwa. Kusząca wnętrzem. Nie mająca nic do ukrycia. Przezroczyste szkło butelki i skąpy, prowokujący ubiór dziwki, mają coś wspólnego. Kobiety ich nienawidzą. Obwiniają za zbałamucenie swoich mężczyzn. Za kuszenie ich do złego i odciąganie od nich. Babsztyl zapowietrzył się od tego widoku, tych emocji, i potoczył wściekłym wzrokiem po nielegalnie zgromadzonych, czyli po nas. Wyglądała niczym ugodzony oszczepem na arenie byk. Była podobnie wściekła, rozjuszona. Wtedy właśnie napotkała zimne i nienawistne spojrzenie Ognia. Tylko on stawiał jej czoła. Powiedział jej kiedyś, co myśli o pewnych sprawach i to bez ogródek. Tak, że aż poszło jej w pięty... Nie miała ochoty na powtórkę. Nie z nim. Wyszła, zostawiając za sobą rozwalone na oścież drzwiczki. Zwisły smętnie na uszkodzonych zawiasach. Napiliśmy się w ciszy jaka nastąpiła. Za dobre, stare czasy i na pohybel temu, co obecnie. Odchodząc uścisnęliśmy mu dłoń, poklepaliliśmy go po plecach i zostawiliśmy w tej pieprzonej sytuacji. Dokładnie tak zrobiliśmy. Niewiele mogliśmy na to poradzić. Był dorosły. Do niego należał kształt jego rzeczywistości. Pożegnaliśmy się jacyś tacy bez humoru, ten który nam towarzyszył w drodze do Jasia wyparował. Ogień pojechał do kochanki, bo był umówiony. Jak to się mówi „do obcej pizdy, diabeł łyżkę miodu daje więcej”... Nie wnikałem w to. Za bardzo lubię Ognia i jego żonę, żeby móc o tym spokojnie myśleć. Zawinałem się i pojechałem, do mojej kobiety. Po latach tułaczki miałem wrażenie, że mam coś, co mógłbym nazwać swoim kątem, miejscem w którym

chciałem być. W domu, który w rzeczywistości był tylko mieszkanckiem w bloku z płyty, wyciągnąłem się zupełnie bezproduktywnie w fotelu. Z półki napoczętych książek, takich w trakcie czytania, wyciągnąłem sobie lekturę nieobowiązkową. O krasnoludkach zmagających się z absurdem PRL-owskiej rzeczywistości. Czytałem ją już kiedyś, ale miałem ochotę na powtórkę. Ile jest warta tolerancyjna, rozumiejąca pasję swojego faceta kobieta? – pomyślałem, uciekając myślami od fikcyjnych krasnoludków, przypominając sobie sytuację z piwnicy u Jasia, tą jego straszną kobietę.

– Twoja obecna na dodatek robi perfekcyjnie laskę – wtrącił Kazamiko ze śmiechem.

13.

Spojrzała na niego z czułością. Jego niegdyś kruczo czarne włosy poprzetykane siwizną. Po staremu jedynie krótko ścięte i nastroszone. Wyraz jego buntu i niegodzenia się na zastaną rzeczywistość. Tyle mu zostało z młodości. Poszli do łazienki. Napuścili ciepłej wody do wanny. Rozpuścili w niej niebieską sól do kąpieli. Metalowy, kuty, czarny świecznik ustawili przed lustrem. Czerwone świece zapłonęły, migocząc żółto i odbijając się w lustrzanej tafli płomykami. Łagodny półmrok. Zgodnie weszli do wanny. Zaczęli się kochać, by po chwili z niej wyjść. Potrzebowali przestrzeni. Uciekali przed ograniczeniami. Rozłożyła biały, puszysty ręcznik na kaflach podłogi. Klęknęła. Przywłaszczyła sobie jego dłonie, by położyć je na niewielkich piersiach. Zaczął je gładzić. Pochylił się, by possać jej sutki. Zrobiło się gorąco. Odepchnęła go delikatnie od siebie i odwróciła się tyłem, oparła się dłońmi o ręcznik, wypinając w jego kierunku swój tyłek. Wziął ją jak pies sukę. Klęczała przed nim na czworaka, kręcąc prowokacyjnie zgrabnym tyłeczkiem. Wiedziała, co go kręci. Klęknął przy niej, ujął jej kibić, przytulił się do niej i wszedł w nią podniecony jak małolat. Od razu, bez gry wstępnej, wjechał w nią głębokimi, szybkimi ruchami...

Nie było bata. Początkowo wspólne kąpiele zawsze kończyły się seksem i najczęściej uciekali z wody, by dokończyć to co zaczęli, ale już gdzie indziej. Kiedyś po wyjściu z wanny i rozścieleniu ręcznika na podłodze położyła się na nim na plecach. Ugięła nogi w kolanach, po czym rozchyliła je, powoli, kusząco, patrząc mu przy tym w oczy. Pokazała mu to, co miała w kroku i błyskawicznie złączyła kolana.

– Widzisz rozkładam nogi przed tobą – oznajmiła mu ze śmiechem.

Przysunął się do niej. Niezmiennie jej pragnął. Wsunął dłoń między stykające się kolana. Delikatnie przejechał nią aż do łona. Ponownie rozchyliła nogi, odsłaniając tak przed nim najbardziej intymny fragment swojej kobiecości. Przez chwilę sycił wzrok widokiem wzgórka łonowego, warg okalających wejście w jej wnętrze. Rozsunął je palcami i oczom jego ukazała się mała, ciasna dziurka, w którą tak lubił wchodzić całym swoim nabrzmiętym z wrażeń penisem.

Czuć ją aż do końca. Wiercić się w niej. Wpadać i wypadać. Najbardziej chyba, oprócz samego wytrysku oczywiście, lubił moment tego pierwszego wsuwania w nią główki penisa. To, jak ją rozwierał dla niego. Przecierał szlak... Zawsze robił to wolno. Ona często zaciskała wtedy mięśnie pochwy, by czuł to dokładniej, by było tak, jakby zdobywał ją, jakby był jej pierwszym mężczyzną, jakby wchodził na dziewiczy łąd, choć to przecież nieprawda... Spojrzał na światełko między jej nogami, zaróżowioną dziurkę, kuszącą niczym zaproszenie do tajemniczej, magicznej groty, w której zamiast skarbów, odnajdywał ciepło, wilgoć i spełnienie. Przez którą dyszał rytmem pobudzonego samca. Wciskając się w nią raz za razem, aż po kres... Objając się o wejście swoimi napęczniałymi jajkami. Odwlekając najczęściej moment opróżnienia ich, wyrzucenia nasienia na zewnątrz. Jakby lubił ten kocioł, stan wrzenia, przeludnienia, zablokowania plemników w przestrzeni jąder. W tych momentach była tylko jego. Calutka. Jej nagi brzuch, unoszące się do wyznaczanego przez niego rytmu, jej piersi. Roziskrzzone oczy. Przyspieszone tętno. Jęk i skurcze pochwy. Jej słowa naznaczone miłością do niego i podnieceniem intymnością. Jej łzy wzruszenia i szczęścia. Była jego. „Szalała” na jego punkcie. Mówiła, że kocha się jak nikt w świecie. Nigdy mu nie odmawiała. Korzystał z tego. Uwielbiał się z nią kochać i robili to na różne sposoby. Naprawdę jawiła mu się niczym demon seksu, z tym jaka była namiętna i jednocześnie jak anioł ze swoją wrażliwością i zbytnią delikatnością w innych obszarach wspólnego życia. Kochał się z nią, mając wrażenie, że w trakcie tego, co razem robili, traci tak przynajmniej po jednym anielskim, nieskazitelnie białym, puszystym piórku. To było zbyt fizyczne, aby jej to nie brukało. Owszem uwielbiał ją czuć i gdy brała go do ust, ale im więcej tego było, tym bardziej stawała się kobietą, tracąc tak swoją anielskość, niepowtarzalność. Czasem gdy było już po, przejeżdżał dłonią po prześcieradle i wyczuwając piórko nie był pewny, czy pochodzi z jej puchowej kołdry, czy może jednak z jej anielskich skrzydeł...

Byli tuż po. Gładziła mu plecy...

– Jak ci było z żoną? – spytała, kończąc jedną sytuację, by przejść do drugiej.

– W jedną noc dałaś mi więcej ciepła i miłości niż ona przez całe małżeństwo – powiedział czule.

– No, ale przecież kochałeś ją, skoro się pobraliście, a nie musieliście – powiedziała łagodnie.

– Tak – odparł sucho.

– A seks? Jaki był? – spytała drążąc temat.

– Taki sobie – odpowiedział Kreska.

– Jak to? – zdumiała się.

– Początkowo był fajny, choć nie tak jak z tobą rzecz jasna, czy z Marią – nadmienił. – Starala się. Potem to już wolałem zrobić sobie ręką, niż mieć to z nią. Czułem, jakbym posuwał zwłoki. Obrzydliwość – skończył.

– Po co się tak szybko żeniłeś? – zapytała, coraz mniej z tego rozumiejąc.

– Chciałem mieć rodzinę. No przecież wiesz, matka mnie zostawiła, gdy byłem dzieciakiem. Chciałem mieć w końcu dom, kogoś, kto mnie pokocha – wyznał cichutko.

– No tak – westchnęła Kazamiko, kończąc z pytaniami.

Pocałowała go czule i nie przerwała gładzenia mu skóry opuszkami palców. Wiedziała, jak to uwielbia, bo miała w sobie podobny głód. Lubiła sprawiać mu przyjemność. Kochała go. Usnęli przytuleni jak para szczeniąt, którym zdechła suka, dokładnie tak, jak śpiewa Marysia Peszek.

Nagi. Rozpięty na krzyżu. Ramiona rozpostarte, w nadgarstkach przywiązane, podobnie jak stopy w kostkach, wprost do drzewca. Męskie ciało na krzyżu. Karmiła wzrok tym widokiem, od którego truchlało jej serce. Spojrzała mu w oczy. Wolno, powłóczyście. Rozchyliła trochę usta, niecierpliwie w oczekiwaniu pierwszej pieszczoty. Koniuszkiem języka zwilżyła je. Odwróciła nieznacznie głowę i zbliżyła się do krzyża. Zatrzymała się tuż przed nim. Jego członek zaczął się już do niej prężyć. Ponownie spojrzała mu w oczy, powoli, perwersyjnie. Spuściła ze smyczy pożądanie, a wraz z nim dłonie. Opuszkami palców przejechała po jego twarzy. Zatrzymała się przy ustach. Pomału przejechała palcem po wargach. Wycofała się z dotykem. Będąc obok, patrząc mu w oczy, polizała czubek swojego palca. Rozchyliła usta i wpuściła go do buzi. Całego. Pojawiał się i

znikał. Robiła z palcem to, co tak lubiła wyczyniać z penisem. Wczuła się. Wstrząsnął nią dreszcz podniecenia. Spojrzała dziko w jego coraz bardziej nieprzytomne oczy. Chciała się jeszcze z nim bawić w kotka i myszkę. Zapolować na niego, ale nie wytrzymała. Przyssała się ustami do jego ust. Wtargnęła językiem w głąb. Momentalnie opletli się językami. Wilgotno, ciepło, szybko. Krew pulsowała, serce biło w przyspieszonym rytmie. Omiotła rękoma jego tors. Przywiązane silne ramiona. Zjechała w dół, muskając boki pośladków. Z wyrachowaniem ominęła sterczącego, złaknionego dotyku penisa. Spojrzała mu po raz ostatni w oczy. Oddychała szybko. Pod habitem rytmicznie unosiły się jej drobne piersi. Osunęła się przed nim na kolana i w końcu spojrzała na jego ptaka w pełnej gotowości. Duża główka, którą tak lubiła na zmianę lizać i muskać pocałunkami. Nabrzmiała żyłka na nim, którą tak lubiła delikatnie drapać czerwonym pazurkiem. Ogarnęła wzrokiem wszystko, co miał jej do zaoferowania. Podobało jej się. Złożyła pocałunek na jego cudownym, męskim brzuszku. Zaczęła pieścić ustami i swoim ruchliwym języczkiem jego uniesione, napęczniałe jajeczka, jego członka od nasady po sam koniuszek... Wpuściła go do buzi, aby trysnął w niej. Ciepło, miło, wilgotnie, aż po spełnienie. Jego sperma w niej. Jeśli kochasz się, nie istotne gdzie ją przyjmiesz. Cudownie czuć ją w buzi, jak zalewa pochwę, jak tryska na brzuch, piersi, plecy... Uwielbiała ją fizycznie czuć, wąchać ten jej zapach. Powietrze gęste od feromonów.

– Jezu, kocham ciebie – wyszeptała. – Zwariowałam na twoim punkcie – dodała.

Łzy niepokoju przydały jej wyglądu zranionego ptaka. Uwolniła go z więzów. Objął ją bez uczucia. Do kompletu równie zimno, bezosobowo pocałował. Kochał się z nią pieprzyć, nic więcej... Nie była jego Julią.

Przebudziła się raptownie.

– Rany jakie ja mam sny – wymamrotała.

– Jakie? – spytał wybudzony Kreska.

– Nie mogę powiedzieć, bo zaraz ci stanie – odparowała.

– A to źle? – spytał ze śmiechem Kreska.

– No nie, ale ten sen był trochę zboczony i w ogóle. Nie chcę byś pomyślał, że jestem jakąś nimfomanką. Nie dość, że wszystko mi się kojarzy z tym, to na dodatek mam jeszcze takie mokre, lekko perwersyjne sny – skończyła.

– Nie chcesz, nie mów – skwitował senny.

Tym razem jego niepohamowana ciekawość nie zatriumfowała. Wtulił się w nią i ponownie na moment odpłynął. Spojrzała na niego. Leżał w pościeli.

– Dawno nie miałam go w ustach – pomyślała i naszła ją ochota właśnie na to... by pochylić się nad jego podbrzuszem i popieścić penisa.

Oboje to uwielbiali. Oczy jej rozbłyły na samą myśl zbereźną, która załęgła się właśnie w jej głowie i oczekiwała spełnienia. Spojrzał na nią zaspany. Mechanicznie sięgnęła ręką na półkę obok łóżka. Było tam małe drewniane pudełko z gumkami do włosów i szczotkami do masażu. Jej dłoń знаła doskonale drogę ku niemu. Miejsce, gdzie znajdowały się szczotki do masażu i jej gumki do włosów, nie zmieniało się od dawna. Nie musiała tam patrzeć, by trafić ręką i wziąć co potrzebne. Sama była nieporuszona. Była jak skamieniała, wpatrzona w jeden punkt. W jego oczy. Patrzyła w nie, mrużąc nieznacznie swoje. Na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiezek. W jej głowie zrodził się plan i już się cieszyła na samą myśl o jego realizacji. Dostrzegł to. Przełknął ślinę i oczy dziwnie mu rozbłyły.

– Rany, on wie – dotarło do niej. – Wie, choć nie powiedziałam ani słowa, chyba zareagował na to moje sięganie po gumkę – pomyślała zszokowana.

Pokazała mu gumkę i odłożyła ją ostentacyjnie z powrotem, jakby nagle się rozmyśliła, choć było to do niej niepodobne. Upewniła się tak w swoich przypuszczeniach. Śledził wzrokiem ruch jej ręki.

– Wiesz, co chcę zrobić? – spytała kontrolnie.

– Wiem – odparł cichutko.

– Kochanie, uwarunkowałam ciebie na gumkę do włosów – wyszeptala, zdumiona tym faktem. – Jesteś jak pies Pawłowa. Tylko, że ty reagujesz na gumkę do włosów, na ruch ręki ku moim włosom, z zamiarem ich spięcia. No i twoją nagroda nie jest jedzenie...

To było jak rytuał. Zawsze przed zrobieniem mu laski wpierw spinała gumką włosy. Burza włosów zwyczajnie przeszkadzała. Wyłapywała je więc pedantycznie i związywała, by mieć potem wolne ręce, dłonie, palce. Lubiała omiatać dłońmi jego ciało. Przejeżdżać pazurkami po jego plecach. Pieścić jajka. Ujmując je paluszkami i delikatnie masując, grając nimi w bilard lub dociskając wnętrzem dłoni. Gdy przybliżała się ustami tylko po to, by go tam pocałować lub

polizać, nie robiła tego. Sięganie po gumkę stało się więc swoistym sygnałem. Zapowiedzią tego, co nadchodzi. Przepowiednią rozkoszy. Kreska uwielbiał być w jej ustach. Była wyrafinowana. Stopniowała mu bodźce. Zaczynając od delikatnych. Subtelnych niczym zetknięcie ze skrzydłami motyla. Stopniowo przechodząc do coraz bardziej intensywnych. Nie robiła tego tylko po to, by sprawić mu przyjemność, by zadowolić swojego mężczyznę. Czuł, że ona to autentycznie lubi, że ją to kręci. Nie brzydziła się spermy. Milionów rozbieganych plemników. Czasem zostawał do końca, a wtedy połykała ją lub dyskretnie wypluwała. Raz jak miała jego nasienie w buzi zbliżyła się ustami do jego. Spojrzała mu w oczy. Rozchyliła nieznacznie usta i wypuściła odrobinę spermy. Przyjął ją.

– Nie brzydzi cię to? – spytała zaciekawiona gdy byli już po. – Czytałam gdzieś w necie, że chłopak, zresztą punkowiec, nie chciał pocałować dziewczyny w usta, która dopiero co połknęła, sugerował jej, by najpierw popiła jego spermę colą – kontynuowała Kazamiko.

– Co za palant – skwitował Kreska. – Nie brzydzi mnie moja sperma – dodał. – Z tobą nic mnie nie brzydzi – oświadczył pogodnie.

Lubili to oboje. Robili to więc czasem. Kazamiko starała się. Brała naprawdę głęboko. Za każdym razem coraz głębiej.

– Wyrobiłam się – zaśmiała się kiedyś, tuż po tym jak pierwszy raz dała radę wpuścić go całego, powstrzymując jednocześnie odruch wymiotny. Była momentami jak mała dziewczynka, która nieustannie odkrywa świat. Jej matka w tym samym czasie swój świat nieubłaganie traciła.

14.

Bliki w oczach jej mamy pomału gasły. Stawały się przez to matowe i puste. To chyba najbardziej zwróciło uwagę Kazamiko i zaświadczało, że stan mamy, mimo z trudem podawanych jej leków, niestety się pogarsza. To był ten jej pusty wzrok. Patrzyła w obiektyw aparatu, gdy robiła jej zdjęcie, ale oczy nie błyszczały ciekawością, zainteresowaniem, zrozumieniem. Nie wyrażały pragnień, tęsknoty. Były puste, zimne, smutne, nienormalne. Oczy, które nie czarują, nie iskrzą, nie mówią nic. Martwe oczy, bez wyrazu, podobne do tych na kiepsko zrobionym zdjęciu, gdy żaden błysk światła nie ożywia źrenicy oka. Ciało mamy zbrzydło i wyglądem zaczęło przypominać karykaturalne postacie z obrazów Dudy-Gracza. Kruczoczarne, gęste włosy przerzedziły się i zbielały. Piersi zwiotczały. Skóra pomarszczyła się niczym u bardzo starego, zasuszonego ziemniaka. Przygarbiła się. Ona, niegdyś tak piękna, zadbana, tak aktywna kobieta, przesiadywała teraz na stołeczku, nie czekając na nic...

Kazamiko jak co dzień poszła do ojca, chciała go odciążyć i sprowadzić mamę z jej pokoju na pięterku. Na dół, do kuchni, na wspólny obiad. Mama leżała zasikana na łóżku i nie przejawiała chęci, by wstać. Wszystko miała mokre. Majtki, spódnicę, bluzkę, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Musiała ją prawie na siłę podnieść. Ściągnąć mokre rzeczy, przemyć, by założyć czyste wzięte z pokoju obok, oczywiście zamkniętego na klucz. Pozamykane drzwi, to jeden z przejawów tej choroby, tego jakie piętno odciska na organizacji domu... Gdy twój bliski zachoruje na Alzheimera, prędzej czy później wszystko masz pod kluczem. Tak to się kończy. Najpierw zaczyna się zamykać drzwi wyjściowe od domu, furtkę od ogrodu, jeśli się go ma. Następuje to z reguły po pierwszej ucieczce i pierwszych poszukiwaniach chorego po całej okolicy. Czasem z udziałem policji. Potem przychodzi kolej na kuchnię. Ze względu na gaz, noże, lodówkę, leki w szafce... Stopniowo przybywa tych zamykanych z konieczności pomieszczeń i nim się obejrzysz, w końcu jesteś niczym dzwonnik z Notre Dame, z pękiem kluczy we własnym domu. .. Z pochowanymi dokumentami i pieniędzmi, jakbyś się spodziewał napadu stulecia...

Kazamiko spojrzała na biały plastikowy parapet, z leżącą na nim dziwną, brązową kulką... Podeszła bliżej. Kulka okazała się być ulepiona z gówna. Mama zrobiła ją z własnej kupy. .. Czym jest Alzheimer? Dla Kazamiko tego dnia był kulką gówna, ulepioną przez jej matkę. Takie miał oblicze.

Wróciła do domu milcząca... Pokłócili się z Kreską o jakieś głupstwo. Nie odzywali się potem do siebie dłuższą chwilę, z zawziętością godną lepszej sprawy. W końcu poszli spać. Leżeli nago w łóżku, pod jedną kołdrą. Tak blisko. Tak daleko, przez kłótnię dopiero co zakończoną... Nie chciała tego. Pragnęła zgody. Ściągnęła koszulkę i przytuliła się subtelnie swoimi nagimi cycuszkami. Przejechała mu swoimi sterczącymi suteczkami po plecach...

– Nie chcę – odpowiedział naburmuszony niczym mały chłopczyk i ostentacyjnie odsunął się od niej...

Wyciągnęła ku niemu dłoń. Dotknęła bezwstydnie jąder i penisa. To był impuls. Nie pomyślała. Po prostu to zrobiła... Chciała zmiękczyć go, ugłaskać w sobie wiadomy sposób...

– Nie chcesz seksu, kochany? – spytała po chwili lekko już kpiącym tonem. – Bo on chce – dodała z uśmiechem triumfu na ustach.

Nie widział go, usłyszał w jej tonie. W tej sytuacji było to i tak bardziej stwierdzenie niż pytanie. Własną ręką, namacalnie przekonała się, że mimo wszystko, pomimo tego co mówi, chce seksu z nią.

Odwrócił się na brzuch. Na jej ewentualną pastwę pozostawiając jedynie linię pleców (doskonałą) i tyłek (zgrabny). Wszystko w nim ją kusilo i pociągało. Wiedziała, że powinna się szanować i nie „kleić się” do niego w tej wyjątkowej sytuacji. Uszanować to. Wiedziała to, ale robiła swoje. Pragnęła go całą sobą i tylko to się liczyło. Jego ciało też ewidentnie go nie słuchało. Widocznie za bardzo lubiło to z nią. Chciał być twardy i nie kochać się z nią teraz, ale jego członek miał to gdzieś. Wbrew temu, co myślał, on nawoływał o zainteresowanie. Prężył się, rósł w siłę, za nic mając jego zdanie. Sama jej bliskość wprawiała jego ciało w drżenie, którego nie chciał. Sprawiała, że jądra napęczniały mu, lekko unosząc się, a penis, te jego ciała jamiste wewnątrz, wypełniły się, powodując że stanął. Na przekór temu, czego chciał. Ciało zadziałało. Bezlitośnie obnażając pragnienie seksu. Uciekł przed tym, co się działo. Wcisnął go w łóżko. Przygniótł go ciężarem swojego ciała, by nie podskakiwał. Na daremno. Kazamiko bowiem nie odpuszczała, a miała do niego magiczny klucz... Znała go. Wiedziała,

jak sprawić, by jej mężczyzna chciał się z nią kochać, by ta myśl zawładnęła nim, spychając w otchłań niebytu wszelkie inne.

Pochyliła się nad jego tyłkiem. Delikatnie przejechała po krągłościach sterczącymi już sutkami. To cud, że nie zwariował wtedy. Nie i tak, ścierało się w nim z gwałtownością sztormowych fal... Kazamiko nie była mimo wszystko do końca pewna, jak zareaguje. Czowała w nim wyjątkową złość i rozdrażnienie, pomieszczone z normalnym pragnieniem jej ciała. Szalała się jakby przeważała... Nie przerwał tego jej ocierania się, choć twierdził, że nie chce. Wołała się jednak upewnić. Nigdy wcześniej nie odmówił seksu, ale wołała zapytać.

– Mogę cię trochę popieścić? – spytała niewinnie, jak gdyby nigdy nic, przecierając szlak, którym zamierzała podążać.

– Tak – skapitulował bez walki, bez zbędnego opierania się.

Być może za bardzo już jej pożądał? Nie wnikała dlaczego. Przyjęła to jego tak. Dał jej nim przyzwolenie na to, co mogło dalej nastąpić. Do końca sam nie wiedział co. Seks z nią był nieprzewidywalny. Nie dawał zamknąć się w żadne ramy. Miała swoje jazdy i wizje. Uwielbiała go prowokować i kusić.

– Mogłaby być Ewą w raju. Zbałamuciłaby każdego faceta, o ile by jej na nim zależało – pomyślał cierpko. – Kto z nas jest tą słabą płcią? – zdążyło jeszcze zrodzić się w jego głowie pytanie, gdy poczuł jej ciepły, wilgotny język, powoli przesuwający się po jego tyłku. Wstrząsnął nim dreszcz. To było niesamowite preludium. Już wiedział. Zaczęło się. Nigdy nie było scenariusza. Nie miał pojęcia, co dalej, co Kazamiko zrobi... Odpłynął. Przestał myśleć. Przełączył się na odczuwanie. Ona tym czasem zjechała językiem niżej, wciskając się w szparkę między jego pośladkami i jeszcze niżej, gdzie było już naprawdę ciasno, a skóra porośnięta była włoskami. Nie miała żadnych zahamowań. Rozchyliła mu nieznacznie uda, by mieć lepszy dostęp. By móc dotrzeć głębiej. By móc spenetrować te najbardziej intymne zakamarki ciała. Rozsmakować się w tym. Pozwolił jej na to. Jadła go jak pyszne, delikatne ciastko, nie zjadając... Jego penis wciąż się prężył. Wylizowała mu zachłannie jądra i odcinek między nimi a odbytem. Nie miał tam książkowego męskiego punktu G. Nie przeszkadzało to jej jednak, by nieustannie próbować go szukać, licząc, że może kiedyś... Porzuciła po chwili jądra i ich okolice, by ponownie natrzeć sutkami na jego tyłek i tym razem również plecy. Zrobiła to mocniej,

bardziej natarczywie. Poczul ciepło i miękkość całych jej piersi. Skóra i tkanka tłuszczowa. Bez silikonu. Sama natura. Jego cudowna kobieta. Afrodyta. Zrodzona, by dawać mu rozkosz. Jej usta na jego szyi. Zdyszany szept w pobliżu ucha. Jej słowa, od których tracił głowę. Jej łono, ocierające się o jego pośladki. Napierające na niego delikatnymi włoskami. Nie dawał już rady. Odwrócił się bez słów, ze sterczącym interesem, tłumaczącym wszystko. Jej dzieło. Jej sprawka. Wiedział, że zajmie się nim z niekłamaną przyjemnością, że dopieści go. Uwielbiała brać do ust. Ssać go, ciągnąć druta czy jak to zwał. Rozpalało ją wszystko to, co go podniecało. Była bardzo spragniona seksu. Jedyne co czuł to gwałtowne pożądanie. Nie było w nim już złości na nią, ani zażenowania tym, że on stoi wbrew niemu. W tej chwili kochał ją i pragnął. Wszystko naraz. Chciał ją osiąść. Czuł, że ona też jest bardzo pobudzona.

– Kochanie nie wyrobię, siadam – wydyszała po chwili tak intensywnego zajmowania się nim, że mało nie wytrysnął w jej ustach.

Zdażyła tuż przed eksplozją i dosłownie wypłuła go z buzi. Podniosła się. Rozkraczyła i osunęła na niego. Też był już niecierpliwy. Uniósł się ku niej w górę, ze sterczącym członkiem. Wyszedł jej naprzeciw. Dzięki temu poczuł ją o ułamek sekundy wcześniej. To miało znaczenie. Nie chciał czekać biernie, aż ona na nim usiądzie. Być może powolutku... Drażniąc się z nim. Odwlekając ten moment, gdy będzie już cały w niej. Spotkali się w połowie drogi. Też miał coś do powiedzenia. Wszedł w nią cały, mocno. Nie protestowała. Zniewalające ciepło. Ta jej wilgoć. Po raz kolejny zacisnęła mięśnie pochwy, by czuć go lepiej. Kochali się. Ona na nim. Nad nią gwiazdy. Nad nim jej miękkie, falujące piersi. Jej uśmiech, rozpuszczone włosy. Jej zapach. Jej głos, który potrafił być tak zniewalająco kuszący. Jej sieć utkana z poezji słów, erotycznych skojarzeń.

– Czy wiesz, że cię kocham? – wydyszała, póki jeszcze mogła. Póki rozkosz nie porwała słów, zmieniając konwersację w cichy jęk spełnienia. Oszalały rytm. Złączeni w tym wspólnym dziele. Dwa różne zbiory z częścią wspólną i bardzo aktywną. Zapomniał się w tym. Galopował. Sam nie wiedząc dokąd. Uwielbiał ją czuć właśnie tak, na wariata, bez błony zabezpieczeń. Ostatecznie kochał ją, mógłby mieć z nią dziecko w razie wpadki. Oczywiście wołałby nie... Wyskoczył w ostatnim momencie. Trysnął i zdyszany rozplynał się w niebycie. Przez

moment razem, nim nadejdą różnice. Jego kobieta i on. Ich wymieszane płyny. Pot, łzy, sperma, wydzielina jej cipki. Cudowny seks.

– Uwielbiam, jak na mnie patrzysz – zaczęła po chwili, kiedy już uspokoiła swój oddech. – To jak flirtujesz ze mną słowami, będącymi na pograniczu dobrego smaku. Uwielbiam czuć go w sobie i przy sobie. Lubię dotyk twojej ciepłej dłoni, zapach skóry, jej smak. Kocham muzykę, którą mi puszczasz i śniadania, które mi robisz. Imponuje mi, że jesteś starszy. Podoba mi się, że starasz się mnie chronić. Odkrywasz się przede mną. Te twoje rany otwierają jednak moje. Nic na to nie poradzę, krwawię. Nachodzi mnie czasem znowu smutek i myśli samobójcze. Myślę za dużo o zbyt wielu sprawach, to mnie rozwała – rozgadała się Kazamiko.

– Oboje jesteśmy nieźle poranieni i to wpływa na nasz związek – powiedział Kreska ze smutkiem. – Wiesz, nie chciało mi się już żyć – kontynuował. – Byłem o krok od przeniesienia z kartoteki żywych, do tych wiecznie odpoczywających. .. To mieszkanie tam na dzielnicy, to które załatwił mi Skowronek, to była moja umieralnia.

„Tak, skakałem w głąb rzeki zbyt wiele razy. Wybrałem to miejsce, samotne dryfowanie” – przypomniał jej się fragment tekstu z teledysku Guns N’Roses, który podesłała jej niedawno An, chyba w ramach poszerzania muzycznych horyzontów.

– Chciałem umrzeć w spokoju – kontynuował tym czasem swój wywód Kreska. – Tak to sobie wymyśliłem. Planowałem, jak to zrobić, by nic nie schrzanić i jednocześnie nie narobić problemów Skowronkowi. Nie chciało mi się żyć. Nienawidziłem kobiet. Traktowałem je instrumentalnie, jak szmaty. Szedłem czasem na imprezę, by wyrwać jakąś dupę, spuścić z kija, a potem miałem wyrzuty sumienia. Nie było mi fajnie. Gubiłem się w tym. Odciałem się więc ostatecznie od ludzi, od życia, od seksu. Przestałem robić zdjęcia. Nic mnie nie cieszyło. Przychodziłem z roboty, której nie cierpiałem, zasłaniałem okna, włączałem telewizor, robiłem coś dojedzenia i wyciągałem flaszkę. Piłem, aby zapomnieć, żeby wyłączyć myślenie. Byłem już jedną nogą poza, gdy poznałem ciebie i zobaczyłem, że mogę jednak z kimś być – wyznał.

Resztę historii znała. Smutek podpełznął zdradliwie i wdarł się wprost do jej serca. Przytuliła się do Kreski, po raz kolejny zamiast wszelkich słów, bo wszystkie wydały jej się w tym momencie jakies takie nieprzystające.

Ilu rodziców porzuca swoje dzieci? Nie chcąc ich, lub zwyczajnie nie mając dla nich czasu, zrozumienia. Są, a jakby ich nie było. Ilu z nich zostawia je fizycznie, odchodząc jak ojciec i matka Kreski? Ilu rodziców, z kolei, interesuje się swoimi dziećmi do przesady? Ilu nie pozwala dzieciom być sobą? Ilu poprzez nie stara się realizować własne marzenia, sny o wielkości, sławie, udanym życiu? Ilu rodziców nie zapisze pociechy na kurs sztuki walki lub angielski, zamiast tego prowadząc je na plastykę, której ono nie chce? Rodzice nadmiernie interesujący się swoim potomstwem, decydują niemalże o wszystkim, co dotyczy ich dzieci. Wybierają im ubranka, przedszkola. Krytycznym okiem przyglądają się ich znajomym. Narzucają wiarę lub jej brak. Ingerują w sposób odżywiania. A dzieci i tak się wymykają. Uciekają spod skrzydeł, do świata obok. Bliżej lub dalej. Chcą mieć własne życie. Kazamiko była taka sama. Jej matka, jak jej podobne, nie przyjmowała tego do wiadomości. Miała własne wizje, które ścierały się z tymi jej i do czasu zawsze wygrywały. W dzieciństwie Kazamiko miała marzenie. Chciała uczyć się tańczyć. Pragnienie to, jak wiele innych nie odpowiadających jej matce, zostało zignorowane. Taniec nie wydawał się potrzebnym elementem edukacji. Chciała iść do technikum. W odpowiedzi dowiedziała się od matki, że nic nie potrafi, więc pójdzie do ogólniaka. Nie chciała zapisywać się do żadnej działającej organizacji młodzieżowej. Dostała trzy dni na wybranie takowej. Nie zrobiła tego, więc matka wybrała za nią. Niczym ślepy los, fundusz emerytalny niezdecydowanym. Nie miała nic do powiedzenia. Tydzień awantur i skapitulowała. Zrobiła to, co chciała matka, dla względnego spokoju w domu. Podpisała właściwą deklarację. Kim była? Dzieckiem, które się kocha za to, że jest? Czy jeńcem, zakładnikiem we własnym domu? Nie czuła się kochana. Była potrzebna po coś, ale nie do końca wiedziała, po co. Gubiła się w tym. Matka wytyczała jej i narzucała cele. Była ultra krytyczna. Prawie nigdy nie zadowalała jej to, co osiągała. Gdy Kazamiko dochodziła do celu, matka automatycznie podnosiła barierkę oczekiwań. Kazamiko dorastała i narastał w niej bunt. „Ciągłe w ruchu. Idę, biegnę, walczę o życie. Walczę o przestrzeń życiową. Pięścią, łokciem, głową” – śpiewała wokalistka Kosmetyków Mrs Pinky. W końcu stało się. Coś w niej wybuchło i to z pełnym impetem. Agrafka w uchu, przekłutym

przez koleżankę Miętę igłą zapartą o ścianę, w jej osiemnaste urodziny. Poczochrane włosy. Własnoręcznie pofarbowane ubrania. Wszystko inaczej. Po swojemu. Totalna krytyka. Stan wojny. Powolne oddzielanie się, aż po przecięcie pępowiny. Krew i ból. Niezabliźniona rana. Matka. Jej wielkość, jej upadek. Była domowym tyranem, a stała się rośliną... Kazamiko wiedziała, że matka nie chciałaby tak żyć. Była zbyt dumna na to, ale w tym kraju eutanazja jest łaską. Obdarzamy nią i to tylko czasem, umierające, cierpiące zwierzęta domowe. Pozwalamy im odejść w humanitarny sposób. Przerywamy ich mękę. Człowiek musi do końca wybrzmieć swoją melodię. Nawet kiedy jego instrument już się zacina, fałszuje, gdy dyrygent opuścił już orkiestrę...

15.

Dotyk jego dłoni z rana przebił się przez kotarę snu niczym promyk słońca przez burą chmurę... Muskał ją bezwstydnie, cucąc do życia. Wstawaj, nawoływał.

– Kocham cię – wyszeptał, pochylony nad jej twarzą.

Szukał swojego odbicia w jej zaspanych oczach. Zaglądał w nie. Badał, co czai się w ich zakamarkach. Przeglądał się już z rana w tym swoistym zwierciadle duszy.

– Wiem – brzmiała zazwyczaj odpowiedź.

Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Akcja – reakcja. Wyuczone, utrwalone przez czas, zachowanie na bodziec. Nie tym razem...

– Kocham cię – wyszeptał ponownie, bardziej natarczywie.

Zaśmiała się, mrużąc oczy. Oczywiście, że go kochała i mówiła mu to częściej niż mężczyźnie, którego pokochała w przeszłości. Była w niej jednak i jakaś nuta przekory. Lubiła się z nim trochę podroczyć, przekomarzać...

– Frajer – rzuciła prowokacyjnie w przestrzeń, choć jej oczy śmiały się do niego.

Obruszył się nieznacznie. Tak dla zasady.

Kochali się i należeli do siebie. Mężczyzna i kobieta. Dwa odmienne światy, złączone uczuciem. Połączenie dwóch indywidualności, dwóch światopoglądów. Związek, to coś więcej niż tylko seks. To wspólne nocne rozmowy, tulenie się do swych ciał, mimo ustania pożądania. To snucie planów i marzeń. To chęć bycia z tą osobą i tęsknota za nią. To nieustanne wracanie do siebie z każdej podróży. To dochowanie sobie wierności.

Przytulił się do jej ciała i znów zapadli się w siebie...

– Czym jest dla ciebie miłość? – zapytał, ciekawy słów, w jakie zamknie coś tak wymykającego się wszelkim definicjom i opisom.

– Dla mnie jest bielą podkoszulka narzuconego na spalone słońcem przedramiona mężczyzny, którego kocham. Jest falą liżącą stopy, pieszczotą i wzburzoną oceanem namiętności. Jest wyczekiwaniem na drugie ciało, aż zmordowane pracą odeśpi swoje niewyspanie i do mnie wróci. Jest tęsknotą. Pragnieniem zasypiania i budzenia się obok. Miłość jest myśleniem i troską o kochaną osobę.

Okazywaniem jej ciepła, dotykiem dłoni, pocałunkiem, intymnym przenikaniem. Jest podarowanym ziemniakiem w kształcie serca. Jest albumem twojego ulubionego fotografika, kupionym choćby i za ostatnie pieniądze. Jest też motylem, którego skrzydła mienia się niezliczonymi barwami. Schwytanym w złożone dłonie. Gdy je nieopatrznie otworzysz, może odlecieć.

Miłość wymaga troski i starań. Pochylenia się nad nią. Strzeżenia jej, nie wpuszczania innych w jej magiczną przestrzeń. Nie spłaszczania jej. Jest trzepotem ważki w zakolu rzeki. Potrzebuje dla siebie miejsca i czasu.

Miłość jest czekaniem z kolacją. Jest budowaniem nastroju. Zapalaniem świeczki do seksu, aromatycznym płynem do kąpieli. Jest spojrzeniem, wodzeniem wzrokiem, wypatrywaniem w tłumie. Jest wzajemnym uwodzeniem, flirtowaniem. Jest uwielbieniem drugiego ciała. Jest narastającą pieśczęcią. Całowaniem każdego zakamarka ciała. Nie można jej kupić na wyprzedaży, w promocji ani zamówić w katalogu. Miłość jest, albo jej nie ma. Myją mamy – oświadczyła, uśmiechając się promiennie.

– Robi ci się cellulit – stwierdził rzeczowo, gładząc jej pupę i przechodząc tak naturalnie, od jednego może nazbyt patetycznego tematu, do drugiego bardziej trywialnego.

– Poważnie? – zaśmiała się.

– Tak, chyba robi ci się cellulit – stwierdził całkiem serio.

Przestała się śmiać. Wygięła się w pałąk, by zobaczyć swój tyłek.

– Co to właściwie jest ten cellulit? – spytała Kreskę zatroskana, bo choć słowo niejednokrotnie jej się obiło o uszy, to nie zakodowała sobie, o co konkretnie chodzi. Wiedziała, że jest powodem zmartwień wielu kobiet, ale jak wygląda i co się z nim robi, tego już nie wiedziała.

Kreska uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się – rzucił bez troski. – Kocham cię za to jaka jesteś, a nie za to, jak wyglądasz. Za dwadzieścia lat i tak nie będziesz już wyglądać tak jak dziś, zostanie tylko to, co w tobie, to co kocham.

– Wygląda na to, że zaczynam się sypać. Boli mnie krzyż, głuchnę i jeszcze robi mi się jakiś cholerny cellulit – rzuciła Kazamiko zniechęcona. – Najwyraźniej ząb czasu nadgryzł mnie, niczym mole nigdy nie wietrzone, stare ciuchy w szafie – pomyślała już nic nie mówiąc.

– Za dwadzieścia lat nie będziemy tak wyglądać – powtórzył Kreska głucho, nostalgicznie.

– No nie – odparła, myśląc w duchu, czy w ogóle dożyją aż tyle, czy dane im będzie zestarzeć się jeszcze bardziej i to wspólnie. – Rodzimy się, rozkwitamy, umieramy. Staraliśmy się złapać czas w mechanizmie naszych coraz doskonalszych zegarków. Gdzieś pomiędzy ich rozlicznymi sprężynkami i trybikami. Uwięziliśmy go w przestrzeni naszych terminarzy. Wydaje nam się, że go sobie podporządkowaliśmy. A on i tak bezczelnie nam umyka. Bezlitośnie tyka nam na pohybel. Odmierzając naszą skończoność – powiedziała, kończąc temat. – Ładnie mi się powiedziało? – spytała złakniona dobrego słowa.

– Ładnie. Ty już jak coś powiesz, to powiesz – zamruczał głosem Kłapouchego z „Kubusia Puchatka”.

– Co zrobisz, jak umrę? – spytał ją po chwili.

Spojrzała na niego. Jej oczy zaszklily się...

– Staram się nie myśleć o przyszłości – odparła. – Bo gdybym zaczęła, musiałabym się z tym skonfrontować, a nie czuję się na siłach.

Było całkiem miło między nimi, a potem zupełnie nagle pokłócili się o jakiś drobiazg. Zaczął ubierać glany. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Nie wiedziała, czy ją opuszcza, czy idzie po colę do sklepu.

– Nie mam już serca. Mam poszarpany strzep czegoś, co kiedyś nim było i cellulit na tyłku. Płacę bez łez – pomyślała smutno.

Kochała go, ale nie było jej łatwo. Jemu z nią też nie. Wrócił, lecz aż do nocy byli dla siebie oschli. Dopiero w łóżku pogłaskał jej nagie plecy. Usiłował ją rozbroić, stopić lody. Podziałało.

– I jak? – spytał po dłuższej chwili.

– Miło. Czy słowo miłość bierze się od słowa miło? – zastanowiła się na głos.

16.

Lato dobiegło końca. Zaczęła się jesień, jego ulubiona pora roku. Żyli z dnia na dzień. Mieszkali razem, ale to, co między nimi, było jedną wielką improwizacją. Nie dało się planować przyszłości. Można było tylko żyć, cieszyć się chwilą. Uciekli po raz kolejny do swoich zajęć, by spotkać się wieczorem niczym para kochanków.

– Ja mam władzę – powiedział nagle, trzymając telewizyjnego pilota w dłoni.

– Jak polizę ci jajeczka, to ja będę mieć władzę – zaśmiała się Kazamiko.

– Myślisz? – zapytał z nutą przekory Kreska.

– Tak, chuchnę na niego i urośnie – skwitowała Kazamiko.

– Obiecanki cacanki, a głupiemu stoi! – przekomarzał się.

Zajrzała mu w oczy, promiennie się uśmiechając. Powolutku, zbliżając się ku niemu z ustami. Wydłużając chwilę przed ich wzajemnym złączeniem. Mieli piękny seks. Nikt nie potrafił im tego odebrać. Wspólnie do tego doszli. Sypiając ze sobą i eksperymentując. Był to dorobek ich związku.

– Zależy mi, aby było mi jak najlepiej, nie myśli tylko o sobie – pomyślała z czułością.

Wielkie łzy wzruszenia poturlały się po policzkach. Otarła je pospiesznie, by nie zauważył, że się mazgai.

– Dożyliśmy czasów wibratorów i sztucznych pizd. Ludzie tak często mijają się z obojętnością. Nie mają dla siebie czasu. Nie wchodząc w zbędne ich zdaniem relacje. Stają się samowystarczalni – powiedziała zamiast tego, całkiem ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Czasami jesteś taka wulgarna – zauważył smutno. – To nic złego, że ktoś to ma – westchnął.

– No nie, ale nie tak chyba powinno być. Kiedyś to wszystko było bardziej naturalne. Robiło się to ze sobą, razem, a nie obok lub w samotności – dodała, brnąc dalej niczym przez nieodśnieżoną polną drogę.

– Dlaczego odeszłaś od Kanta, skoro go tak kochałaś? – zapytał Kreska, zmieniając temat.

Jego ciekawość w tej kwestii wracała niczym bumerang. Za każdym razem inaczej odpowiadała na to jakże konkretnie postawione pytanie. Inaczej to widziała, czuła swym kobiecym sercem. Kant, jej wielka miłość, która doprowadziła ją do urzędu stanu, na porodówkę, a na koniec do sądu, który po dwóch latach usilnego zabiegania dał im rozwód...

– Przestałam być z nim szczęśliwa – zaczęła smutno tym razem. – Przestałam czekać na jego powroty. Związek sypał się i nie umiałam go scementować. Potem to już nawet nie chciałam, bo nie czułam się pod koniec naszego bycia razem kochana ani potrzebna. Wykańczał mnie jego chłód, jego krytycyzm. Zaczęłam dostrzegać, ile nas różni. Kiedyś myślałam, że związki sypią się przez prozę życia. Według mojego przyjaciela Arka, to jest leniwe wytłumaczenie kryzysu w związku. Jego zdaniem związki rozpadają się przez „tumiwisizm”. Tumiwisizm, czyli brak starania się o siebie, prowadzi do narastającej obojętności. No i przez brak rozmów i łapanie różnych jazd. Ponoć mistrzyniami świata we wkręcaniu sobie filmów jesteśmy my, kobiety. Arek uważa, że facetowi nie przyszłoby to do głowy, bo facet bierze życie prosto, uczciwie i liniowo. „Widzisz, czujesz, mówisz, masz” – oświadczyła, zamykając temat.

Spojrzała na Kreskę, na jego niegdyś tak zgrabne ciało. Wydało jej się, że w swoim wnętrzu ukrył piłkę lekarską. Jego cudny, męski brzusek ustąpił jej miejsca, jakby taka była kolej rzeczy. Jak dzień i następująca po nim noc. Jak przybywanie i ubywanie księżyca. Zmieniające się pory roku. Przybyło go. Jego skóra posłusznie naciągnęła się i nie pękła. Zgasił światło i mogła pozwolić sobie na grymas rozczarowania, który się w niej czaił, jak kot gotowy do skoku, ale który powstrzymała, by go nie zranić. Skrzywiła się dopiero w otulającym ją bezpiecznie mroku.

– Dlaczego tak tyje? – pomyślała gorzko. – Czy nie chce mi się już podobać? – dociekała w swojej głowie. – Nie pokochałam go za wygląd, lecz za to kim jest. Zaczęłam się z nim spotykać, kochać się z nim, poznawać go. Z dnia na dzień coraz bardziej mnie również pociągał fizycznie. Byłam taka oczarowana, również tym jakie ma ciało i to pomimo wieku, dlaczego tak nie może pozostać – zamknęła głęboko w sobie te egoistycznie płytkie marzenia.

Spacyfikowała je. Stłamsiła, sponiewierała. Złożyła i upchnęła do pudełka leżącego w najrzadziej otwieranej szafie, na jej najwyższej

półce. To oczywiste, czas płynął. Jego ciało nie pozostawało niezmiennie. Ewoluowało. Tęskniła za tym, co odchodziło, tak jak się tęskni za przemijającą młodością. To była gorzka pigułka. Zawsze podobali jej się szczupli i młodszy mężczyźni. Z młodych się samoistnie wyleczyła, gdy poznała Kreskę. Gdy zobaczyła, co to znaczy być dla odmiany z dojrzałym mężczyzną. Jak to jest, jak to smakuje, ile to daje? Niestety, zgrabne, szczupłe ciało wciąż były wysoko w jej rankingu męskiej atrakcyjności. Miała głęboko zakodowane, co jej się w tym względzie podoba. Za stara była na zmianę. Przytuliła się do niego w ciemności i pogłaskała ten jego niezdolnie wypukły brzusek.

– Muszę go pokochać, jest częścią niego – pomyślała z determinacją.

Zareagował na jej dotyk. Objął ją miękko. Pragnienie złączenia się zawładnęło nią jak fala przyływu piaskiem na plaży. Nagle warstwa zbędnego tłuszczu pod jego skórą przestała się liczyć... Był on. Seks z nim. Jego niepokorne myśli płynące z niepowtarzalnego mózgu, który wszystkim zawiaduje, decyduje, kim jesteśmy. Kochała go i to wpływało na wszystko.

17.

Związek między dwojgiem ludzi potrzebuje trochę przestrzeni. Kazamiko zdawała sobie z tego sprawę. Przełamała się i podreptała więc pewnego popołudnia, w ramach tego robienia przestrzeni, spotkać się z byłą koleżanką. Chciała zrobić trochę miejsca na coś nie związanego z nim, by mieć bazę do porozmawiania o czymś innym niż ich własne podwórko, wyjść poza nie. Otworzyć się na to, co dokoła. Otoczyła ją cudowna w swych barwach jesień i już po chwili poglądy koleżanki Izy.

– Po paru latach małżeństwa dopada nas kulinarna rutyna. Robi się parę zestawów i nie wymyśla się żadnych nowych dań. Nie stara się tak jak na początku. Nie ma powiewu świeżej bryzy – zaczęła koleżanka.

– Po paru latach związku, o to by zaskoczyć mężczyznę czymś finezyjnym i to nie tylko w łóżku, stara się już kochanka – rzuciła cynicznie Kazamiko.

Uwaga była wyjątkowo nie na miejscu. Zazgrzytało. Poczwała na sobie jej spojrzenie pełne niechęci. Dotarło do niej, że są w dwóch przeciwnych obozach. Są żony i kochanki. Ona nie była żadną z nich. Była jakąś zmutowaną formą pośrednią. Jednak koleżanka była przykładną żoną. Były z różnych bajek. Nie dało się utrzymać tego kontaktu. Nie była tak pełna wyrozumiałości dla jej odmienności jak Bea, koleżanka z bloku obok, przykładna żona porzucona dla kochanki. Iza miała swój świat, a inne niepasujące do niego najchętniej by wymazała gumką, jak źle narysowaną literkę w zeszycie dziecka... Kazamiko podreptała do Beaty. Z nią potrafiła się nadal porozumieć, poza tym chciała się jej poradzić.

– Spójrz na mnie, na moją starzejącą się twarz i powiedz, co się z tym da zrobić – poprosiła Beatę.

– Przesadzasz. Dobrze się trzymasz jak na swój wiek – odpowiedziała jej ciepło koleżanka. – Masz tylko zmarszczki mimiczne wokół oczu – dodała.

– Mimiczne, czyli od śmiechu? – upewniła się Kazamiko.

– Acha – potwierdziła Bea, popijając korzenne ciasteczko herbatą.

– Ha ha – roześmiała się Kazamiko – no nie jestem typem ponuraka. – Była kiedyś taka piosenkarka, Kim Wilde, to nie moje klimaty, ale słyszałam, że matka zabroniła jej się uśmiechać. Miała być smutna, taki miał być jej publiczny wizerunek. Ciekawe, czy uchroniło ją to przed zmarszczkami mimicznymi – spytała Kazamiko z szerokim uśmiechem.

Żadna z nich nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Spędzali czas z Kreską, głównie we dwójkę. Kazamiko nie chciała się zbyt zbytnio ze swoją obecnością nikomu narzucać. Byli niczym para rozbitków, co się złapała w morskiej zawierusze po jakimś kataklizmie. Nie pojechali na egzotyczne wakacje, bo nie mieli czasu ani pieniędzy na takie ekstrawagancje. Lato przeminęło, ustępując pola jesieni. Zostali w swoim Gdańsku. Siedzieli, sącząc piwo w Duszku. Zalewał ich błogi spokój. Nagle poczuli, że fajnie byłoby z kimś się spotkać. Tak po prostu, bez wielkich planów, jak za dawnych, dobrych czasów. Ostatnio coraz bardziej zaniedbywali spotkania towarzyskie. Część znajomych się wykruszyła, część nie żyła, niektórzy wyjechali z kraju i kontakt się rwał przez kilometry odległości, życie w dwóch innych światach. Robili się jak większość par, obrzydliwie monotematyczni. Zaczęło im to doskwierać, nieznośnie uwierać. Życie upływało, a oni kisili się i konserwowali w swoim sosie, bez domieszki innych wpływów. Zubożało to ich, bo kontakt z ludźmi na poziomie rozwija nas, stymuluje, nie pozwala zgnuśnić.

– Zadzwoń do Kota, tak dawno się nie widzieliśmy, może znajdzie chwilkę i wpadnie do Duszka, fajnie byłoby się spotkać – poprosiła Kazamiko, patrząc łagodnie Kresce w oczy.

– Ty zadzwoń, wszak to twój kumpel – krygował się Kreska.

– Mi odmówi, spławi mnie, powie, że jest zrabany po pracy, czy coś w ten deseń i pewnie będzie to prawda, więc nie będę miała sumienia, by go mimo to wyciągać – zaśmiała się. – Poza tym, ty masz większy dar przekonywania, ciebie tak łatwo nie przegada – kadziła mu.

– Dobra, dzwonię – nakreślił się Kreska.

W głowie zagościła mu już wizja spotkania z Kotem. Nie znał go zbyt długo, ale bardzo polubił, od pierwszego razu. Kazamiko

opowiadał mu o nim, na długo nim się w końcu poznali, twierdząc, że z pewnością go polubi, no i miała rację.

– Siema Kot. Słuchaj siedzimy w Duszku z Kaz. Wpadnij, jak masz czas, pogadamy o starych karabinach, o morzu w Chinach – zagaił Kreska.

– A co, nie macie już znajomych, że musicie po mnie dzwonić? Przecież my już z An prawie nigdzie nie chodzimy, nie udzielamy się towarzysko – zaśmiał się Kot.

– Mamy znajomych, ale chcemy spotkać się z tobą – zripostował Kreska.

– Do roboty jutro idę – rzucił Kot tonem dającym jednak nadzieję na negocjacje. Kreska uczeplił się tego jak tonący rzuconego mu koła ratunkowego i kusił dalej.

– Jedno piwo – zasugerował niewinnie.

– Na jedno, to mi się przychodzić nie opłaca – oznajmił przeciągle, swoim cudownie wibrującym głosem Kot.

Specjalnie przeciągał głoski. Mówił powoli, dobitnie. Nie bełkotał w pośpiechu.

– Kurczę nie bądź taki. Siedzimy z Kaz w Duszku i jeszcze trochę posiedzimy, fajny klimat jest. Miło byłoby się spotkać.

Umówili się. Poszli coś zjeść do Green Way, bo tylko tam i w Bio Way Kazamiko miała pewność, że jedzenie z pewnością jest wegetariańskie. To po tym jak w Cuda Wianki podali jej pierogi ze szpinakiem polane skwarkami, a w Elephancie wyczytała w menu o wegetariańskich pierogach z mięsem... Kreska w obu tych miejscach zrobił awanturę. W Cuda Wiankach zapytał kelnera, czy jest normalny, skoro przynosi jego dziewczynie, która jest wegetarianką, pierogi ze skwarkami? Kazamiko odruchowo pochyliła głowę i w miarę narastania kłótni, podparła ją dłonią, skrywając się za nią jak za mikroskopijnym parawanem, udając, że nie są razem. Dostała drugą porcję, ale nie była pewna, czy zostało tam naplute, więc jadła z oporami, bez smaku. Woleli już nie ryzykować. Zjedli w Green Way i wrócili do Duszka. Po chwili przyczłapał Kot.

– Nie myślałem, że przyjdiesz, że ruszysz dupę z domu i to na pieszo – odpowiedział pozytywnie tym zaskoczony, już lekko wcięty Kreska. – Szacunek, kawał drogi żeś z buta pociągnął – skończył z uznaniem.

– Umówiłem się, więc jestem. Żona mi jeszcze dogryzała, że durny jestem, że brak mi asertywności. Odmówić nie umiem, więc zamiast się po robocie wyciągnąć w domu, muszę zapierdalać przez pół miasta, że mam nauczkę.

– An nie chciała byś przychodzić? – spytała zaniepokojona Kazamiko.

Zaczynała czuć się winna, że wyciągnęli wspólnie z Kreską jej mężczyznę, być może wbrew jej planom.

– Nie, to taka uszczypliwość z jej strony – stwierdził Kot. – Zresztą gdybym nie chciał przyjść, to bym się nie dał namówić – oświadczył dobitnie, rozwiewając tak ich ewentualne wyrzuty sumienia. – A tak poza tym, co słyszeć? – zagaił Kot.

– Byłam niedawno z Młoda na szczepieniu i recepcjonistka poinformowała mnie, że nie wybrałam jakiejś tam pielęgniarki środowiskowej, a ponoć trzeba. Powiedziałam, zgodnie z prawdą, że nie wiedziałam, że jest taka akcja. Ona mi na to, że przecież mówili w telewizji o tym. Powiedziałam, że ja nie oglądam TV. Zdziwiło ją to, ale dodała od razu, że info było też w gazecie. Powiedziałam zgodnie z prawdą, że ja z gazet, czytuję tylko miesięcznik „Mój Pies” i „Vegie”. W tym momencie już obu recepcjonistom opadły szczęki, przyglądały się mi, jakbym była jakimś wybrykiem natury. Jakbym miała dwie głowy lub brodę z wąsami do kompletu. Chciałam jakoś ratować sytuację i zbierając myśli w pośpiechu wydukałam, że ja to tylko czytam książki.. .W tym momencie zatonąłam.

– Ha, ha – zaśmiał się na całego Kot.

– Śmieszne, no nie? Kto w tych czasach nie ogląda telewizji, zamiast tego czyta książki? Po raz kolejny w życiu wyszłam na nienormalną. Prawie tak jak kiedyś, gdy jechaliśmy na koncert i poszliśmy po Grubego do domu. Zadzwoniliśmy, stoimy pod drzwiami całą ekipą i nagle ktoś rzuca tekstem

– Ale jak Gruby ma na imię?

Zastanawiamy się gorączkowo, ale nikt nie może sobie przypomnieć. Drzwi otwiera oczywiście jego matka. Jak pech to pech. Towarzystwo milczy i ja, próbując ratować sytuację, mówię... dzień dobry, przyszliśmy do kolegi, ale nie wiemy, jak ma na imię...

– Ha, ha, chciał kat błysnąć humorem i pół głowy ściał – zarechotał tym razem Kreska do kompletu.

Dobrali się we trójkę. Miło spędzili czas, wędrując od knajpy do knajpy. Incydent ten nie zmieniał jednak faktu, że już prawie nie się widywali ze znajomymi.

Wpadli w czarną dziurę swoich spraw i małego zniechęcenia tym, jak bardzo niektórzy zmieniają się z biegiem lat... W środku tego wszystkiego zadzwonił Ogień, by pogadać z Kreską. Miał nadzieję wyciągnąć go na balangę, dokładnie jak za starych dobrych lat. Kazamiko przysłuchiwała się temu z boku, nie protestując, ale kiedy Kreska złośliwie zapytał, czy będą tajskie masażystki na imprezce, pragnąc nadać rozmowie wyrazistości, ruszyła niebezpiecznie w jego kierunku. Spojrzała mu drapieźnie w oczy, omiatając jego ciało swoimi dłońmi i zjeżdżając nimi na dół. Zaczęła rozpinać mu spodnie, korzystając z okazji, że jest zajęty i może protestować. Próbował się od niej odgonić, ale nie bardzo dawał radę. Uwielbiał to z nią, choć oczywiście niekoniecznie w trakcie rozmowy z Ogniem. Bawiło go to i przeszkadzało jednocześnie.

– Nie mogę rozmawiać, ona chce mi zrobić laskę – rzucił w końcu do słuchawki rozbawiony, jak jego kobieta reaguje na tajską masażystkę...

Każde z nich miało swoje marzenia i wizje. Kresce po głowie od niepamiętnych czasów chodziła skośnooka piękność. Podniecała go wizja seksu z kobietą o orientalnej urodzie. Kazamiko, niestety, orientalne miała tylko przybrane imię... Zdawała sobie sprawę, że pewnych spraw nie przeskoczy. Wiedziała, że go to kręci i reagowała żywo w takich sytuacjach. Podkreślała, co ich łączy, by się nie zapomniał. Nie miała ochoty oddać pola żadnej obcojęzycznej nawet i wyimaginowanej kobiecie. Kochała go i była zaborcza w tym uczuciu.

– No to kończę, z nią nie wygram – powiedział Ogień smutno i się rozłączył.

Zarzekali się oboje, że to co między nimi nie wpłynie na ich kontakty z innymi, a jednak wpływało. Poważnieje ograniczyło do jakiegoś niezbędnego, by całkiem nie zwariować, minimum.

Było już po przyjemności wspólnych pieścizot. Kreska ostatecznie nie umówił się z Ogniem. Siedzieli we dwójkę w domu, gdy na zewnątrz rozpadało się. Deszcz zaczął monotonicznie uderzać o parapet i szybę, wygrywając tak swoją melancholijną melodię. Kazamiko ogarnął nieziemski smutek. Podpełził niczym wąż do swej ofiary i

znienacka zaatakował. Dopadła ją nuda, a tego zawsze bała się bardziej niż śmierci. Po twarzy turlały jej się łzy. Otarła je szybko.

– Nigdzie nie wyszliśmy. Cały weekend spędziliśmy sami. Czy to aby nie przesada? – spytała Kreskę, choć sama się do tego trochę przyczyniła.

Uśmiechnął się blado zamiast odpowiedzi.

– Już prawie nie wiem, co u znajomych – ciągnęła dalej smutnym głosem.

Wzruszył ramionami. Był zbyt zmęczony na konwersację. W akcie desperacji zadzwoniła do An. Nie miała nic konkretnego, po prostu potrzebowała porozmawiać. Miała szczęście, bo An akurat była w domu. Jej super głos. Oaza spokoju. Sam fakt, że są jeszcze ludzie, z którymi można porozmawiać tak po prostu, zwyczajnie dodał jej otuchy i automatycznie poprawił humor.

– Tak? – spytała An, a jej kot Ciapa zawtórował swojej pani przeciągłym miauknięciem.

– Słyszę kota, znowu głodny? – zaśmiała się Kazamiko w słuchawkę.

– Tak, odbija mu na starość. Siedzi przed lustrem i miauczy – odparła An.

– Nie znam się na kotach – wtrąciła Kazamiko odruchowo, by nie być proszoną o poradę w kociej sprawie.

– Ja też się już nie znam! Nie wiem, może wezmę go na spacer, zmęczy się, coś przeżyje, czegoś się przestraszy i będzie jak kiedyś?

– Ha, ha – uwielbiam twoje poczucie humoru oświadczyła Kazamiko i całe jej przygnębienie czmychnęło nie wiedzieć gdzie.

Ludzie mieli na nią niesamowity wpływ. Jak kogoś lubiła, to sam widok lub głos tej osoby poprawiał jej humor. Wyciągał ją z „dołka”. Dlatego osoby, które darzyła sympatią, w zasadzie nie widywały jej smutnej. Kreska miał ją jednakże na co dzień i widział, że zaczyna się dziać z nią coś niedobrego. Był jednak zbyt zmęczony pracą, by jakoś temu zapobiec. Coraz częściej bywał poirytowany. Wybuchął, czasem nie wiedzieć dlaczego. Na samo zakończenie tego i tak nienajlepszego dnia, pokłócili się o jakąś głupotę. Ostro skrytykował to, że koldra źle leży i zapytał, czy nie mogłaby być ułożona tak jak w normalnych domach... Kazamiko nie wiedziała, co ją bardziej uraziło, określenie normalny dom czyjego ton i sposób, w jaki jej to zakomunikował. Wiedziała, że jest pedantyczny. Brała na to poprawkę, ale za dużo już

tego było, tego dogadywania jej. Przypomniało jej to sytuacje w domu rodzinnym z bardzo wymagającą matką, a potem z Kantem. Otworzyło jej stare rany. Kreska kłuł ją słowami z dziwną zawziętością. Czuła się nie inaczej, tylko jak dźgane za nic na podwórku prosię. Nie rozumiała, czemu jej to robi. Na początku wkurzyła się, potem było jej już tylko bezgranicznie smutno i przykro. Zrzucała przed nim nie tylko ubranie. Odkrywała przed nim również część swej duszy. Znał jej myśli, jej słabe punkty... Wiedział, jakie miała życie, że dobre momenty przeplatają się w nim z koszmarnymi. Sam codzienny widok tego, co choroba czyniła z jej matką, robił swoje... Kochali się. Czuła z nim niesamowitą więź, ale momentami trudno jej było z nim wytrzymać. Noc, która przyszła, była koszmarna. Czuła się jak zawieszona w próżni. Podskakiwała na trampolinie niepewności. Nie chciało jej się żyć. Złe znowu wróciło. Najchętniej rozwaliliby głowę o coś twardego, twardszego niż życie.

– Stanowczo muszę wyjechać w jakieś miłe miejsce, złapać oddech – pomyślała, wiedząc, że i tak nigdzie nie wyjedzie.

Miała małe dziecko, schorowanych rodziców i psa w podobnym stanie. Krucho stała z pieniędzmi. No i była bez samochodu. Zmęczona, w końcu usnęła nad ranem, przytulając się mimo wszystko do niego.

Obudził ich sygnał budzika, natrętnie wydobywający się z jego komórki. Odwrócił się i przytulił do niej. Objęła go i zaczęła delikatnie głaskać po plecach, tyłku, omijając to, co tak lubiła pieścić, by nie robić im obojgu ochoty na to, na co nie było dość czasu. Zawładnęła nią taka czułość, że nie wytrzymała. Zbliżyła się ustami do jego szyi i obsypała ją pocałunkami. Musnęła ustami też usta i twarz. Kochała go.

– Muszę iść – szepnął.

„Ty jesteś tylko służącym, jednak myślisz, że robisz to, co chcesz” – zadzwęczał w niej nad wyraz boleśnie tekst Karceru. Nie odpowiedziała nic. Szybko wskoczył w spodnie, koszulkę, narzucił kurtkę, założył buty. Pocałował ją na pożegnanie i zostawił nagą w sponiewieranym, ciepłym łóżku. Trzasnęły drzwi wejściowe...

– Już tęsknię – krzyknęła za nim.

Nie usłyszał. Był już w drodze do pracy. W drodze od niej.

Zapúściła żurawia do kartonu z kasetami i wygrzebała Madame. Przetarła ręką kurz z okładki, z namaszczeniem wyjęła kasetę i włożyła do magnetofonu „Ze snu wyrwany, z rozkołatany m wnętrzem. Tracisz złudzenia, nieważne marzenia i szczęście. Bezdusznym maszynym swój rozruch zaczyna, więc spiesz się. Nie minie godzina i będziesz już jej elementem. Słabo, słabo tak, bije twoje serce. Szybciej, szybciej wciąż pracują ręce... Dziewczyna gdzieś w mini, jezioro i słońce i trzciny. To wszystko dla ciebie jak skończy się wiek produkcyjny” . No tak, uświadomiła sobie boleśnie, on nie będzie miał nawet emerytury, bo pracuje na czarno!

Praca pochłaniała lwią część jego życia, nie przynosiła mu – jak wielu innym – żadnych kokosów, a jedynie zapewniała środki na przetrwanie. Coraz częściej wracał wykończony.

Spotkali się, gdy wrócił. Objął ją dość mocno.

– Zamknąłem cię w ciasnej klatce moich ramion – oświadczył prowokująco.

– Zamknąłeś, bo tobie na to pozwoliłam – wyjaśniła Kazamiko, patrząc mu w oczy z szelmowskim uśmiechem. – Puszczę ci coś – powiedziała tajemniczo, wkładając płytkę Parafrazy do odtwarzacza CD i czekając chwilę nim rozbrzmiała muzyka. „Kochanie nie potrafię się zatrzymać. W tym szaleństwie nie mam czasu na sen. Kochanie nie wiem, jak długo jeszcze ze mną wytrzymasz”.

– To jakaś „żaluzja” do mnie i tego, ile pracuję? – spytał wprost.

– Kocham cię i nie chcę, abyś się zaharował, abyś stracił z oczu to, co ważne – odpowiedziała smutno.

Przytulił ją ponownie. Znowu było dobrze i trwało chwilę, nim jego zmęczenie dało o sobie znać. Wieczorne niebo zasnuło się burymi chmurami. Pomyślała o relaksującej kąpieli w pojedynkę. O tym, by wyciągnąć się wygodnie w niewielkiej wannie, którą miała w łazience i poleżeć w ciszy. I to był ten moment, gdy coś zaczęło między nimi pękać. Nie chciała zbędnych rozmów, jego pytań o to, kiedy ogoli włosy na nogach i przystrzyże futerko. Tematy zastępcze. Kiedyś, gdy rozmawiali o tylu różnych sprawach, nie drażniły jej one. Teraz ich nie znosiła. Uciekała przed tymi drobnymi kłótniami z błahych powodów. Kontakt między nimi się rwał jak stary, pożarty przez mole sweterek. Przygnębiało ją to. Nie dbała o siebie jak dawniej. Za murem z cegieł pozorów, że wszystko gra, że jest jak dawniej, skryła swoje pojawiające się coraz częściej uczucie samotności. Spędzali coraz mniej czasu

razem, a nawet jak byli fizycznie ze sobą, to już jakby bez tego żaru, który im kiedyś towarzyszył. Ich miłość umierała. Była jak postrzelona sarna. Krwawiła. Wykańczała ich proza życia lub ten cały „tumiwizizm”, jakby to ujął Arek, jej przyjaciel. Jego praca, jej sprawy, jej chora matka, zbliżający się do kresu jej pies, jej absorbująca i charakterna córeczka... Wykąpała się i wsunęła po cichu do wspólnego łóżka. Już spał, pochrapywał miarowo. Pocałowała go w plecy, tak aby go nie obudzić, ale coś ją zirytowało w tej sytuacji.

– Dobranoc – powiedziała na tyle głośno, by się przebudził.

– Dobranoc kochana – odpowiedział i zapadł się ponownie w sen.

Zasnął jak dziecko, które nie miewa jeszcze złych snów. Roztkliwił ją tym. Wyciągnęła ku niemu swą dłoń i pogłaskała go po głowie. Nie obudził się, ale zadrgał mu pojedynczy mięsień, tuż nad obojczykiem... To tak jakby była interakcja. Jakby nie była sama...

Długo nie mogła usnąć. Padła zmordowana staraniami o zaśnięcie, grubo po północy. Rano przytulił się do jej pleców i zaczął je muskać oraz delikatnie drapać krótkimi paznokciami. Poruszyła się i wymruczała, jakie to cudowne.

– Dość pieszczot, muszę zaraz wstawać – przerwał to po zbyt krótkiej jak dla niej chwili.

W jej wnętrzu zagościł chłód. Znieruchomiała, spięła się, nic nie powiedziała.

– Pracuję na okrągło. Piątek, świątek i niedzielę – powiedział usprawiedliwiająco.

Kazamiko nadal milczała. Nie obchodziły jej w tym momencie żadne wymówki. Nie otworzyła oczu. Udawała, że śpi. Ubrał się w pośpiechu i wybiegł. Wyjrzała przez okno. Spieszył się, aby zdążyć do pracy. Dzień jak każdy inny. Jego monotonia, jego rutyna. Zmęczenie, które z sobą niesie. Zadzwoił do niej z pracy.

– Czuję zapach twojej cipki – wyszeptał.

– Zboczeniec – rzuciła mu ze śmiechem, nie bacząc na to, że szła akurat głównym deptakiem swojego miasteczka, tak małego, że sprawiało wrażenie, że naprawdę wszyscy się w nim znajdują...

To coś szczególnego, co było między nimi, znowu na moment powróciło. Telefoniczne rozmowy, tak spontaniczne, były ostatnim rezerwatem ich uczucia. Jego ostatnią przystanią. Nie potrafili już tak jak przez telefon rozmawiać ze sobą na żywo, stojąc obok siebie, w swoim biopolu. Ich uczucie miało czerwoną twarz Indianina w białym

kraju. Szukało dla siebie miejsca i najczęściej znajdowało je w telefonicznych rozmowach.

Zacząła się do niego przytulać i przymilać, kiedy tylko wrócił i przekroczył próg mieszkania. Czowała się stęskniona, wyposzczona i jednocześnie podkręcona tym telefonem.

– Kaz, daj spokój – powiedział, brutalnie przerywając jej zaloty.

Dosłownie zamarła pod wpływem tych słów. Zrobiło jej się przeraźliwie smutno. Rozpłakała się jak mała dziewczynka. Płacz wstrząsnął całym jej drobnym ciałem. Drgała jak trącony czymś kamerton.

– Kochanie, nie płacz – poprosił, poruszony tym do głębi.

– Już mnie nie kochasz, nie chcesz, nie pragniesz – zasypała go lawiną oskarżeń.

– Przecież kocham, tylko jestem zmęczony po pracy – jęknął.

– Tak?

– Tak – oświadczył. – Źle mnie zrozumiałaś.

– Od tego zaczynają się wojny – bąknęła błyszcząca od łez. – Dawno się nie kochaliśmy. Będzie z tydzień. Niedługo będziesz się kochać ze mną raz na miesiąc, potem raz na rok, a potem raz na ruski rok – skończyła ze śmiechem.

– Chodź tu głuptasie – wyszeptał, choć przecież nigdzie nie odchodziła.

Starła z twarzy łzy, a on ją pocałował. Odwzajemniła pocałunek. Całowała namiętnie jego usta. Już po chwili nie pomna jego zmęczenia, lekko kąsała mu szyję, a następnie zjechała w dół klatki piersiowej, zahaczając językiem o jego małe, twarde sutki i niżej, na brzuch. Po chwili całowała już swobodnie, bo nie powstrzymywana, zagłębienie jego pępka, wyglądające jak mikroskopijny krater na ciele. I niżej, gdzie czekał już na spotkanie z nią pęczniejący penis i jądra. Gilgotała go koniuszkami włosów nim je ostatecznie spięła. Jej dłoń dotarła do jego lewej pachwiny. Zaczęła subtelnie głaskać wewnętrzną stronę uda. Od kolana w górę. Przejechała nią tak parę razy nim przeniosła się na drugą stronę. Z premedytacją ominęła epicentrum, ledwo musnąwszy członka przy przejściu z jednej strony na drugą. Drażniła się z nim, odwlekając moment spełnienia. Gdy w końcu nachyliła się, zaczęła pieścić go językiem. Liziała nabrzmiałą główkę i znajdujące się tuż obok jądra. Pośliniła dłoń, zwinęła ją, zostawiając w niej jedynie wąski, śliski otwór. Chwilę go masowała. Potem otworzyła dłoń i zacisnęła na

nim uda. Pulsowała rytmicznie. Dyszała pożądaniem, nadchodzącym skurczem. Spięła się. Przeszły ją dreszcze, Galopowała jak na pięknym koniu, przez równiny.

– Wiesz, że chciałabym go już dosiąść, tylko czy on by to wytrzymał kochanie? – wyjęczała.

Zwinał ją gwałtowny skurcz orgazmu na samo wyobrażenie. Opadła na nim. Jej gorące piersi na jego klatce piersiowej. Jej mocno bijące, wyczuwalne przez skórę serce. Jej przyspieszony oddech. Pogłaskał ją po plecach. Pozbierała się. Spojrzała na niego i już wiedziała, co dalej. Przywłaszczyła sobie jego palec wskazujący. Przejechała nim po sterczącym sutku. Jednym i drugim, aby było sprawiedliwie. Po czym powiodła go w dół, do cipki. Zacisnęła mocno uda. Musiał wcisnąć się między nie, jak najeźdźca zdobywający dziką, nieujarzmioną krainę. Rozchyliła wargi sromowe i sprawdziła, jak jest wilgotna. Poszukała dłonią członka. Zacisnęła na nim. Drugą zabrała w dalszą podróż po jego ciele.

– Ależ on twardy – zajęczała. – Tylko czy ona jest gotowa? Sprawdź kochany – zakomenderowała, jak gdyby nie wiedziała, jak się sprawy mają.

Sprawdził, a ona do końca zwilgotniała od tej kontroli. Jego ciało też stało się ponownie rozpalone, a oddech przyspieszony.

– Wejdz we mnie – poprosiła. – Uwielbiam cię czuć, najdroższy – wyszeptała intymnie.

Spełnił jej prośbę, zapominając o zmęczeniu. Wcisnął się po raz kolejny w szparkę i szybkimi ruchami zakończył sprawę. Wskoczył tuż przed i trysnął gorącą spermą na jej brzuch. Opadł na nią. Teraz on. Objęła go ramionami, opuszkami palców gładząc jego męskie plecy i zgrabne pośladki. Uniósł się po chwili i sięgnął po ręcznik, by zetrzeć nim swój podpis z jej skóry. Kochali się częściej niż chciał i potrzebował. Taka była ich rzeczywistość. Niektórzy tego nie mieli, oni mieli w nadmiarze. Kazamiko zwariowała na punkcie seksu z nim. Długo, bardzo długo nie mogła się tym nasycić.

„Nowy dzień, papierosy. Inne ściany, inne głosy” – magnetofon odtwarzał kasetę Gardenii.

Kolejny raz wrócił z pracy późno.

– Jestem zrąbany jak koń po westernie – oświadczył.

– Moje plecy są spragnione twoich ust. Są jak nieuprawiony ugór. Nie siadają na nich ptaki pocałunków – oświadczyła z kolei ona. – Napraw to szybciotko – poprosiła, nie bacząc na jego stan jak rozkapryszona, mała dziewczynka.

Uśmiechnął się, zbyt zmęczony jednak na spełnianie jej zachcianek.

– Opamiętaj się z tą robotą. Zaharujesz się na śmierć – zauważyła łagodnie.

Spojrzał na nią smutno. Miał pył we włosach i dwudniowy zarost na twarzy. Zaniedbał się.

– Czemu jesteś taki? – spytała smutno.

– Jaki znowu? – burknął zmęczony.

– Taki zimno-obojętny. Zastanawiam się, jak to na nas wpłynie, czy nas nie zniszczy – westchnęła.

– Tak myślisz? – spytał.

– Tak – wyznała.

– Poważnie? – dopytywał dalej.

– Poważnie – kontynuowała.

– Poważnie to wygląda mucha w ciąży – rzucił, usiłując rozładować smętną atmosferę.

Bezsukutecznie. Nie poddawał się, próbował dalej.

– Głowa siwieje, dupa szaleje – rzucił więc po chwili, niestety tym razem jak kulą w płot.

Spojrzała mu zimno, wręcz nienawistnie w oczy i wyszła z pokoju z zamiarem, by zająć się czymkolwiek, byle dalej od niego. Po raz kolejny poczuła się nie rozumiana, tak jak tylko kobieta może czuć się nierozumiana przez swojego mężczyznę. Poszedł za nią do drugiego pokoju, gdzie schroniła się przed nim.

– Zamierzasz tu siedzieć? – zapytał.

– A co? – warknęła poirytowana.

– Chodź do mnie – poprosił ładnie. – Ma być zaraz fajny filmik – kusił z właściwą sobie wprawą.

Wstała i poszła z nim. Usiadła na kanapie.

– Gardło mnie boli – powiedziała tonem, który mógłby należeć do jej córeczki.

– Czemu nosisz podkoszulek z krótkim rękawem w listopadzie? – zaczął zrzędzić.

– Czemu nienosisz kałesonów w grudniu? – odgryzła się zirytowana i trochę na oślep.

– Bo ty zawsze... – kontratakował.

– Zaprosiłeś mnie na telewizję czy na pogadankę? – zapytała kąśliwie, przerywając mu cokolwiek zamierzał powiedzieć.

Zamilkł i rozpromienił się. Darował sobie tym razem teksty o niedogotowanych i za mało posolonych ziemniakach, o jej niezapomnianej przygodzie z Rysą. Przytulił się do niej. Podrapał ją pazurkami gdzieś po środku pleców. Wstrząsnął nią dreszcz. Dostała gęziej skórki. Najpierw w pobliżu miejsca ingerencji, po chwili coraz dalej. Rozkosz rozprzestrzeniała się jak pożoga. Niczym pożar łąki, na którą w jednym miejscu spadła iskra. Mały żywy, niepokorny płomyk. Zarzewie wszelkiego pożaru. Poskrobał paznokciem jej skórę i ciało zareagowało. Kazamiko nadal kochała go i pragnęła, choć zmęczenie i uczucie złości kamuflowało to czasem na tyle, że wydawało się jej, że już nie ma w niej tej namiętności. Zaczęli się kochać. Razem wspięli się na szczyt i wkrótce byli już po...

– Zobacz, jakie masz szczęście – wyszeptała Kazamiko ni z gruszki, ni z pietruszki. – Nie musisz chodzić po agencjach, by to mieć – oświadczyła. – W dodatku towar masz nieprzechodzony – ciągnęła dalej z filuternym uśmieszkiem, zaglądając mu przy tym w oczy.

– I jestem kochany – podsumował Kreska, a błogi uśmiech rozpromienił jego twarz.

– Tak, jesteś kochany – potwierdziła po raz któryś, zadziwiona jego skojarzeniem, nie pomyślała bowiem w tym wszystkim, o czymś tak istotnym i oczywistym jak miłość. – Za pieniądze można kupić psa, ale nie kupi się merdania jego ogona, przeczytałam to kiedyś na jakimś internetowym forum i zapadło mi w głowie. Za kasę można czasem dostać ciało kobiety, zresztą faceta też, ale nie sposób osiąść tak niczyjego serca. Na szczęście jest jeszcze na tym świecie parę rzeczy nie do kupienia – podsumowała i musnęła go pocałunkiem, zamykając ten temat.

Kolejny raz było im ze sobą tak dobrze.

– Czemu nie umiemy dogadać się w życiu, tak jak w seksie? – spytała go po chwili ze smutkiem czającym się w głębi oczu.

Leżeli przytuleni. Nadzy. Cudownie zaspokojeni.

– Czemu? Bo jesteśmy oboje charakterni, już ci mówiłem to – stwierdził z nutą zmęczenia.

Kazamiko miała masę swoich spraw, a zdawało się, że on coraz więcej pracuje.

Jakiś czas później udało im się jak za dawnych, dobrych lat, wyrwać z klatki czterech ścian i uwolnić się tak choć na moment od codzienności i powtarzalności życia ostatnich miesięcy. Skowronek wyczytał o koncercie Farben Lehre w Rock Cafe. Mimo przekroczonej czterdziechy wciąż słuchał muzyki i chadzał na koncerty. Sporadycznie, ale jednak. Był nadal w klimatach. Wiedział, co w trawie piszczy i dał im znać. Kazamiko przyszła z Kreską do Rock Cafe godzinę przed koncertem. Anektowali stolik blisko baru i sceny, by pogodzić potrzeby wszystkich. Oprócz Skowronków obecność zapowiedział też Ogień z kobietą. Nie widzieli się z nim od czasu, gdy po wyjściu z jednej knajpy zaproponował Kresce, by zostawić balast, czyli Kazamiko, i pójść się jeszcze gdzieś dopić. Odwróciła się wtedy na pięcie do niego.

– Dzięki za balast – powiedziała, by nie zostawić tego bez komentarza.

Nie wiedziała czemu, ale mimo wszystko lubiła Ognia, choć była to wyraźnie jednostronna sympatia.

Dosłownie pięć minut po ich przyjsciu do Rock Cafe i zajęciu stolika, przez drzwi wtoczyła się spora fala ludzi. Tłum rósł, aż bramkarze przestali kogokolwiek wpuszczać. Było już tak ciasno, że Kreska z trudem przecisnął się do baru. Kazamiko rozejrzała się. Dookoła morze głów i ich stolik niczym wyspa.

– Zajęliśmy stolik dla VIP-ów, starych pierników – rzuciła Kazamiko ze śmiechem, spostrzegając cały ten tłumek, bardzo młodych w porównaniu z nimi ludzi.

– No, zawyżamy im statystyki – odparł dumnie Kreska, reszta się uśmiechnęła.

– Chłopaku – powiedziała kobieta Ognia do Kreski.

– Chłopaki to u szewca gwoździe prostują – odgryzł się jej na poczekaniu, nie żeby miał coś przeciw niej, po prostu taki był.

Zatkało ją, ale tylko na moment.

– Gdzie się poznaliście z Kaz? – spytała pojednawczo.

– W Spatiffie – rzucił Kreska niedbale.

– O, to tak jak my z Ogniem – odparła z niewymuszonym uśmiechem.

Odpowiedział jej tym samym. Nie była może olśniewająco piękna, w dodatku we włosach miała resztki pianki montażowej, którą przed koncertem uszczelniała okno. Ogniewi to nie przeszkadzało. Mierzył atrakcyjność kobiet w sobie właściwy sposób. Podobnie jak Kreska miał awersję do silikonu i tipsów. Kobieta musiała być inteligentna, mieć osobowość. Nie spotykałby się nawet z najpiękniejszą dziewczyną, której twarz zdradzałaby tęsknotę za myślą, którą mógłby na poczekaniu stłamsić intelektualnie.

Było całkiem miło, jednak muzyka po raz kolejny uderzyła Kazamiko do głowy. Porzuciła Kreskę i resztę towarzystwa przy stoliku i pognała swoim dawnym zwyczajem pod scenę. Mimo niewyobrażalnego ścisku znalazła dla siebie jakiś kącik, by choć trochę się pogibać, o pogo nie było w tych warunkach mowy. Tańczyła sobie w najlepsze, gdy w powstałej nagle szczelinie ujrzała Kreskę. Inwigilował ją. Stała jak wryta. Splotła dłonie i zrobiła minkę niczym sierotka Marysia, tak niewinną, by już po chwili spojrzeć mu zalotnie w oczy i zacząć tańczyć tylko dla niego. Bardzo zmysłowo. Pożerał ją wzrokiem nim tłum się zstąpił i ostatecznie znikła mu z widoku. Koncert prowadził dobrany duet Konjo i Skiba, za którym Kreska osobiście nie przepadał, ale było zabawnie. Dopisała publika, atmosfera, a i sam zespół zagrał dobry koncert, z niewymuszonymi jak u Analogsów bisami. Nie była to ich ulubiona grupa, ale występ był za free i okazja przednia by się spotkać w swoim gronie. Kazamiko nie odeszła od sceny póki brzmiała muzyka, była od tego uzależniona. W tym czasie jakaś blondynka zaczęła podrywać Kreskę. Młode, jędrne ciało, z tego co powiedział jej później ze śmiechem sam Kreska. Zagadywała go i próbowała skusić na miętuski. Ogień zmierzył ją wzrokiem.

– Co powstanie ze skrzyżowania blondynki z oponą michelina? – rzucił intrygującym pytaniem.

– Kurwa nie do zderzenia – odpowiedział po chwili przerwy.

Dziewczyna poczuła się urażona i ostentacyjnie odeszła, zostawiając Kreskę i resztę towarzystwa w spokoju. Ogień poszedł na całość, poleciał, jak mówi młodzież, po bandzie. Po koncercie odwiózł ich do domu. W drodze kupił dwie białe róże. Jedną dla swojej kobiety, drugą dla kobiety Kreski. Kazamiko zrozumiała, że choć nie robiła nic

ku temu, to lody między nimi zostały wreszcie przełamane... Poczula, że zaakceptował ją i odtąd będzie już między nimi normalnie.

18.

Czas płynął. Jak co roku nadeszła i rozgościła się zima. Są na tym świecie rzeczy niepodważalne. Wieczory przychodziły teraz szybciej. Kreska jak zwykle wrócił z pracy późno. Zjadł obiad i zasiadł przed monitorem komputera, by pograć w Coli-na. Odprężało go to. W przeciwieństwie do jej córeczki, która najczęściej irytowała go swoim wiecznym gadaniem.

– W porządku, jest zmęczony – pomyślała Kazamiko. – Faceci grywają w gierki – przekonywała samą siebie, patrząc na jego plecy po całym dniu oczekiwania...

Położyła córkę spać. On skończył jeździć wirtualnym samochodem, włączył dla odmiany telewizor. Nie miał najwyraźniej innej propozycji na wspólny wieczór. Poszedł po najmniejszej linii oporu. Skakał po kanałach aż trafili na dobry filmik, z doborową obsadą aktorską. Kazamiko wciągnęła się w akcję. Kreska zasnął w jej połowie. Na kanapie obok, w ubraniu, nie umywszy zębów. Taki był finał. Po filmie zgasiła telewizor i wróciła do łóżka. Nie budziła go, by się rozebrał, umył zęby i zawitał do niej. Przewracała się z boku na bok w pojedynkę, aż w końcu położyła się na plecach. Podciągnęła koszulkę. Położyła dłoń na nagim brzuchu i zaczęła go delikatnie głaskać aż usnęła. Śnił jej się piękny seks z nim. Przebudziła się i spojrzała na kanapę obok... Nadal tam był. Jej mężczyzna.

– Ile to już dni jesteśmy bez seksu? – zastanowiła się, lecz przestała dociekać.

Poszła do niego. Uniosła kapę i wsunęła się obok. Przytuliła się do Kreski po dawnemu, całą sobą. Oplotła go nogą niczym bluszcz drzewo i zaczęła napierać na niego całym ciałem. Chciała seksu. Te myśli sprawiły, że krew zaczęła szybciej krążyć. Piersi powiększyły się nieznacznie, sutki stwardniały, cipka zwilgotniała. Oddychała ciężiej i szybciej. Uniosła koszulkę i przyłgnęła do niego piersiami, drażniąc go z premedytacją twardymi sutkami. Dotykała go coraz bardziej prowokująco, aż w końcu odwrócił się do niej. Posłała dłoń w jego czuły zakamarek i doznała rozczarowania. Był miękki, zaspany, niechętny. To było upokarzające.

– Kleję się do niego, a o mnie nie chce! – pomyślała gorzko. – Pewnie chodzi o ten wstrętny cellulit, przestałam się mu podobać, choć mówi, że nie. Hipokryta. A może mu się zwyczajnie znudziłam lub naprawdę to z przepracowania – dociekała, bo nie знаła odpowiedzi.

Cofnęła dłoń zrezygnowana, lecz po chwili postanowiła dać im szansę. Wróciła. On pięknie rósł. Wszedł w nią. Poczowała go po tej dość długiej przerwie, z ukłuciem bólu na wstępie, by potem czuć już tylko bezgraniczną rozkosz. Nie na długo, niestety, zmiękł bowiem już po chwili... Kreska próbował ratować sytuację ręką, ale dla Kazamiko to było już zbyt upokarzające. Ostentacyjnie odwróciła się od niego. Nie chciała takiego stymulowanego seksu. Rozbolał ją brzuch. Podnieciła się, ale nie skończyła. Przerwali w połowie drogi...

– Nie spisałeś się – powiedziała brutalnie szczerze, zza muru swoich pleców. – Znajdę sobie innego, młodszego – pomyślała okrutnie i dała się ponieść swojej codzienności, zapominając w końcu o tym. Wpadła w swoją koleinę.

Następnego dnia Kreska zjawił się w domu szybciej.

– Mam nadzieję, że zjesz obiad bez awantur, że zniesiesz ziemniaki godnie, jakie by one nie były – ostrzegła go.

– To już wiem, jakie są – wycedził, spodziewając się, że pewnie jak zwykle są jego zdaniem niedogotowane i za mało słone...

– Niewiarygodne, jak ludzi może podzielić kwestia ziemniaków. I to nawet nie tylko ich obecności lub braku na talerzu, ale na przykład ich twardości – zastanowiła się Kazamiko.

– Mama od dziecka mi powtarzała, że nie ma nic gorszego niż rozciapane ziemniaki – oświadczyła głucho.

Kreska był innego zdania. Konflikt w kwestii ziemniaczanej narastał niczym zatarg między dwoma mocarstwami.

– Mogłabym robić je tak jak lubisz, rozgotowywać. Powstrzymuje mnie świadomość, że za tym pójdzie cała reszta, że na tym się nie skończy. Pomału będziesz mnie zmieniał na swoją modłę. Aż okaże się, że nie mam już nic swojego. Własnych poglądów, potraw. Stanę się echem, twoim odbiciem. Będę świecić twoim blaskiem. Przeistoczę się w wyprany z własnej osobowości dodatek do twojego wygodnego życia. Będę niczym mebel. Jak w końcu się tobie znudzę, porzucisz

mnie bez cienia żalu pod najbliższym śmietnikiem lub zniszczysz fizycznie w domu. Smutny koniec ulegania we wszystkim.

Nie odpowiedział. Poszła do łazienki. Odkręciła kurek z wodą. Weszła do wanny, nie czekając aż naleci jej dostatecznie dużo. Leżała bez ruchu w wannie. Woda leciała strumykiem z kranu. Kazamiko miała wrażenie, że to wycieka z niej życie .

– Dlaczego miłość przynosi mi zawsze do kompletu ból? – spytała samą siebie.

– Kiedyś dzwonił z pracy – przypomniała sobie Kaz. – Czasem tylko po to, by powiedzieć, jak mu było cudownie, gdy we mnie był lub gdy zamykałam w przestrzeni mych palców jego jajka i ptaka. Lizałam je lub ssałam. Dzwonił, by powiedzieć, jak mu tego brakuje. Kiedyś tęsknił za moim głosem i śmiechem. Już tak nie jest. Teraz wraca do domu, tak jak kot wraca do kuchni, w pobliże swojej miseczki. Czyżby działa się z nami to, co z bohaterami „Gorzkich godów” Polańskiego? Czy taka jest kolej rzeczy? Miłość umiera i coraz bardziej bolą mnie wnetrzości. Nie знаła odpowiedzi. Poszła spać do drugiego pokoju. Nie przyszedł do niej i tym razem, choć mimo wszystko, czekała na niego. Był zbyt dumny na to lub zbyt zmęczony. Pomyślała, że to głupie, co sobie robią. Zamknęła książkę i przyszła naga do jego pokoju. Wsunęła się cicho do łóżka i, by tego nie przedłużyć, przytuliła się do jego pleców. Spuściła po raz kolejny pragnienia ze smyczy. Pogłaskała jego muskularne ramiona, otarła się sutkami o jego skórę.

– W wiecznym zagonieniu, w tym swoistym szczerzym wyścigu by do czegoś dojść, by zarobić na kęs czegoś, na rachunki, na lepsze coś, zdarza się, że zwyczajnie brakuje nam czasu na normalne życie, na odczuwanie, na przyjaźnię, na miłość, na drugiego człowieka. A życie przemija bezpowrotnie. .. Nigdy już nie będzie tego wieczoru, tej nocy, tych okoliczności. To jak spędzimy tę noc jest na zawsze nasze. Pogodzimy się czy będziemy się na siebie boczyć? – zapytała wprost, po zatoczeniu tego wielkiego koła.

Nie mógł nie zareagować... Kochali się gwałtownie, ale bez słów. Wpadli nawet we wspólny rytm. W pewnym momencie ich podpasione wspólnymi siłami brzuszki zassały się i dało się słyszeć coś jakby cmoknięcie. Roześmiała się, choć pewnie nie powinna, bo seks jest delikatną materią. W dobrym towarzystwie bywa czasem też i zabawą.

– Tak, niedługo koniec dzieciństwa, skończą się zabawy, będą musiała pracować, by zarobić na mieszkanie – wyznała niedawno jej córeczka.

– Ależ dorośli też się bawią, tylko mają inne zabawy – przekonywała ją wtedy Kazamiko, mając na myśli oczywiście seks, choć o tym nie wspomniała.

Przypomniało jej się to nagle za sprawą tego nagłego cmoknięcia w trakcie, i jej wybuchu wesołości. Nie skomentowała tego, choć korciło ją. Nie chciała przesadzić. Był w niej. Balansowała na granicy. Skupiła się na tym, ku czemu wspólnie zmierzali. Pochyliła się i pocałowała go czule w brzusek, by zrównoważyć ten swój wybuch śmiechu z wiadomego powodu. Zajrzała mu w oczy z miłością. Nie powiedział nic, tylko mocniej objął ją. Jakby starając się utrzymać ją pod pozorną choćby kontrolą. Zasnęli obok siebie. Byli wykończeni, ale było to miłe zmęczenie. Pewnie dlatego lubił to z nią. To całe „przerzucanie węgla”, jak żartobliwie określał to czasem, nawiązując tak do ilości spalanych w trakcie kalorii.

Rano zbudzili się i rozeszli do swoich spraw. Wychodząc, pocałował ją czule, a potem zadzwonił, że źle mu z tym, że się na siebie boczyli. Ciepło zalało jej serce.

– Wszędzie bałagan – zaczął się jednak parę godzin później wściekać. – Kochasz brud – ciągnął dalej oskarżycielsko.

– Może skończysz ze swoimi tekstami – zaproponowała oschle.

Nie mógł. Wyszła ostentacyjnie, zostawiając go samego w pokoju. Zagoniła córkę do snu. Wychodząc, zapaliła jej lampkę solną i poszła do kuchni. Znalazła azyl, by poczytać. W pokoju zostawiła gadający telewizor i milczącego faceta. W drugim, śpiącą córkę. Dla niej została więc kuchnia. Nie mogła się skupić nad książką. Litery wirowały przed oczyma. Sens czytanych słów umykał.

– Jestem całością – pomyślała Kazamiko wkurzona. – Nie składałam się tylko z łechtaczki i pochwy. Mam też głowę, a w niej poglądy. Mam serce i uczucia. Swoją wrażliwość. Swoje przyzwyczajenia. Składałam się z tych wszystkich kawałków. Jestem integralna. Lubi się ze mną kochać i gdy okazuję mu czułość. Jednak irytuje go to, jaka jestem. Oszczędność, której nauczyło mnie życie, nie zawsze usłane różami. Moje roztargnienie. Daleko mi do jego pedantyczności. Nie wspiera mnie, a atakuje – pomyślała z goryczą.

Gorycz dosłownie rozlała się po jej organizmie. Zatruwając go.

– Jestem za stara na tresurę. Znajdź sobie jakąś 20 lat młodszą – oznajmiła koleżanka Majowa swojemu mężczyźnie przy jednej z pierwszych prób ułożenia jej, przerobienia na swoje podobieństwo.

Czuła podobnie i powiedziała Kresce to samo. Nadaremno. Nie pohamowało to jego zapędów. Miała tego serdecznie dość. Następnego dnia był podobny... Wybierała się do stomatologa, gdy zadzwonił.

– Jesteś już u dentysty? – spytał zimno.

– Idę dopiero, a co? – spytała, nie wiedząc o co mu chodzi.

– Poproś jak już u niego będziesz, by usunął ci przy okazji ząb jadowy – odezwał się, a serce jej załata zimna fala nienawiści.

Odgrodziła się od niego murem milczenia w reakcji na to, co się działo. Skryła się wewnątrz, na zewnątrz jedynie wyglądając kontrolnie. Nie czuła więzi z tym, co było blisko, dokoła, obok. Kusilo ją to, co było poza, daleko. Nie czuła się szczęśliwa we własnym domu. Znowu ją gdzieś gnało. Ponownie obudził się w niej wilczy zew. Targał nią wiatr. Miała naturę wędrowca, czasem się zatrzymywała, ale to zawsze wracało. Z pewnością nie była osadnikiem. Po raz kolejny Kazamiko poczuła się osaczona czterema ścianami. Ciężko było z nią być.

– W domu ludzie umierają – coś zadźwięczało w niej głucho, przygotowując do tego, co nieuniknione..

Z kącika oka wytoczyła się łza, złościąc bruzdę w policzku. Oparła łokcie o parapet. Wsparła głowę na dłoniach. Zatopiła wzrok na jakimś punkcie w oddali.

– Starzeję się. Posiwiąłam. Mam cellulit na tyłku. Kleję się do faceta, który mnie nie chce – pomyślała, przesadnie dramatyzując, i osiągnęła taki efekt, że naprawdę zrobiło jej się przeraźliwie smutno.

Wpędziła się trochę własnymi myślami w ten stan. Runęła do łóżka. Nakryła się kocem. Głowę złożyła na zwiniętym swetrze samotności. Nakryła się cała starym, sfilcowanym kocem. Łącznie z głową. Schroniła się w swoim małym, prywatnym, jednoosobowym schronie. Było ciepło i ciemno jak w bezpiecznej norce. Nie dała jednak rady tak trwać. Potrzebowała tlenu. Skapitulowała i wynurzyła głowę. Po raz kolejny w życiu miała myśli samobójcze.

– Czy ona zrozumie – pomyślała o swojej córeczce – że to nie dlatego, że jej nie kochałam, że po prostu zbyt ciężko było mi żyć? – zaczęła się zastanawiać.

Nie była pewna i to sprawiło, że została. Poczwała jednak całą sobą, że musi choć na trochę wyjść. Narzucić cokolwiek na siebie i wyjść, chociaż tyle. Następnego dnia jej były wziął córkę do siebie. Kreska wyjechał. Bała się siedzieć sama w domu... Pograżać się w otchłani własnych przemyśleń.

Szła przez miasto przygnębiona. Zachodzące słońce połyskiwało złociście, w zmrożonej breji zdeptanego śniegu, okupującego chodnik, którym kroczyła. Była smutna. Rozpromieniła się dopiero, widząc znajomą twarz w obcym tłumie. Wróciła do samej siebie. Spotkali się przypadkiem i przyłgnęli do siebie, dając sobie nawzajem towarzystwo.

– Wyobraź sobie, idę ulicą i nagle co widzę? – zaczęła Kazamiko

– Co? – zapytał Rysa zaciekawiony.

– Ano śliczną dziewczynkę, na oko osiem-dziewięć lat. – Masz ty kurwo – krzyczy ona, rzucając petardą w biegnącego obok małego kundelka. Petarda rozbłysła i huknęła dosłownie parę centymetrów od jego łapek. Wystraszona psina wybiegła na ulicę... Na szczęście nic nie jechało, ale i tak nie zdzierzyłam.

– Dlaczego rzucasz w pieska? – krzyknęłam. – Nawet się nie odwróciła. Przyspieszyłam kroku, złapałam ją za kaptur i odwróciłam do siebie, zupełnie jakby coś we mnie wstąpiło. – Mądra jesteś? Może ja w ciebie rzucę petardą co? – byłam wściekła.

– Przepraszam – bąknęła bez cienia skruchy, przynajmniej moim zdaniem.

– Niektórzy mają serce – rzuciłam do niej. – Również do zwierząt – dodałam i odeszłam. – A w środku aż się we mnie zatelepało. Jaka wyrosnie z niej kobieta – pomyślałam. – Dla mnie to patologia. Dziecko w wieku dziewięciu lat robi coś takiego, nie zdając sobie sprawy, że może zadać żywej, czującej istocie bezmyślnie ból i, co gorsze, chyba tego chce. Do tego to słownictwo. Jak brzmi zwrot „ty kurwo” w ustach małej dziewczynki! Złote loczki tylko to potęgują.

– Oj Kaz, za bardzo pewne sprawy przeżywasz. Nie zmienisz świata. On jest wadliwy, pełen zła i niedorzeczności – odparł Rysa.

Zmienili temat. Sprawy toczyły się szybko. Ocierali się o siebie słowami. Zaczął zaglądać jej w oczy...

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała nieco poruszona tym Kazamiko. – Nie niszczy tego, co jest między nami. Nie jestem wolna i

to nie wchodzi w grę – mówiła, starannie dobierając słowa, ważąc je, stawiając granice.

– Tak, wiem – odparł smutno Rysa.

Wiatr dmuchnął i poruszył już jednak taflę wody. Zmącił ją. Poszli do Rysy. Był wieczór. Siedzieli, słuchając muzyki, rozmawiając. Sączyli piwo, respektując, póki co, granice swojej intymności. To była jednak kwestia czasu, by tego samotnego wieczoru któreś je przekroczyło. Padło na niego. W pewnym momencie przytulił jej dłoń. Leżała na blacie stołu, jakby czekając, by coś z nią zrobić. Zdawała się taka samotna... Nie wytrzymał tego. Kazamiko miała delikatne, dziewczęce dłonie. Ta drobna dłoń, w tym przesyconym techniką czasie, była żywa. Pulsowała. Płynęła w niej prawdziwa krew. Składała się z garstki kosteczek zakończonych stawami. Obleczonej wiązką mięśni i cieniutką skórką. Miała lekko chropowate opuszki palców. Na samą myśl o nich przechodziły go ciarki. Pamiętał ich dotyk na swojej skórze i na nim. Pamiętał jej język wdzierający się w zakamarki jego ciała. Gest, którym rozchylił jej nogi, aby wsunąć się napęczniałym członkiem w jej mokrą cipkę. Wspomnienie, które bolało. Kaleczyło w obliczu tego, co obecnie.

Powinna była to przerwać. Nie cofnęła jednak dłoni, więcej, posłała mu powłóczyście spojrzenie i uśmiechnęła się łobuzersko. Znała go. Wiedziała, co mu chodzi po głowie. Był psem na baby. Jej uśmiech był dla niego zachęcający, ale ta świadomość, że nie jest wolna, co przed chwilą potwierdziła, wprowadzała niezdrowe napięcie. Nie była wolna, ale uśmiechała się do niego. Gubił się w tym. Kreska zarzucił kiedyś Kazamiko, że świadomie lub nie, ale prowokuje mężczyzn swoim uśmiechem, spojrzeniem w oczy. Burzy ich spokój.

– Byłam już taka w wieku siedmiu lat? Zaczepiłam tego zboczeńca w parku? Kuszając go niczym jakaś Lolitka? – obruszyła się błyskawicznie na te myśli.

Na niektóre tematy nie dało się z nią porozmawiać. Pewnych spraw nie dostrzegała. Robiła swoje i nie chciała się zmieniać. Lubiła męskie towarzystwo, z kobietami poza nielicznymi wyjątkami, nie miała wspólnych tematów. W swoich eskapadach zapuszczała się czasem dalej, niż powinna. Nie trafiały do niej mądre rady. Żyła po swojemu. Błądziła po swojemu. Nosilo ją po tylko jej wiadomych bezdrożach. Być może dlatego przestało układać się jej z Kreską. Jego przepracowanie było tylko jedną z przyczyn ich kryzysu. Kolejny

weekend spędzał z dala od niej. Pojechał w plener robić zdjęcia. Być może tak było. Nie sprawdzała. Miała tego dość. Dusila się. Musiała wyjść. Na miasto, do ludzi. Spotkała Rysę i dalej poszli już razem. Dawno się nie widzieli, więc rozmowa sprawiała im dużo przyjemności. Mieli o czym sobie opowiadać. Pili bez pośpiechu i nagle jego dłoń w natarciu. Jej spojrzenie, uśmiech. Myśli niepokorne, które jak ptaki pod wieczór do gniazda, powróciły do jej głowy. To było jak zdrada, ale zbyt była złaźniona czułości i dotyku, aby to przerwać. Miała swoje małe egoistyczne potrzeby.

– Co ja wyprawiam? – coś w niej owszem zaskowyczało i, niestety, przegrało z tym jej ogromnym głodem ciepła.

Rzucił jej okruszek czułości. Jak niedzielni spacerowicze zimową porą, kawałek bułki wygłodniałym kaczkom, rezydującym na rzece. Przyjęła go, sprawiając że zaczęło nieubłagane narastać w nim pragnienie. Pamiętał to z nią i chciał powtórki. Był mężczyzną. Reagował na takie sygnały. Dopadło go to bezlitośnie. Myślał już tylko o seksie. Pożądał jej ciała. Daleko w tle był Kreska, jej facet. Drażnił jak wbita drzazga.

Swoje zahamowania Rysa jak zwykle topił w alkoholu. Spotykał na swojej drodze sporo kobiet, niektóre były zajęte, a mimo to chętne... Nie miał oporów przed tym, dlatego nie był wygłodniały. Czasem mu się wręcz nie chciało, mimo możliwości. Czasem robił to sam ze sobą. Zdarzało mu się myśleć o niej podczas masturbacji. O tym razie z nią. Wczuwał się, przypominając sobie jej słowa, splatające się w erotyczne kawałki. Wyobrażał sobie, jak się nad nim pochyla. Z uśmiezkiem niegrzecznej dziewczynki. Jej lekko rozchylone usta. Koniuszek języka, którym je zwilża. Jej włosy, łaskoczące go delikatnie po ciele...

Piła zdecydowanie mniej, ale też udzielało jej się alkoholowe rozluźnienie. Zastanawiał się, czy też go pragnie. Tak jak on ją. Tu i teraz. Tak czysto fizycznie. Ciało spinało się od tych myśli. Zrobiło mu się gorąco.

– Czy i ona teraz o tym myśli, fantazjuje na ten temat? Czy wilgotnieje od tego, od takich wizji? – starał się dociec, ale nie znał na te pytania odpowiedzi.

Odważył się jednak pójść dalej. Niby od niechcienia objął ją. Strąciła jego rękę bezceremonialnie. Bez słowa wyjaśnienia. Czuł się jak skarcony szczeniak. Jakby sięgnął po coś, co nie było dla niego i dostał po łapach... To nie było miłe. Chciał ją przecież tylko przytulić.

Dać jej trochę ciepła. Poczuć mocniej i być może sprawić jak się uda, by ta noc skończyła się fizycznością. Większą niż tylko dotykanie jej dłoni. To nie było nic złego. Chciał trochę przyjemności. Dostać i dać jej.

– Gorsze rzeczy ludzie robią – myślał w popłochu.

– Daj bliźniemu palec, a zechce dłoń – odezwała się. – Daj mu dłoń, a wyrwie ci serce. Nie nakręcaj się. Nic z tego nie będzie – skończyła oschle.

– Nie będzie – powtórzył głucho, trochę bezmyślnie, jak echo. – Szkoda – dodał jednak już po chwili, uwodzicielsko zaglądając jej w oczy.

Przeniknął ją tym spojrzeniem na wskroś, jak promieniami rentgena. Coś w niej zadrżało. Zaklekotało. Podobał jej się. Był w jej typie. Zerwała się spłoszona niczym sarna, z wielkimi błyszczącymi oczyma, z głośno bijącym sercem.

– Chyba już pójdę – powiedziała tonem, któremu zdecydowanie zabrakło stanowczości.

– Zostań – poprosił miękko, wyczuwając jej rozbitcie, całe to niezdecydowanie. – Po co masz wracać do pustego mieszkania? – naświetlił jej dodatkowo obraz sytuacji.

Atmosfera wyraźnie się zagęściła. Została. Nadal nie był pewny, na czym stoi. Pojawiła się w nim jednak nadzieja na jakieś bardziej pomyślne dla jego męskości zakończenie tej nocy. Czuł mrowienie w podbrzuszu. Miał erekcję. Wiedział, że jeśli zechce, zdejmie z niego to napięcie.

Nie kochał jej ani nawet zbytnio mu się jak dotąd nie podobała. Lubił ją jednak. Było w niej coś, czego nie potrafił rozszyfrować. Zaczęła go też, co było dla niego niezłym zaskoczeniem, również fizycznie pociągać. Chciał się z nią kochać wtedy i teraz. Chciał zdrzeć z niej ubranie. Dopaść dłońmi jej małe piersi. Zakotwiczyć się nim w jej wilgotnej pochwie. Wsuwać się w nią i uciekać od jej wilgoci w szalonym tempie. Pragnął jej namiętnego całowania. Dyszenia i jęków towarzyszących jej orgazmowi. Pożądał nawet tej idiotycznej gęsiej skórki i jej nieprzytomnego, zamglonego spojrzenia. Chciał, aby się zatraciła z nim, żeby go dotknęła, żeby go wpuściła w siebie, żeby zapaliła zielone światło. Pragnął jej dłoni na swoich plecach. Jej palców, gładzących jego tyłek i krocze. Rozpinających gorączkowo lub wolno, guziki jego spodni. Wdzierających się bezwstydnie pod materiał

jego slipek i w końcu ściągnających je. Najpierw posyłając tam na zwiad ruchliwy język. Pragnął ją jak diabli. A ona? Nie był pewny, a co za tym idzie również tego, czy mu to da. Działał. Czarował ją tak, jak umiał. Słowami, spojrzeniem, gestami. Swoją mową ciała. I nawet tym gorącym buchającym z okolic jego podbrzusza, z którego miał wrażenie zdaje sobie sprawę. Wstała do toalety. Zerwał się razem z nią. Zagroził jej spontanicznie drogę ramieniem. Był w podkoszulku bez rękawków. Połyskiwała naga skóra jego ramion. Drgały ładnie zarysowane mięśnie. Widać było tatuaż, który tak jej się podobał.

– Przepuść – powiedziała cicho z nutką nieśmiałości, spoglądając w jego oczy tylko na moment.

– Buziak – wyrecytował jak dobrze wyuczoną kwestię.

W obojgu krążyła już spora dawka alkoholu. Uciekła wzrokiem od niego, lecz po chwili wróciła. Coś się w niej przeistoczyło. Spojrzała na niego jakoś tak chłodno, jak nie ona. Dotknęła dłonią mięśni jego ramienia i choć marzył, by pogładziła gdzie indziej, i tak przeszedł po nim dreszcz podniecenia. Przeniosła dłoń na jego obojczyki gładko, niczym wąż, przesunęła ją na jego szyję, kark. Następnie zatopiła palce w jego włosach. Poddał się bez słowa tej pieszczocie. Rozpłynął się w niej. Zdematerializował. Zmrużyła lekko oczy, patrząc w jego, a po chwili na usta. Przygięła lekko jego głowę. Wyszła mu naprzeciw. Musnęła jego usta swoimi, by już po sekundzie dać mu odczuć jak rodzi się w niej bestia. Wtargnęła w nie swoim językiem. Zamknęli oboje oczy i całowali się przez dłuższą chwilę. Jego ręce wzbiły się w powietrze, lecz nie zatrzepotał nimi jak ptak skrzydłami, by odlecieć. One wzleciały ku niej. Nie miał zamiaru odlatywać. Ogarnął ją czule dłońmi. Delikatnie, by jej nie spłoszyć. Jej drobne ramiona, plecy, pośladki. Nie zdążył nic więcej. Odkleiła się od niego i odsunęła go raptownie ręką, jak tarasujący, zbędny przedmiot. Przerwała tą chwilę intymnej bliskości. Znow poczuł się odrzucony.

– Kurwa, czemu to robi? – pomyślał cierpko.

To było tak bezduszne i niepodobne do niej. Najwyraźniej Kazamiko zgubiła gdzieś swoją wrażliwość. Nie rozumiał tego. Zupełnie wybiło go to z rytmu. Poszła do łazienki. Został sam jak palec.

– Nie będę jej się narzucał – pomyślał hardo i tkwił w tym postanowieniu aż ją zobaczył ponownie.

Szła ku niemu, ładnie stawiając nogi. Krótka spódniczka wystawiała je na jego widok. Widział jej łydki, kolana, uda. Widział jej pracujące przy poruszaniu się mięśnie, jak u wyścigowej klaczy. Na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Nie miał pojęcia, co on oznacza, ale i tak skruszał. Ponownie rozgościła się w nim nadzieja. Siadła na kanapie tuż obok. Wierząc się przez chwilę, swoim udem bez skrępowania potarła o jego. Poczul się jak zapałka. Potarła swoim ciałem jego główkę. Płonął. Spojrzała mu w twarz i był w tym smutek wszechświata. Zaplotła mimo to ręce na jego szyi. Zachowywała się, jakby powzięła decyzję, jakby była już tego pewna. Nogi zgrabnie ulokowała na jego kolanach i zaczęła się z nim ponownie całować. Gorąco, namiętnie. Dłonią gładziła płatki jego uszu i szyję, którą po chwili też obsypała pocałunkami. Spojrzał na nią nieprzytomnie. Pogładził jej włosy i lekko pociągnął. Spojrzała dziko. Od razu złagodniał. Reagowali na siebie bez słów. Przeniósł dłonie na jej barki, a stamtąd zjechał na jej pomarańcze piersi. Gładził je przez bawełnę podkoszulki. Jak zwykle nie miała stanika. Nakręciło go to ostatecznie. Stał mu bezlitośnie, bez viagry. Chciał unieść jej podkoszulkę, ale nie pozwoliła mu na to. W odwecie zaczął mocniej ścisnąć jej piersi, wciąż skryte przed jego wzrokiem. Przybliżył się do nich ustami. Trzymając je w swoich dłoniach, zaczął najpierw delikatnie ssać, a potem gryźć jej sutki.

– Będziemy się kochać w ubraniu? – zapytał szeptem.

– W ogóle nie będziemy się kochać – odparowała, przytomniejąc.

Spojrzał spragniony ciepła, spojrzeniem jakie miewają czasem samotne, porzucone psy. Ujął jej dłoń i położył między swoimi pachwinami, na pulsującym gorącym, kawałku siebie...

– Pragnę cię – powiedział zdecydowanie.

– Nie jestem wolna – przypomniała mu. – Mówiłam, że mogę się z tobą tylko pocałować – dodała usprawiedliwiająco.

– Nic takiego nie mówiła – przemknęło mu przez głowę, tak jak błyskawica przecina granat burzowego nieba, ale nie powiedział nic.

Dotąd nigdy się nie kłócili, ani nawet nie sprzeczali.

– Jesteś okrutna, nakręciłaś mnie, a teraz mi odmawiasz – stwierdził jednak po chwili oskarżycielsko.

Tego było zbyt wiele, nawet jak dla niego.

– Sam się nakręciłeś. Wypiłeś i ci się zachciało z byle kim, nie bacząc na okoliczności – wycedziła okrutnie.

– Nie jesteś dla mnie byle kim – zachnął się.

– W pewnym sensie jestem – rzuciła mu oschle. – Nic dla ciebie nie znaczę jako kobieta. Jestem tylko koleżanką do pogadania – oznajmiła.

– No tak – bąknął.

Jakoś kłamstwo nie przychodziło mu gładko w stosunku do niej.

– Ale teraz ciebie pragnę jak nigdy – uściślił.

– Pragniesz, bo nie jestem wolna. Już taki jesteś pokręcony. Jak bym była singlem, to nawet by ci to przez głowę nie przeszło. Byłoby zbyt niebezpieczne.

– Przecież przeszło, wtedy po koncercie – pamiętasz, przypomniał.

– Jeden wyjątek reguły nie czyni, zresztą jak się okazało, tylko mi się wydawało, że jestem wolna. Widocznie to zwietrzyłeś jakoś, którymś ze swoich zmysłów. Zresztą nie ważne. Nie sprzeczejmy się. Skończmy to – powiedziała cicho. – Przepraszam, jeśli będą cię boleć jajka – kontynuowała z jakby autentyczną troską. – Jakoś sobie poradzisz, jesteś już dużym chłopcem – skończyła jednak gładko i bezlitośnie, podnosząc się z kanapy.

Musnęła go pocałunkiem. Dobiła go tym. Nie starał się jej powstrzymać. Była jak ptak. Odlatywała. Wiedział to. Poczul się jak stary gmach, przeznaczony do wyburzenia. Właśnie oberwał stalową kulą... Wyszła w mrok, zostawiając go samego. Zgasił światło i położył się do łóżka. Po tych wrażeniach dużo mu nie było trzeba. Zrobił to, czego ona nie chciała, lub też nie mogła. Nie wnikał już w to. Rozpiął spodnie, wydobywając go na zewnątrz. Kilkoma ruchami zakończył sprawę. Przyniósł ulgę swoim napęczniałym jądom, nie rozmyślając sobie zbyt wiele. Spuścił się patrząc w okno, w gwiazdy migoczące na niebie. Zupełnie jakby się rozdzielił. Jakby był on i jego fizyczna przyziemność...

Kazamiko wróciła do domu. Po kilku godzinach niezbędnych na ochłonicie zadzwoniła do Rysy, spytać czy wszystko ok. Czowała, że sobie poradzi z tym, ale wołała się upewnić. Tym razem ona wykrciła numer. Dosłownie i ten na klawiaturze swojej komórki.

– Świat jest pełen pokus, ale trzeba mieć w życiu jakieś zasady – pomyślała rozbita.

Kochała Kreskę pomimo tego, że przestało im się układać. Nie chciała im tego robić, choć atakował ją, jak dawniej, ten dziwny,

niezaspokojony głód. Życie toczyło się dalej. Po staremu przesypywały się ziarenka w ukrytej przed wzrokiem klepsydrze, wyznaczając, ile jeszcze zostało im czasu na ziemskim padole.

„Musisz być silny, ty gnoju pieprzony, musisz być wielki i niezwyciężony” – zadźwięczał w niej tekst Dezertera. Zawsze gdy było jej ciężko, mówiła sobie ten fragment, strzęp piosenki. Z czasem już nie musiała go mówić, odtwarzał się sam w głowie. To było jak mantra. Pomagało jej wziąć się w garść. Tak było i tym razem

– Być może jesteśmy niczym dwa wolne, rozedrgane elektrony. Czasem na siebie wpadamy, lecz mamy naturę taką, a nie inną – pomyślała, zastanawiając się nad swoim kulejącym związkiem z Kreską, bez zbędnego szukania winnego.

Poszła do pokoju córki, sprawdzić czy mała już śpi. Nakryła ją zrzuconą kołderką. Wyłączyła lampkę solną. Przymknęła drzwi. Wróciła do ich pokoju. Milczała. Kreska bez słowa włączył telewizor. Kazamiko odpaliła komputer i połączyła się z internetem.

– Wegetarianie bywają gorsi od faszystów – rzucił jakby od niechcenia Kreska.

Kazamiko zignorowałyby tę jawną zaczepkę, lecz za dużo było w niej wibrujących emocji. Udzieliły jej się.

– You talking to me? – spytała prowokująco. – Chodzę z tobą, choć jesz mięso – oświadczyła. – Jakbym była bardziej ortodoksyjna, to mogłabym się np. z tobą nie całować. To byłoby zbyt obrzydliwe, dotykać mymi nieskalanymi ustami tych, które miały przed chwilą kontakt z padliną – powiedziała, przesadnie wydymając zgrabne usteczka, wczuwając się w tę sytuację.

– Powaga? Są tacy? – spytał zdumiony Kreska.

– Ano są, więc nie masz ze mną tak źle, jak ci się wydaje. Niektórzy wegetarianie nie wiążą się z nie wege. To nie wchodzi w rachubę – uściśliła.

– I nie sądzisz, że to chore? – zaatakował pytaniem.

– To kwestia przekonań. Katolik przesiąknięty swoją wiarą szuka kogoś ulepionego z tej samej gliny. Weganika chce weganina.

– Weganika? – przerwał jej pytaniem.

– Weganizm. Odmiana wegetarianizmu. To ci, co nie jedzą niczego pochodzenia zwierzęcego, a więc również jajek, miodu, mleka. Z tego co wiem, nie noszą też nic ze skóry i bardzo angażują się na rzecz obrony praw zwierząt.

– Ty też się udzielasz – zauważył.

– Pamiętasz ten filmik, który puściłeś mi niedawno? – spytała cicho.

– Ten o lisku?

– Tak, ten, w którym facet wali lisa pałką, a potem obdziera go, takiego jedynie ogłuszonego, bynajmniej nie zabitego, ze skóry. W następnym ujęciu lisek leży na stercie ciał i porusza pyszczkiem jakby wołał: „na pomoc, litości”, ale nikt nie słyszy tego wołania, bo ludzie nie rozumieją mowy zwierząt. Uważasz, że to w porządku? Albo to, że odbierają krowie cielaczka, z którym ona czuje więź, taką jak matka ze swoim dzieckiem. Albo, że zabijają gąsiorowi gąskę, z którą on może przeżyć 40 lat, nie zdradzając jej, bo gęsi dobierają się w pary na całe życie i nie zdradzają się w trakcie. A to, co dzieje się na fermach. Te stłoczone kury, które nie mogą obrócić się w swoich ciasnych klatkach. Te kogutki mielone na karmę tuż po wykluciu, jako zbędne...

– Takie bestialstwo powinno być karane – uznał Kreska.

– Karane? – odpowiedziała kpiąco. – Jak zabijesz psa, to teoretycznie może spotkać cię kara. Jak zabijasz setki zwierząt, dostajesz wypłatę – skończyła zimno.

Zamilkł ponownie.

– Czemu jesteś taka nerwowa? – spytał po dłuższej chwili.

– Źle się czuję – mruknęła.

– Co cię boli? – zapytał cicho, beznamiętnie.

– Skóra – odparła i na tym skończyła się ich konwersacja.

Odwrócił głowę i kontynuował oglądanie srebrnego ekranu. Zupełnie tak, jakby nie stało się nic, jakby jej nie było obok.

„Moja skóra jest moją granicą. Dotykaj mych granic kochany” – przypomniał jej się stary wiersz. Odbił się rykoszetem, by wrócić po latach i zranić ponownie. Był jak zły pies, który gryzie wielokrotnie.

– Jest w tobie tak mało zrozumienia – oznajmiła ponownie, lekko wydymając usta, patrząc w ekran monitora.

– Tak mało – powtórzył za nią głucho.

– Tak – oświadczyła. – Czekam na ciebie. Tęsknię, a ty nic nie rozumiesz, nie kumas, nie kminisz. Najpierw piłeś, teraz się zaharowujesz. Jesteś, ale naprawdę cię nie ma. Wracasz tak zmęczony, że nawet nie czytasz, nie rozmawiasz ze mną, nie sypiasz. Zaczepiasz mnie czasem do seksu rano, jak jestem ledwie żywa po źle przespanej nocy. Wieczorem, gdy ja mam na to ochotę, tobie brakuje sił.

Wieczorem ty jesteś na to zbyt zmęczony. Jedyne, co możesz zrobić, to podłączyć się do pudła, bo oglądanie telewizji nie wymaga myślenia, żadnego wysiłku – wygarnęła mu oskarżycielskim tonem.

Dotykała go i rozbierała na części pierwsze słowami. Był zmęczony pracą, życiem, jej zarzutami. Jej słowa owinęły się wokół jego szyi jak sznur i zaczęły się zaciskać. Ich wolny czas. Kreska skurczony w ulubionym fotelu. Podpełzający smutek. Nie było już nic do dodania. Oddalili się od siebie na dobre... Wkradło się między nich coś niedobrego.

Do tej pory była piaszczystym brzegiem. Przychodził do niej w formie mniej lub bardziej spienionej morskiej fali. Był słony. Jego pot, sperma, łza, gdyby ją uрониł. Odkrywał ją i odchodził. Cofał się, zostawiając puste terytorium. Miliony piaszczystych drobinek, z których się składała... Taki był ich związek. Teraz stał się daleki i mdły. Nie czuła już jego smaku. Nie widziała już sensu w byciu z nim. Utknęła. Wiedziała, że czas prędzej czy później rozwiąże sytuację, że coś się stanie. Sama nie czuła się na siłach, coś w niej nadal go kochało.

19.

– Nieszczęścia chodzą parami – lubiła mawiać jej matka, w czasach gdy jeszcze wiedziała, co mówi.

Okazało się, że coś w tym jest. Nie dość, że Kazamiko ewidentnie nie układało się z Kreską, to jej sunia zaczęła podupadać na zdrowiu. Ma tylko 11 lat, coś w niej krzyczało i sprawiało niewysłowny ból. Prawda była jednak taka, że Arunia przeżyła większość znajomych piesków, również tych ponoć zdrowszych kundelków. Odchodziły bezlitośnie: na padaczkę, raka, zakażenie macicy, zawał, ze starości. Kazamiko popadła w swoistą paranoję. Bała się robić jej badania krwi, aby nie dowiedzieć się przypadkiem najgorszego. W końcu jednak nie miała wyjścia. Sunia czuła się kiepsko i weterynarz poleciła, aby zrobić testy krwi i moczu do kompletu. Arunia czuła się na tyle źle, że przestała jeść. Sytuacja była podbramkowa. Kazamiko zrobiła jej więc wszystkie zalecane badania. Wyniki były jednoznacznie złe. Brzmiały jak wyrok. Stało się to, czego tak bardzo się bała...

– Pozwól jej odejść, nie męcz jej – prosiła weterynarz. – Zrozum, przyszedł jej kres. Z psami już tak jest. Są cudowne, tak wiele nam dają z siebie, same żyjąc tak krótko – dodała.

– Ale... – zaczęła Kazamiko i płacz zdusił wszelkie słowa jakie zamierzała powiedzieć.

– Pozwól jej odejść z godnością, nie przeżyje narkozy, nie w tym wieku, nie w tym stanie – powtórzyła cicho Ela, najwspanialszy psi doktor jakiego zdołała poznać.

No i stało się, po jedenastu wspólnych latach jej sunia została uśpiona. Po raz ostatni usiadła na dany jej ręką znak, po czym weterynarz wbił jej igiełkę ze środkiem, po którym zasnęła, by już po chwili przestać oddychać... Zniknął bezpowrotnie jedyny stały i wydawało się niepodważalny element jej życia. Kazamiko płakała dzień i noc. Po dwóch dniach wyglądała jak ofiara przemocy domowej, z napuchniętą twarzą, czerwonymi oczyma. Prawie nie pokazywała się na mieście. Była w żałobie. Rozpaczała po psie... Mało kto to rozumie.

Niedługo po tym spadł na nią kolejny cios. Zmarła nagle mama. Była co prawda chora, ale na Alzheimera, a na tę chorobę się teoretycznie nie umiera. Fizycznie wydawała się być w dobrej formie.

To ją ostatecznie dobiło. Pograżyła się w wielkiej czarnej norze. Starła się trzymać, ale serce krwawiło. Była niczym przedziurawiony balon, uchodziła z niej cała radość życia. Syczała cichutko. Siła się na jakąś pogodę ducha, lecz nie płynęła ona jak dotąd z jej wnętrza. Była sztuczna, plastikowa, tandetna jak kiepskie zabawki zrobione rączkami małych Chińczyków. Działo się coś złego. Postanowili przenieść się do domu jej ojca, żeby nie siedział sam w tych opustoszałych nagle ścianach...

Przeprowadzka nie poprawiła relacji między Kazamiko i Kreską. Tylko pozornie można coś zmienić wraz z miejscem zamieszkania. W rzeczywistości wcale tak nie jest. Zresztą jej były dom rodzinny nie był czystą kartą. Nowym, nieskałanym miejscem. Naczynkiem, które wydaje się zachęcać, by zapełnić je czymś, wypełnić drażniącą pustkę. To miejsce już miało swoją historię. W tym pokoju przecież kiedyś ona i Kant... Wspomnienia, które przytłaczają. Kolor ścian nie potrafił niestety tego zmienić, wymazać z jej pamięci. W tym domu żyła z mamą. Nie wolno jej było mieć żadnych roślin ani zwierząt. Do niego wróciła po obu swoich gwałtach. Upływające lata. Znikała i pojawiała się. Kryła się w tych tak zimnych murach, gdy naświetlona światłem powracała ze swoich licznych wędrówek. Całkiem jak więzień z przepustki, wracający do swojej celi po zaczerpnięciu odrobiny świeżego powietrza. Tam była jej ciemnia, w niej wywoływała odbitki swoich wspomnień. W tym domu wreszcie rozegrał się ten ostatni akt, który wyrzył się w niej głęboką bruzdą. W nim właśnie zachorowała jej mama i obumierała niczym jednoroczna roślina, wraz z nadejściem pierwszych jesiennych chłódów... Z tą różnicą, że trwało to nie sezon, a parę lat. Z tego konkretnego domu pojechała z nią w jej ostatnią podróż. Nie na księżyc, co się matce marzyło w jej ostatnich latach życia, a do szpitala. Zostawiła ją tam nieprzytomną, z nadzieją, że jej pomogą. W tych sterylnych i na swój sposób zimnych ścianach. Na sali z siedmioma innymi paniami, gdzie po trzech dniach matka zmarła... Na darmo wbita igła od kroplówki. Naklejka radia Maryja nad jej wezłowiem... Parawan oddzielający ją od chorych w lepszym stanie.

Kreska długo remontował ich pokoje u taty. Jego wrodzony lub nabyty pedantyzm nie pozwalał mu zrobić tego szybko, a co za tym idzie byle jak, bez dbałości o szczegóły. Równał ściany, gdy ona zaglądała do szuflad i szaf po mamie, odkrywając w nich stale coś nowego. Starą torebkę, bez której nie wyobrażała sobie mamy.

Zegarek, który gdy go nakręciła okazało się, że nadal chodzi. Zupełnie inaczej niż serce jej matki... Jej zapiski, kawałek nadgryzionego szarego mydła, jeszcze z zapasów zgromadzonych w kryzysie, gdy mydło było produktem luksusowym i wielce pożądanym. Swoją parasol, na którym mama zdążyła wyryć własne inicjały. Pieniądze, które mama schowała w absurdalnym poczuciu, że jest w domu okradana. Swoją sukienkę z przedszkola. Jej perukę. Chińską parasolkę, istnienia której nawet nie przeczuwała. Obrus, w którym jako dziecko wycięła kawałek, by mieć dla siebie skrawek do wyszywania. Atakowała ją masa drobiazgow. Rzeczy, które ciążyły przypominając, ale nie sposób było się ich ot tak pozbyć. Byłoby to trochę tak, jakby wyrzucać po kawałku samą mamę. Porządek, który należało zrobić, a który Kazamiko odwlekała w nieskończoność, irytując tym Kreskę.

Mimo wszystko gdy remont dobiegł końca, zdecydowali się na parapetówkę. Czuli, że tak wypada. Zaprosili Kota i An. Kazamiko zadzwoniła też do córki Kreski, żeby wpadła jak ma ochotę.

Kreska nad wyraz przeżywał całą tą parapetówkę. Chciał, by wszystko wyszło dobrze. Bał się też o swoje zrobione na błysk ściany, nowiutką, jasną wykładzinę.

– Jakby to było najważniejsze – krzyczało coś w Kazamiko.

„Zło otacza ciebie szczelnie. Miłość to wszystko czego ci brak” – śpiewała dawno temu TZN Xenna. Nigdy nie czuła się tak daleko od niego, i tak przybita własną przeszłością. Kreska, nieświadomy tego, skupiał się nadal na ich pokoju. Na jego zewnętrznosci. Spodziewał się najgorszego i szybko się doczekał. Już pierwsze piwo otwierane przez Kota, nie wiedzieć czemu, wytrysnęło niczym szampan.

– No to pokój obłany – skwitowała Kazamiko z odcieniem ulgi, oceniając trzeźwo sytuację. – Możemy zacząć się bawić na luzie. Wszystko, co mogło stać się najgorszego, mamy za sobą – uznała.

Krople piwa ochrzcili całą ścianę, trochę wykładziny i sufitu. Kreska, początkowo zdruzgotany, przeszedł nad tym do porządku dziennego. Zrobiło się wreszcie miło. Dowcipkowali w najlepsze przy suto zastawionym stole. Córka Kreski spóźniła się, puszczała strzałki, informując, że należy oddzwonić. Robili to z Kreską na zmianę. Wtedy dowiadywali się, że już wyszła z domu, dotarła na przystanek, ale nie pamięta, czym przyjechać i w końcu, że już jest w okolicy. Kreska wyszedł po nią i jej chłopaka. Weszli, a wraz z nimi powiew świeżości. Razem wzięci mieli mniej lat niż każde z nich z osobna.

Mimo starań z ich strony, byli wyraźnie spięci. Różnica wieku, wychowania i nie wiedzieć czego jeszcze...

– Napijesz się? – spytał Kreska chłopaka córki, chcąc przełamać tak lody między nimi.

– Nie piję, trenuję kulturystykę, ale z panem się napiję – odparł poważnym tonem, zbyt poważnym jak na swoje 19 lat.

Jedzenie mimo zachęty ze strony Kazamiko, w której odezwała się słowiańska gościnność, uparcie zalegało na stole. Młodzi byli najwyraźniej syci.

– Dobrzy goście, przychodzą, nic nie jedzą – zażartowała Kazamiko. – Pamiętacie te czasy, gdy na imprezach był tylko kisiel? – spytała nostalgicznie Kazamiko swoich znajomych. – Jak to się pozmieniało, teraz jedzenia w bród, a nikt się nie kwapi.

– W dupach się ludziom poprzewracało – zaśmiał się głośno Kot. Młodzi spojrzeli po sobie nieco spłoszeni.

– Może sałatkę? – spytała Kazamiko córkę Kreski, usiłując jedzeniem przegnać tą wibrującą ciszę, która zaległa i trwała niczym śnieg na zacienionym wzgórzu. – Tą z ogórkiem robił twój tata – nadmieniła.

– Tata, nie wiedziałam, że umiesz robić coś poza jajecznicą – powiedziała z nieskrywaną wesołością córka Kreski, patrząc na niego filuternie.

– No wiesz, jak możesz – odpowiedział z udawaną surowością.

– Z tego, co pamiętam, w domu robiłeś tylko jajecznicę – uchyliła rąbka skrywanej tajemnicy.

Kazamiko, nie bacząc na sytuację, roześmiała się do łez. Słowa już padły, wywołując taki a nie inny efekt. Oczywiście, Kazamiko zdawała sobie sprawę, że była żona raczej nie miała z Kreską, jak to się mówi, życia usłanego różami. Nie dała się złapać na te opowieści o niedobrej żonie. Jej były mąż opowiadał o niej podobne. Wiedziała, że Kreska był dla niej zupełnie inny. Doszedł kolejny kamyczek do tego małego ogródka wyobrażeń. Czasem dla swoich najbliższych nie jesteśmy zbyt dobrzy. Gdy ich tracimy, o następnych staramy się bardziej. Nie wiedziała czemu, ale wiedziała, że tak bywa. Poczowała się mile połechtana tym, co ma. Tym, że nie tylko cudownie się kocha, to oczywiście, o ile starczy mu sił, ale i świetnie gotuje dla nich, że mu się jeszcze chce. Musiało mu zależeć. Poczucie to było pięknym uczuciem, zwłaszcza w tym kryzysowym momencie.

Rozmowa zeszła na temat muzyki. Zapowiadały się niezłe koncerty. Kot kupił przez internet kilka dobrych płyt. Kreska nie był gorszy. An wyzbywała się starych kaset, ale nie wyobrażała sobie, aby wyrzucić je na śmietnik. Szukała dla nich dobrego domu... i znalazła. Nadawali na tych samych falach, które młodych łagodnie omijały. Spienione języki fal lizały brzeg, w który się przeobrazili i wracały z powrotem, na głębię. Młodzi nie odnajdywali się w tym. Muzyka nie była dla nich tak istotna. Wymknęli się na dół domku, pod pretekstem obejrzenia filmu.

– Wolą siedzieć z dziadkiem niż z nami – podsumował Kreska, z nutą smutku.

– Co się dziwisz, dla nich jesteśmy starymi grzybami, zgredami – uznała Kazamiko. – Jesteśmy innym pokoleniem.

Usiłowała złapać w sieć słów to, co się działo, na ich oczach, z ich udziałem.

– Masz znajome w jej wieku i tylko ciut starszą koleżankę – bąknął Kreska z wyrzutem.

– Tak, ale one są wege lub chodzą podobnie jak ja na koncerty punkowe. Mamy sporo wspólnego – uściśliła Kazamiko. – Lepiej powiedz, co nagadałeś chłopakowi, jak po nich wyszedłeś? – spytała, zmieniając temat. – Zauważyłam, że jest dziwnie sztywny – oświadczyła ze śmiechem.

– Nic wielkiego, tylko tyle, że urwę mu głowę jak skrzywdzi moją córkę – powiedział z właściwą sobie butą w głosie Kreska.

– O matko – zarechotał Kot. – Co my tu mamy? Przykład srogięgo ojca – skończył prowokująco, przyglądając mu się uważnie.

– Wczoraj mnie prosił, żebym jako kobieta porozmawiała dyskretnie z nią o antykoncepcji – oznajmiła Kazamiko. – Powiedziałam, że szesnastolatka wie na ten temat z pewnością więcej niż ja, zwłaszcza, że my z Kreską się nie zabezpieczmy – rzuciła z oskarżycielską nutą. – To jeszcze nie wszystko. Dziś spytał, czy bym nie zapytała jej, czy z nim sypia – powiedziała z naciskiem Kazamiko. – Tak jakby jej życie intymne to była moja sprawa – zakończyła.

– Trudno mi sobie to wyobrazić, bo nie mam dziecka – zaczął Kot.

– Na szczęście – weszła mu w słowo An.

– Ja z ojcem An nie rozmawiałem ani razu – kontynuował Kot, nie zważając na wtrącenie An. – Owszem, znam go, mówię mu dzień dobry i na tym koniec – oświadczył Kot.

– Nie rozmawiałeś ze swoim teściem? – Kreska upewniał się w tym, co usłyszał.

– No nie. Jakoś nie czułem potrzeby takiej rozmowy. On chyba też nie – skończył Kot z czarującym uśmiechem.

Zapadła krótka cisza, w trakcie której usiłowali ogarnąć skomplikowane relacje międzyludzkie, a młodzi wrócili po obejrzeniu filmu. Już po chwili córka Kreski uznała, że oni idą spać. Pożegnali się grzecznie i tyle ich widział.

– Co oni tam robią? – zaczął zastanawiać się gorączkowo Kreska, ledwo tylko jego córka zniknęła ze swoim chłopcem w pokoju za ścianą.

– A co może robić dziewczyna z chłopakiem w łóżku? – zaśmiała się Kazamiko okrutnie.

– Kulturysta – zajęczał Kreska.

– A kogo się spodziewałeś? Myślałeś, że przyprowadzi 42 letniego punka, podobnego do ciebie, że będziecie razem pić piwo i słuchać the Exploited „Troops of Tomorrow”. Dziewczyna ma 16 lat. Ciesz się, że nie jest z dressem i nie licz na więcej – skomentował krótko i rzeczowo rozterki Kreski Kot.

– Nie wyobrażam sobie, że on będzie patrzył na nagie plecy mojej córki – zachnął się Kreska.

– Na szczęście, tego nie będziesz widział, baranie – obruszył się Kot już nie na żarty. – No, chyba że będziesz czatował do rana, na tarasie, pod ich oknem – dodał, rozpromieniając się tą idiotyczną wizją.

Wszyscy, oprócz Kreski, roześmiali się. Kresce do śmiechu nie było. Obcy chłopak sam na sam z jego córeczką. Z jego księżniczką. Poszedł sprawdzić sytuację.

– Zostań, nie zwracaj im dupy – poprosiła Kazamiko.

Nadaremno. To widocznie było silniejsze od niego.

– Nie wiem, ale on jest gorszy od naszych starych – podsumował Kot, gdy zostali już sami. – Powiedz Kaz, czy twój ojciec tak się zachowywał, kiedy przychodził do ciebie chłopak? – zapytał.

– Nie – odparła Kazamiko, trochę przygnębiona tym, co się działo tuż za ścianą. – No ale w sumie do mnie przychodził tylko Kant, ale i tak nie wiedzieli, że z nim chodzę. Skrzętnie to ukrywałam. Matka coś

przeczuwała, ale ponieważ przychodziła cała ekipa, nie mogła się połapać, który to. Nagabywała mnie, ale ja uparcie milczałam. Bałam się, że jak dowie się z kim jestem, to zrobi mi jakąś przykrość. Dość mi było tego, że czepiała się mnie. Pamiętam, jak pytała oburzona, czemu ty chodzisz z takimi, co to wyglądają jakby butelki zbierali i spali po rowach. I te buty, biadoliła. Niemcy w czasie okupacji mieli podobne, perrorowała. No a tata, cóż przez rok żył w nieświadomości. Potem nadzialiśmy się w Oliwie na jego kumpla. Akurat wychodziliśmy ze sklepu z browarem w jednej ręce, drugą trzymając się za rączkę. Momentalnie go puściłam, miałam refleks, ale i tak było już za późno... Jak tylko spotkał tatę, oświadczył ciepło

– Marzena ma chłopaka...

– Nie, nie ma – poinformował go ojciec.

– Ależ ma, widziałem ją jak szła z chłopakiem za rękę. – Ojciec opowiadał mi potem o tym. Pozostało mi więc tylko potwierdzić ten fakt, bo przecież kłamać nie umiem. Zrobi dziewczynie obciach przed chłopakiem – uznała Kazamiko, powracając do tego, co za ścianą.

– Spalę fajkę i pójdę po niego – zaproponował Kot.

– Byłoby dobrze – mruknęła Kazamiko z ulgą.

Wyszedł na taras, Kazamiko pobiegła za nim. Dyskretnie zajrzała przez okno do pokoiku obok. Młodzi siedzieli na łóżku, Kreska klęczał na dywanie przed nimi i przemawiał. O czym? Diabli wiedzieli! Kazamiko przyjrzała się dokładnie i dostrzegła wyraz zmęczenia na twarzy jego córki, chłopak udawał zainteresowanie.

– Sam zobacz, co on wyprawia – powiedziała do Kota.

Spojrzał. Wrócili do środka.

– Dobra, pójdę się wysikać – uznał Kot, któremu najwidoczniej wchodzenie do tamtego pokoju z interwencją zaczęło ciążyć.

Kazamiko go wyręczyła. Zapukała cicho do pokoju, nawołując Kreskę do powrotu. Minęło trochę czasu nim wrócił.

– Stary – zaczął Kot – zapomniałeś chyba, jak sam byłeś młody. Patrzę na ciebie i nie poznaję. Taki jesteś niby wyluzowany.

– To moja córka – odciął się Kreska. – Staram się tylko okazać zainteresowanie i ojcowską troskę – wyznał i sam się zaśmiał z tego, co wymknęło się z jego ust.

– Bez urazy, ale trochę późno na ojcowską troskę, po tylu latach bez kontaktu, nie sądzisz? – Kot wbił swoją szpilę do końca.

Zaległa cisza.

– Nie wiem, nie mam dzieci, nie mam córki, pewnie nie mam prawa, by się wymądrzać. To co robisz, wydaje mi się po prostu irracjonalne. Zaraz sprawdzisz, czy drzwi aby nie skrzypią jak w „Sami swoi” – uznał Kot.

Kolejny wybuch śmiechu. Tym razem Kreska się dołączył. Otworzył kolejne piwo, mimo karcącego wzroku Kazamiko. Kreska, który nie pił w ogóle od paru miesięcy, zaczął sobie pozwalać na alkohol przy różnych nadarzających się okazjach. Spotkanie z Cieniem, z Kotem w Duszku, urodziny, stypa po jej mamie. Niestety, jak zaczynał, to szedł na całość. Nie chciała otwarcie zwracać mu uwagi, poza tym i tak by jej nie posłuchał, bo gdy zaczynał picie to nie umiał przerwać... Niedotrzymana obietnica, by skusić ją do powrotu i być może szczere chęci na początku, pokonane przez stare przyzwyczajenia. Rozmowa zesłała ponownie na muzykę, ich ulubiony temat. An i Kazamiko nie piły, za to ich mężczyźni poszli na całość... Po którymś kolejnym piwie Kreska powiedział coś do Kota, lecz zamiast tego z jego ust wydobył się pijacki bełkot. Kot nie zrozumiał w czym rzecz. Nikt z nich tego nie pojął.

– Potrzebny translator – na miejscu spuentował sytuację Kot.

Wybuch śmiechu, który zirytował Kreskę. Biegle władał słowami, ale najwyraźniej nie po takiej dawce alkoholu, po tak długim okresie abstynencji. Stres z wchodzeniem w dorosłość jego córki zrobił swoje. Kazamiko nie kryła już rozczarowania. Przeprowadzka. Kładzenie się do innego łóżka, nie mogło odmienić tego, co między nimi. Zegnali się z An i Kotem wylewnie i chłodno. Kreska obrażony nie podał ręki Kotowi. Kazamiko z chęcią. Nic nie mogło zachwiać jej prawie dwudziestoletniej sympatii do Kota. Przy okazji wręczyła mu pieniądze za kartę do komórki, którą jej kupił. Zaskoczone spojrzenie chłopaka córki Kreski, który choć twierdził, że nie pali, właśnie lawirował, by wyjść do ogródka.

– Mamy taki obyczaj, że płacimy naszym gościom za to, że nas odwiedzają – zażartowała na poczekaniu Kazamiko i nie raczyła tego sprostować, zlekceważyła to, co sobie o nich pomyśli.

W końcu położyli się i oni. Kreska zimny, jak Kant gdy przesadził z alkoholem. Jej myśli natrętne, od których długo w noc nie mogła się opędzić. Kolejny dzień, który narodził się, przebrzmiał i już nie wróci... Mogłaby przytulić się do niego. Złagodzić spór. Zwyciężyła jej zawziętość.

– Nie będę się łaścić jak ciekająca się suka do psa. Mogę być sama
– pomyślała, posyłając mu w miejsce czułego, nienawistne spojrzenie.

Niedługo potem rozstali się z Kreską na dobre. An podesłała jej linka do kolejnego teledysku Guns N'Roses... „Kiedy patrzę w twoje oczy widzę, że miłość ogranicza... kochankowie przychodzą i odchodzą” – śpiewał Axel.

20.

– Kochała tego psa o świńskim profilu i mimo wszystko była związana jakoś tam z matką. W pewnym sensie została sama – pomyślał Rysa nagle, zastanawiając się co u Kazamiko.

Kazamiko zawsze twierdziła, że wychowuje córkę, aby ta odeszła i miała swoje własne, szczęśliwe życie... Wiedział o tym.

– Ciekawe, jak sobie daje z tym radę? – zadumał się Rysa i zadzwonił, by dowiedzieć się u źródła.

– Co robisz? – spytał wprost.

– Stoję na wiadukcie – odparła Kazamiko.

– Po co? – zapytał zdziwiony.

– Dobre pytanie, chyba mam już dość, chyba życie mi się przejadło. Pewnie byłam zbyt łapczywa, nie wiem. „Śmierć to wolność. Śmierć to ucieczka od brudów tego świata” – wyrecytowała kawałek tekstu toruńskiej Rejestracji. – Pode mną są tory kolejowe, a ja zastanawiam się tylko, czy jak skoczę i nie trafię w metal szyny, to czy to wystarczy, czy jest dość wysoko – wykrztusiła i usłyszała, jak płacze.

Wstrząsnęło to nim. Kazamiko i łzy. Zrozumiał, że naprawdę źle z nią i do tego ten wiadukt...

– Natychmiast złaż z niego – rzucił zdławionym głosem. – Pogadamy, tylko powiedz, gdzie jesteś – oznajmił tonem nietolerującym odmowy.

– Jestem w mieście – odpowiedziała mu lakonicznie, łykając łzy.

– Gdzie konkretnie? – dopytywał.

– „Miasto i noc. Miasto i szok” – zacytowała tym razem KSU

– Kaz, posłuchaj – zaczął łagodnie, ciepło.

– Nie wiem, czy chcę rozmawiać – powiedziała Kazamiko, zmieniając tor, którym podążała ich rozmowa i wymigując się od udzielenia jasnej odpowiedzi. – Zrobiłam się mrukiem – wyszeptała.

– To pomurczymy razem – uznał Rysa. – Tego jeszcze nie robiliśmy wspólnie, prawda? – oświadczył jak gdyby nigdy nic, jakby nie stała na jakimś wiadukcie, myśląc o najgorszym.

– Nie wiem, aby z kimś pomurczeć lub pomilczeć trzeba być z nim bardzo blisko. Inaczej cisza przytłacza – wyszeptała, ale zdaje się, że tego nie usłyszał.

– Pomyśl o córce – zasugerował jej, szukając w pośpiechu słów i obrazów, które mają moc zatrzymywania...

– Może zrozumie, że to nie dlatego, że mama jej nie kochała, że po prostu czasem zbyt ciężko było mi żyć – wyszeptała Kazamiko.

– A co z koncertami? Jesteś ateistką, nie pójdziesz do nieba, a nawet gdyby, to tam pewnie nie puszczaają punk rocka – uznał.

Milczała niebezpiecznie. Przeszły po nim ciarki, bo wyobraził sobie jak leci, jak spada w dół z komórką w dłoni. Za żadne skarby nie chciałby tego słyszeć.

– Złaż z tego cholernego wiaduktu, już do ciebie jadę – oznajmił Rysa niecierpliwie.

– Po co masz się fatygować? – odezwała się dalej na swoją nutę Kazamiko.

– A pofatyguję się – stwierdził Rysa.

– Przecież my nie jesteśmy tak blisko – wyszeptała Kazamiko.

– Nie? – zdziwił się Rysa.

– No nie, w zasadzie tylko sobie okazjonalnie słuchamy muzyki, czasem gadamy, kiedyś się przespaliśmy – podsumowała smutno.

– Zawsze gadamy i słuchamy naszej porąbanej muzyki, a seks z tobą był cudowny, jak z mało którą – uznał.

– Był płytki, bo nie kochaliśmy się prawdziwie, a jedynie fizycznie zaspokoiliśmy nasz chwilowy głód – skwitowała.

– No coś ty? – wykrztusił zdumiony, nie godząc się na aż takie spłylenie tego aktu. – Słuchaj, to nie twoja wina, że jestem taki, że nie sposób ze mną być. Boję się bliskości, choć szukam jej. Wszystko się we mnie kotłuje. Lubię cię, nie rób głupstw – dodał na koniec.

– Tak? – spytała niepewnie.

– No tak, otwieram ci przecież drzwi, nawet jak wpadasz nieumówiona – oświadczył dobitnie.

– Ha, ha – roześmiała się spontanicznie i na moment wróciła do siebie, tej radosnej istoty, jaką była kiedyś, przed tym wszystkim, co na nią się tak okrutnie zważyło. – No tak, to o czymś rzeczywiście świadczy. Dobra, idę na przystanek, ten koło ronda porzuconych psów. Przyjedź po mnie, jeśli chcesz – powiedziała.

– Co znaczy, jeśli chcesz? Jadę, czekaj na mnie – oznajmił. – I nie rób żadnych głupstw – dodał z naciskiem.

Kazamiko doszła do opustoszałego o tej porze przystanku autobusowego, w centrum jej miasta. Wpasowała swój tyłek w małe

czerwone, plastikowe krzeselko i zapatrzyła się w miejskie niebo. Było zachmurzone lub zasnuwane spalinami, wylotami z fabrycznych i domowych kominów. Tak czy siak, nie było widać gwiazd... choć noc była piękna. Miała potencjał.

„Czy to ważne, z której strony przyjdzie śmierć? Czy to ważne, jaką flagę będzie nieść? Czy to ważne? Przecież jednakowo boli” – zanuciła sobie pod nosem kawałek tekstu Celi nr 3.